

LEW ARCHER NA TROPIE RODZINNYCH TAJEMNIC I ZBRODNI SPRZED LAT...

R O S S MACDONALD POŻEGNALNE SPOJRZENIE





ROSS MACDONALD

Ross Macdonald, najwybitniejszy (obok Raymonda Chandlera) amerykański autor powieści detektywistycznych, był mistrzem precyzyjnie skonstruowanej intrygi. Jego nasycona psychologiczną głębią twórczość daleko wykraczała poza granice gatunku, stanowiąc inspirację dla wielu sław współczesnej prozy kryminalnej, jak Jonathan Kellerman i Harlan Coben. Bohater Macdonalda, prywatny detektyw Lew Archer, znalazł idealnego odtwórcę w Paulu Newmanie, który zagrał go w ekranizacjach *Ruchomego celu* i *Basenu topielców*.

Z rezydencji milionera Larry'ego Chalmersa ginie pamiętkowa złota szkatułka oraz plik listów do zmarłej przed laty matki. Prawnik Chalmersów podejrzewa, iż sprawcą włamania jest jedyny syn Larry'ego, Nick. Prywatny detektyw Lew Archer zostaje poproszony o dyskretne zbadanie sprawy i odzyskanie rodzinnej pamiętki – bez udziału policji. Zadanie pozornie błahe – do momentu, gdy nie zaczyną ginąć kolejne osoby powiązane z kradzieżą szkatułki. W zaparkowanym przy plaży kabriolecie Archer znajduje trupa zastrzelonego mężczyzny. Do zabójstwa przyznaje się Nick, ale detektyw nie wierzy w jego winę. Prawda kryje się w przeszłości, w mrocznych tajemnicach łączących trzy rodziny i nierozwiązanych morderstwach sprzed kilkunastu lat...

ISBN 978-83-7359-500-2



9 788373 595002

**R O S S
MACDONALD
POŻEGNALNE
SPOJRZENIE**

Z angielskiego przełożył
ROBERT GINALSKI



WARSZAWA 2007

Tytuł oryginału:
THE GOODBYE LOOK

Copyright © Ross Macdonald 1969

Copyright renewed © The Margaret Millar
Charitable Remainder Unitrust 1997
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition
by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2007

Copyright © for the Polish translation by Robert Ginalski 2007

Redakcja: Jacek Ring

Zdjęcie na okładce: Andy Kingsbury/Corbis

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7359-500-2

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009
www.olesiejuk.pl



Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl
www.empik.com
www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS
ANDRZEJ KURYŁOWICZ
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie I
Skład: Laguna
Druk: B.M. Abedik S.A., Poznań

Dla Henriego Coulette

ROZDZIAŁ 1

Niejaki John Truttwell, prawnik, kazał na siebie czekać. W tym czasie obejrzałem sobie poczekalnię jego kancelarii. Fotel, w którym siedziałem, obity był miękką zieloną skórą. Na wszystkich ścianach, niczym subtelne reklamy regionu, wisiały płótna olejne przedstawiające miejscowe pejzaże, zarówno lądowe, jak morskie.

Młoda recepcjonistka o różowych włosach odwróciła się do mnie od centralki telefonicznej. Grube czarne kreski wokół jej oczu powodowały, że wyglądała jak więzień patrzący zza krat.

— Bardzo mi przykro, że pan Truttwell tak się spóźnia. To przez tę jego córeczkę — powiedziała. Zabrzmiało to cokolwiek niejasno. — Powinien przestać się wtrącać w jej sprawy, niech się dziewczyna uczy na własnych błędach. Tak jak ja.

— O...?

— Właściwie to jestem modelką. Tu załapałam się w zastępstwie, tylko dlatego, że drugi mąż puścił mnie kantem. Czy pan naprawdę jest detektywem?

Przyznałem, że i owszem.

— Mąż jest fotografem. Dużo bym dała, żeby się dowiedzieć, z kim... gdzie teraz mieszka.

— Niech pani da sobie z nim spokój. Nie warto.

— Może i ma pan rację. Jako fotograf jest do bani. Najlepsi jurorzy mówili mi, że na jego zdjęciach wyglądam dużo gorzej niż w rzeczywistości.

Ta dziewczyna potrzebuje zmiłowania, pomyślałem.

W otwartych drzwiach stanął wysoki mężczyzna pod sześćdziesiątkę. Barczysty, elegancko ubrany, był przystojny i niewątpliwie świetnie zdawał sobie z tego sprawę. Miał starannie zaczesane gęste siwe włosy; z równą starannością przybrał stosowną minę.

— Pan Archer? Jestem John Truttwell. — Bez szczególnego entuzjazmu uścisnął mi dłoń i poprowadził korytarzem do swojego gabinetu. — Należą się panu podziękowania za to, że tak szybko zechciał się pan pofatygować z Los Angeles, no i przepraszam, że kazałem na siebie czekać. Niby jestem już prawie na emeryturze, a tymczasem nigdy nie miałem takiego urwania głowy jak teraz.

Truttwell nie był tak niepozberany, jak można by sądzić po stylu jego wypowiedzi. Potok słów nie przeszkadzał mu zlustrować mnie bacznie smutnymi zimnymi oczami. Przepuścił mnie przodem do gabinetu i wskazał fotel z brązowej skóry po drugiej stronie biurka.

Przez zaciągnięte ciężkimi zasłonami okna wpadało nieco słońca, ale oświetlenie pokoju było sztuczne. W tej rozproszonej bieli Truttwell także wyglądał sztucznie, niczym precyzyjnie wyrzeźbiona figura woskowa, do której podłączono dźwięk. Na półce ponad jego prawym ramieniem stała oprawiona w ramkę fotografia młodej jasnookiej blondynki, zapewne jego córki.

— Przez telefon wspominał pan, że chodzi o pana Lawrence'a Chalmersa i jego żonę.

— Istotnie.

— Na czym polega ich kłopot?

— Przejdę do tego za chwilę — rzekł Truttwell. — Na wstępie jednak chciałbym jasno postawić jedną rzecz: Larry i Irene Chalmersowie są moimi przyjaciółmi. Mieszkamy

naprzeciwko siebie przy Pacific Street. Znam Larry'ego od zawsze, tak samo jak znali się nasi rodzice. Jako prawnik wyniosłem wiele korzyści z nauk jego ojca, sędziego. A moja świętej pamięci żona była serdeczną przyjaciółką matki Larry'ego.

Truttwell był wyraźnie dumny z tych koneksji, na swój nieco nierzeczywisty sposób. Jego lewa ręka powędrowała do skroni; przeciągnął nią po włosach delikatnie, jak gdyby muskał palcami spadek. Pod wpływem wspomnień z przeszłości jego oczy i głos nabrały sennego wyrazu.

— Zmierzam do tego, że Chalmersowie to niezwykle wartościowi ludzie — podjął. — Bardzo mi drodzy. Dlatego chciałbym, żeby obchodził się pan z nimi niezwykle delikatnie.

Atmosfera gabinetu przesycona była presją towarzyskich zależności. Spróbowałem ją rozładować.

— Jak z antykami? — rzuciłem.

— Z grubsza tak, chociaż oni wcale nie są starzy. Ja każde z nich traktuję jak dzieło sztuki, tym samym nie muszą być użyteczni. — Prawnik zamilkł, a po chwili odezwał się znowu, jakby nagle coś przyszło mu do głowy: — Nie da się ukryć, że od końca wojny Larry niczego specjalnego nie dokonał. Ma się rozumieć, zbił majątek, ale nawet to dostał na srebrnej tacy. Matka zostawiła mu w spadku ładną sumkę, a hossa na giełdzie pomnożyła ją w grube miliony.

Z głosu Truttwella przebijała nutka zazdrości, świadcząca o tym, że jego uczucia do małżeństwa Chalmersów są niejednoznaczne i nie do końca podszyte nabożną czcią. Pozwoliłem sobie zareagować na ten dokuczliwy podtekst.

— Domyślam się, że powinienem być pod wrażeniem?

Truttwell spojrzał na mnie wstrząśnięty, jak gdybym wydał jakiś nieprzyzwoity dźwięk albo zdradził się z tym, że takowy usłyszałem.

— Widzę, że nie wyraziłem się dostatecznie jasno. Dziadek Larry'ego Chalmersa walczył w wojnie secesyjnej, a następnie osiedlił się w Kalifornii i poślubił hiszpańską dziedziczkę

ziemskich włości. Larry także był bohaterem wojennym, ale nie lubi o tym mówić. W naszym błyskawicznie powstałym społeczeństwie czyni to z niego niemal arystokratę. — Wsłuchał się w brzmienie ostatniego zdania, jak gdyby wypowiadał je nie po raz pierwszy.

— A pani Chalmers?

— Nikt nie nazwałby Irene arystokratką. Ale to diablo piękna kobieta! — dorzucił z nieoczekiwanym żarem. — Czyli ma wszystko to, co kobieta mieć powinna.

— Wciąż jednak nie wyjaśnił mi pan, na czym polega ich kłopot.

— Po części dlatego, że i dla mnie sprawa nie jest całkiem jasna. — Truttwell wziął z biurka arkusz żółtego papieru kancelaryjnego i zmarszczył brwi, wczytując się w bazgroły na kartce. — Mam nadzieję, że z kimś obcym będą rozmawiać swobodniej. Irene przedstawiła mi sytuację w ten sposób, że kiedy wyjechali na długi weekend do Palm Springs, ktoś włamał się do ich domu. Dziwne to było włamanie. Według niej zabrano tylko jedną wartościową rzecz... starą złotą szkatułkę, którą trzymali w sejfie w gabinecie. Widziałem ten sejf, sędzia Chalmers kazał go zamontować jeszcze w latach dwudziestych, i nie ulega wątpliwości, że trudno byłoby się do niego dostać.

— Czy państwo Chalmers zawiadomili policję?

— Nie, i nie mają takiego zamiaru.

— Czy zatrudniają służbę?

— Mają hiszpańskiego służącego, który mieszka osobno. Ale on pracuje u nich od ponad dwudziestu lat. Poza tym to właśnie on ich zawiózł do Palm Springs. — Zamilkł i pokręcił siwą głową. — A jednak wygląda to na robotę kogoś z kręgu domowników, nie sądzi pan?

— Podejrzewa pan tego służącego?

— Wołałbym nie zdradzać panu, kogo czy co podejrzewam. Lepiej się będzie panu pracowało, jeżeli nie będzie pan do nikogo z góry uprzedzony. O ile znam Irene i Larry'ego, są to

ludzie niezwykle skryci i nie będę udawał, że rozumiem ich styl życia.

— Czy mają dzieci?

— Jednego syna, Nicholasa — odparł bezbarwnym tonem.

— Ile ma lat?

— Dwadzieścia trzy albo cztery. W tym miesiącu kończy studia na uniwersytecie.

— W styczniu?

— Tak. Nick na pierwszym roku opuścił jeden semestr. Bez słowa porzucił studia i na kilka miesięcy jakby zapadł się pod ziemię.

— A czy teraz sprawia rodzicom kłopoty?

— Moim zdaniem to za mocno powiedziane.

— Czy możliwe, że to on dokonał włamania?

Truttwell nie kwapił się z odpowiedzią. Sądząc po tym, jak zmieniał się wyraz jego oczu, rozważał w duchu rozmaite warianty odpowiedzi, nie wiedząc, czy wejść w rolę prokuratora, czy obrońcy.

— Nick byłby do tego zdolny — oświadczył w końcu. — Tyle że on nie miał powodu kraść matce złotej szkatułki.

— Mnie przychodzi do głowy nawet kilka powodów. Czy interesuje się kobietami?

— Owszem — odparł prawnik sztywno. — Tak się składa, że jest zaręczony z moją córką, Betty.

— Przepraszam.

— Nie ma za co. Skąd mógł pan wiedzieć? Proszę jednak uważać, co pan mówi Chalmersom. Przywykli do spokojnego życia, a ta nieszczęsna historia bardzo ich zdenerwowała. Swój drogocenny dom traktują z takim namaszczeniem, że włamanie odebrali jak profanację świątyni.

Gwałtownie zmiął żółtą kartkę i cisnął ją do kosza na śmieci. Ów niecierpliwy gest budził podejrzenie, że Truttwell chętnie by się uwolnił od Chalmersów i ich problemów, w tym także od synalka.

ROZDZIAŁ 2

Pacific Street, niczym czyściec, pięła się stromo od biednej dolnej części miasta do położonych na wzgórzu pięknych starych rezydencji. Dom Chalmersów, utrzymany w stylu ni to kalifornijskim, ni to hiszpańskiej hacjendy, miał pewnie z pięćdziesiąt albo i sześćdziesiąt lat, a mimo to w porannym słońcu jego ściany lśniły nieskazitelną bielą.

Przeszedłem przez otoczony murem dziedziniec i zastukałem do osadzonych w żelaznej futrynie drzwi. Otworzył mi ubrany w ciemny strój służący, którego twarz idealnie komponowała się z wnętrzami hiszpańskiego klasztoru, zapytał mnie o nazwisko i kazał mi poczekać w holu. Było to olbrzymie, wysokie na dwa piętra pomieszczenie, w którym najpierw poczułem się malutki, a potem, jakby na przekór otoczeniu, duży i pewny siebie.

Miałem stamtąd widok na wielką białą pieczarę salonu. Na ścianach wisiały jaskrawe nowoczesne obrazy. Wejścia broniła wysoka do ramion czarna brama z kutego żelaza, przez co poczułem się tam jak w muzeum.

Wrażenie to w pewnym stopniu rozproszyła ciemnowłosa kobieta, która wyszła mi na powitanie z ogrodu. Niosła sekator i jasnoczerwoną różę odmiany ole. Sekator odłożyła w holu na stół, lecz zatrzymała kwiat, idealnie pasujący odcieniem do barwy jej ust.

W jej promiennym uśmiechu wyczuwało się niepokój.

— Nie wiem czemu, spodziewałam się, że będzie pan starszy.

— Nie wyglądam na swoje lata.

— Ale ja prosiłam Johna Truttwella, żeby sprowadził mi szefa agencji.

— Moja agencja jest jednoosobowa. Czasem dobieram sobie innych detektywów, jeśli zachodzi taka potrzeba.

Zmarszczyła brwi.

— Wygląda mi to na jakiś szemrany interes. Agencja Pinkertona to zupełnie co innego.

— Nie prowadzę wielkiej firmy, jeżeli o to pani chodzi.

— Wcale nie. Tylko że potrzeba mi kogoś dobrego, naprawdę dobrego. Czy ma pan doświadczenie w kontaktach z... no... — wolną ręką wskazała najpierw na siebie, a potem na otoczenie — ludźmi z mojej sfery?

— Za słabo panią znam, żeby odpowiedzieć na to pytanie.

— Rozmawiamy o panu, nie o mnie.

— Zakładam, że polecając mnie państwu, pan Truttwell wyjaśnił, że mam doświadczenie.

— Ja chyba też mam prawo zadawać pytania, nie sądzi pan?

Powiedziała to tonem nieznoszącym sprzeciwu, a jednocześnie niepewnym. Tonem pięknej kobiety, która wżeniła się w pieniądze i pozycję towarzyską i która ani przez chwilę nie zapomina, jak łatwo może wszystko stracić.

— Proszę, niech więc pani pyta.

Podchwyciła mój wzrok i spojrzała mi głęboko w oczy, jakby próbowała czytać w moich myślach. Czarne oczy patrzyły na mnie badawczo, choć same były nieprzeniknione.

— Chcę wiedzieć tylko jedno. Gdyby udało się panu odzyskać tę florencką szkatułkę... zakładam, że John Truttwell powiedział panu o złotej szkatułce?

— Wspomniał, że zginęła.

Kiwnęła głową.

— Powiedzmy, że uda się panu odnaleźć i odkryć, kto ją zabrał, czy na tym sprawa się skończy? Chodzi mi o to, czy nie zawiadomi pan władz i nie opowie o wszystkim?

— Nie. Chyba że policja już o tym wie.

— Nie. Nie wie i nigdy się nie dowie — odparła. — Nie chcę, żeby ta sprawa wyszła na światło dzienne. Nawet Johnowi Truttwellowi nie chciałam mówić o szkatułce, ale wyciągnął to ze mnie. Inna sprawa, że jemu akurat ufam. A przynajmniej tak mi się wydaje.

— Natomiast mnie pani nie ufa, tak?

Uśmiechnąłem się, a ona postanowiła jakoś zareagować. Poklepała mnie po policzku czerwoną różą i upuściła ją na kamienną posadzkę, jak gdyby kwiat spełnił już swoje zadanie.

— Przejdźmy do gabinetu. Tam będziemy mogli porozmawiać bez przeszkód.

Zaprowadziła mnie krótkimi schodami do bogato rzeźbionych dębowych drzwi. Zanim zdążyła je za nami zamknąć, dostrzegłem, jak służący w holu sprząta po niej najpierw sekator, a potem różę.

Gabinet był skromny; pochyły biały sufit podtrzymywały ciemne belki. Jedyne małe okienko, okratowane od zewnątrz, sprawiało wrażenie, jakbyśmy byli w więziennej celi. Całą jedną ścianę zajmował regał pełen starych prawniczych książek, tak jakby więzień próbował wyczytać w nich, jak by tu się wydostać na wolność.

Na przeciwległej ścianie wisiało wielkie olejne płótno. Zapewne przedstawiało dawne Pacific Point, uchwycone w prymitywnej perspektywie: w porcie, u podstawy cypla, stał siedemnastowieczny żaglowiec, obok przechadzali się po plaży nadzy brązowi Indianie, a nad ich głowami hiszpańscy żołnierze maszerowali po niebie niczym armia.

Pani Chalmers wskazała mi obity cielecą skórą fotel obrotowy, stojący przed biurkiem z żaluzjowym zamknięciem.

— Te meble nie pasują do pozostałych — oznajmiła, jak gdyby miało to jakiegokolwiek znaczenie. — Ale przy tym

biurku pracował mój teść, a fotela, w którym pan siedzi, używał podczas rozpraw w sądzie. Był sędzią.

— Pan Truttwell mówił mi o tym.

— Tak, John Truttwell dobrze go znał. Ja go nie poznałam. Umarł dawno temu, kiedy Lawrence był jeszcze małym chłopcem. Ale mąż do tej pory otacza ojca nabożną czcią.

— Nie mogę się doczekać chwili, kiedy poznam pani męża. Czy jest w domu?

— Niestety nie. Pojechał do lekarza. Ta historia z włamaniem okropnie go zdenerwowała. — Po czym dorzuciła: — Zresztą i tak nie chcę, żeby pan z nim rozmawiał.

— Czy on wie, że tu jestem?

Odsunęła się ode mnie i pochyliła nad długim rozkładanym stołem z czarnego dębu. Ze srebrnego pudełka wyjęła papierosa i przypaliła go stołową zapalniczką od kompletu. Zaciągała się głęboko, tak że między nami zawisła chmura siniego dymu.

— Lawrence uważał, że wynajęcie prywatnego detektywa nie jest dobrym pomysłem. Mimo to postanowiłam skontaktować się z panem.

— Jakie miał zastrzeżenia?

— Mąż ceni sobie prywatność. A ta skradziona szkatułka... no cóż, jego matka dostała ją w prezencie od wielbiciela. Wiem o tym, chociaż nie powinnam. — Posłała mi nieszczerzy uśmiech. — W dodatku przechowywała w nim listy od niego.

— Od tego wielbiciela?

— Od mojego męża. Podczas wojny Larry bardzo często do niej pisał, a ona przechowywała te listy w szkatułce. Oczywiście one także zniknęły... inna sprawa, że nie mają żadnej wartości, chyba że dla Larry'ego.

— A czy szkatułka jest cenna?

— Tak sędzę. Jest złota i niezwykle kunsztowna. Wykonano ją we Florencji, w okresie renesansu. — Przy ostatnim słowie zacięła się, ale jakoś przez nie przebrnęła. — Na wieczku ma obrazek przedstawiający parę kochanków.

— Była ubezpieczona?

Pokręciła głową i skrzyżowała nogi.

— Nie wydawało się to konieczne. Prawie nigdy nie wyjmowaliśmy jej z sejfów. Nie przyszło nam do głowy, że ktoś mógłby się do niego włamać.

Poprosiłem, żeby pozwoliła mi go obejrzeć. Pani Chalmers zdjęła prymitywny obraz przedstawiający Indian i hiszpańskich żołnierzy i zobaczyłem głęboko osadzony w ścianie wielki walec. Pokręciła tarczą kilka razy i otworzyła drzwiczki. Zaglądając jej przez ramię, ujrzałem sejf o średnicy mniejszej szesnastocalowego działa i równie pusty.

— A gdzie pani trzyma biżuterię?

— Mam jej niewiele, nie interesują mnie błyskotki. Trzymam ją w kasetce w sypialni. Ale wzięłam ją ze sobą do Palm Springs. Złotą szkatułkę skradziono właśnie wtedy, kiedy tam byliśmy.

— Kiedy konkretnie zniknęła?

— Niech no pomyślę... Dziś mamy wtorek. Schowałam ją do sejfów w czwartek wieczorem. Następnego dnia rano wyjechaliśmy na pustynię. Niewątpliwie skradziono ją po naszym wyjeździe, czyli nie wcześniej niż cztery dni temu. Wczoraj w nocy, po powrocie, zajrzałam do sejfów i szkatułki nie było.

— A można wiedzieć, w jakim celu zaglądała tam pani wczoraj wieczorem?

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem — powtórzyła. Zabrzmiało to jak wierutne kłamstwo.

— Czy przychodziło pani na myśl, że ktoś może ją ukraść?

— Nie, z pewnością nie.

— A służący?

— Emilio jej nie zabrał. Ręczę za niego głową.

— Czy oprócz szkatułki zginęło coś jeszcze?

Zastanowiła się nad odpowiedzią.

— Nie sądzę. Oczywiście jeśli nie liczyć listów, tych słynnych listów.

— Były ważne?

— Jak mówiłam, ważne były dla mojego męża. I oczywiście-

cie dla jego matki. Ale ona od dawna nie żyje, umarła zaraz po wojnie. Ja jej nie poznałam. — Powiedziała to ze smutkiem, jakby miała za złe losowi, że pozbawił ją matczynego błogosławieństwa.

— Więc po co wlamywacz je zabrał?

— Proszę mnie o to nie pytać. Pewnie je wziął razem ze szkatułką. — Skrzywiła się. — Jeśli je pan odnajdzie, niech pan się nie fatyguje i ich nie zwraca. I tak słyszałam, co w nich jest, a przynajmniej w większości.

— Słyszała pani? Jak to?

— Mąż często czytał je na głos Nickowi.

— A gdzie jest teraz pani syn?

— Dlaczego pan pyta?

— Chciałbym z nim pomówić.

— Nie wolno panu. — Znowu zmarszczyła brwi. Pomyślałam, że pod tą piękną maską kryje się zepsuta dziewczyna, niczym oszust kulący się w posągu boga. — Szkoda, że John Truttwell nie przysłał mi kogoś innego. Kogokolwiek, byle nie pana.

— A co jest ze mną nie tak?

— Zadaje pan za dużo pytań. Wtyka pan nos w sprawy mojej rodziny, a ja i tak już powiedziałam panu więcej, niż powinnam.

— Mnie może pani zaufać. — Natychmiast pożałowałam tych słów.

— Doprawdy?

— Inni mi zaufali. — W swoim głosie dosłyszałam żalony ton handlarza, który za wszelką cenę usiłuje coś sprzedać. Zależało mi, żeby być przy tej kobiecie, żeby zajmować się jej przedziwną błahą sprawą; ten rodzaj urody powodował, że chciało się zgłębić jej historię. — Poza tym pan Truttwell z pewnością poradził pani, żeby niczego przede mną nie ukrywać. Kiedy zatrudnia mnie prawnik, konstytucja gwarantuje mi prawo do odmowy zeznań tak samo jak jemu.

— Co to konkretnie oznacza?

— To znaczy, że nikt nie może mnie zmusić do wyjawienia tego, co odkryłem. Nawet ława przysięgłych nie może mnie ukarać za obrazę sądu.

— Rozumiem. — Wytrąciła mnie z równowagi do tego stopnia, że wystawiłem się na sprzedaż, a teraz w pewnym sensie mogła mnie kupić, i to niekoniecznie za pieniądze. — Coś panu powiem, jeżeli obieca pan to zachować wyłącznie dla siebie; nawet John Truttwell nie może się o tym dowiedzieć. To chyba nie było zwyczajne włamanie.

— Podejrzewa pani kogoś z domowników? Na sejfie nie ma śladów włamania.

— Lawrence też zwrócił na to uwagę. Właśnie dlatego nie chciał, żeby pana angażować. Nie chciał nawet, żebym poinformowała Johna Truttwella.

— A kto jego zdaniem ukradł szkatułkę?

— Nie mówił. Obawiam się jednak, że podejrzewa Nicka.

— Czy pani syn wpadał już w tarapaty?

— Nie tego rodzaju. — Zniżyła głos tak, że z trudem ją usłyszałem, i zgarbiła się, jak gdyby ciężar myśli o synu był ponad jej siły.

— A na czym polegały?

— Miał tak zwane problemy emocjonalne. Nagle, bez żadnego powodu, wypiął się na Lawrence'a i na mnie. Kiedy miał dziewiętnaście lat, uciekł z domu. Agenci Pinkertona szukali go miesiącami. Kosztowało nas to tysiące dolarów.

— I gdzie się podziewał?

— Włóczył się po całym kraju i pracował. Nawiasem mówiąc, jego psychiatra uznał, że w sumie wyszło mu to na dobre. Potem już solidnie przykładał się do nauki. A nawet znalazł sobie dziewczynę. — Mówiła to z dumą czy też nadzieją, ale w jej oczach czaił się smutek.

— A więc pani zdaniem to nie on zabrał szkatułkę?

— Nie, nie on. — Zadarła brodę. — Gdybym tak uważała, nie byłoby pana tutaj.

— Czy potrafiłby otworzyć sejf?

— Wątpię. Nie podaliśmy mu kombinacji do zamka.
— Zauważyłem, że pani zna ją na pamięć. Czy macie państwo zapisany ten numer?

— Tak.

Otworzyła dolną prawą szufladę biurka, wysunęła ją całym i odwróciła do góry dnem, wysypując na blat stos żółtych wyciągów bankowych. Od spodu była przyklejona taśmą karteczka z wystukany na maszynie szeregiem cyfr. Taśma pozółkła i popękała ze starości, a kartka tak się wytarła, że cyfry były prawie nie do odczytania.

— Nietrudno ją znaleźć — zauważyłem. — Czy pani syn potrzebuje pieniędzy?

— Nie wyobrażam sobie na co. Miesięcznie daje mi sześćset, siedemset dolarów, a nawet więcej, jeśli akurat potrzebuje.

— Wspomniała pani o jakiejś dziewczynie.

— Jest zaręczony z Betty Truttwell, a ona z całą pewnością nie dybie na bogatego męża.

— Może w jego życiu jest jeszcze inna dziewczyna albo kobieta?

— Nie. — Ale odpowiedziała powoli, z wahaniem.

— Czy on ma osobisty stosunek do tej szkatułki?

— Nick? — Zmarszczyła gładkie czoło, jak gdyby moje pytanie ją zaskoczyło. — Prawdę mówiąc, interesował się nią, kiedy był jeszcze mały. Pozwalałam, żeby bawił się nią razem z Betty. Udawaliśmy... to znaczy oni udawali, że to puszka Pandory. Wie pan, taka magiczna skrzynka.

Roześmiała się krótko. Pogrążyła się cała w marzeniach o przeszłości. Nagle jej oczy znów zmieniły wyraz, zdradzając myśli, w których zaciętość mieszała się z popłochem.

— Może nie powinnam tak się upierać przy swoim — odezwała się niepewnie. — Ale nie mogę uwierzyć, że to Nick ukradł szkatułkę. Zazwyczaj był z nami szczerzy.

— A pytała go pani, czy ją zabrał?

— Nie. Nie widzieliśmy się z nim od powrotu z pustyni.

Nick ma własne mieszkanie obok uniwersytetu i właśnie podchodzi do końcowych egzaminów.

— Chciałbym z nim pomówić, choćby po to, żeby usłyszeć tak albo nie. Skoro jest w kręgu podejrzanych...

— Tylko niech mu pan nie mówi, że ojciec go podejrzewa. Przez ostatnie dwa lata stosunki między nimi układały się tak wspaniale, że za nic nie chciałam ich popsuć.

Obiecałam, że będę taktowny. Bez dalszych nacisków z mojej strony dała mi numer telefonu Nicka Chalmersa i jego adres na terenie kampusu. Zapisała mi to na kartce dziecinny, niewprawnym charakterem pisma. Potem rzuciła okiem na zegarek.

— Zeszło nam dłużej, niż myślałam. Mąż zaraz wróci do domu na lunch.

Była zarumieniona, jej oczy błyszczały, jak gdyby dobiegła końca potajemna randka. Pośpiesznie wyprowadziła mnie do holu, gdzie służący w ciemnym ubraniu stał z nieprzeniknioną miną, w pełnej szacunku pozie. Otworzył drzwi frontowe, a pani Chalmers nieomal wypchnęła mnie na dwór.

Przed domem wysiadał właśnie z czarnego rolls-royce'a mężczyzna w średnim wieku, ubrany w świetnie skrojony tweedowy garnitur. Przemaszerował przez dziedziniec z precyzją wojskowego, jakby o każdym jego kroku, każdym ruchu ręki decydował osobny rozkaz, który przyszedł z góry. Ze szczupłej opalonej twarzy spoglądały niewinne jasnoniebieskie oczy. Pod nimi widniał konwencjonalny, starannie przycięty brązowy wąs.

Chalmers zlustrował mnie pozbawionym wyrazu spojrzeniem.

— Irene, co tu się dzieje? — zapytał.

— Nic. To znaczy... — Odetchnęła głęboko. — Pan jest z ubezpieczeń. Przyszedł w sprawie włamania.

— Wezwałeś go?

— Tak. — Zerknęła na mnie zawstydzona. Łgała w żywe oczy i chciała, żebym wziął w tym udział.

— Postąpiłaś bardzo głupio — orzekł jej mąż. — O ile mi wiadomo, florencka szkatułka nie była ubezpieczona.

Gdy na mnie spojrzał, w jego uprzejmym wzroku malowało się pytanie.

— Nie — przyznałem drewnianym głosem.

Byłem zły na tę kobietę. Popsuła nasze wzajemne stosunki i prawdopodobnie uniemożliwiła mi nawiązanie poprawnych relacji w przyszłości z jej mężem.

— Wobec tego nie zatrzymujemy pana — zwrócił się do mnie Chalmers. — Przepraszam za gafę mojej żony. Przykro mi, że fatygował się pan na próżno.

Ruszył w moim kierunku, cierpliwie uśmiechając się pod wąsem. Odsunąłem się na bok. Mijając mnie w głębokim wejściu, uważał, żebyśmy się przypadkiem nie otarli. Byłem przecież tylko zwykłym śmiertelnikiem, a to mogło być zaraźliwe.

ROZDZIAŁ 3

Po drodze na uniwersytet zatrzymałem się na stacji benzynowej i z umieszczonej na zewnątrz budki telefonicznej zadzwoniłem do Nicka. Usłyszałem dziewczęcy głos:

— Mieszkanie Nicholasa Chalmersa.

— Czy pan Chalmers jest w domu?

— Niestety nie — odparła tonem zawodowej telefonistki. — Ja tylko odbieram i przekazuję mu wiadomości.

— Jak mogę się z nim skontaktować? To pilne.

— Nie wiem, gdzie jest teraz. — W jej głos wkradła się zupełnie nieprofesjonalna nuta niepokoju. — Czy to ma coś wspólnego z tym, że nie podszedł do egzaminów?

— Całkiem niewykluczone — odparłem w taki sposób, by nie zamykać sobie żadnej furtki. — Jest pani przyjaciółką Nicka?

— Tak. No przecież że nie telefonistką. Jestem jego narzeczoną.

— Czy mam przyjemność z panną Truttwell?

— My się znamy?

— Jeszcze nie. Jest pani teraz w mieszkaniu Nicka?

— Tak. A pan jest doradcą prawnym?

— Z grubsza rzecz biorąc. Nazywam się Archer. Panno Truttwell, czy mogłaby pani tam na mnie zaczekać? A jeśli zjawi się Nick, niech go pani poprosi, żeby także zaczekał.

Obiecała mi to.

— Zrobię wszystko, żeby mu pomóc. — Jej słowa dowodziły, że chłopakowi przyda się wszelka możliwa pomoc.

Uniwersytet mieścił się na płaskowyżu kilka mil za miastem, na tyłach lotniska. Z oddali niepełny owal nowych budynków wydawał się tak starożytny i tajemniczy jak Stonehenge. Był trzeci tydzień stycznia, więc przypuszczałem, że właśnie trwa zimowa sesja egzaminacyjna. Studenci, których napotkałem, objeżdżając kampus, sprawiali wrażenie przejętych i zaaferowanych.

Bywałem tu wcześniej, ale ostatni raz ładne kilka lat temu. Przez ten czas liczba studentów zwielokrotniła się, a na terenie miasteczka uniwersyteckiego wyrosło całe osiedle. Po Los Angeles jazda przez miasto, gdzie wszyscy ludzie są młodzi, była niesamowitym przeżyciem.

Nick mieszkał w czteropiętrowym budynku o nazwie Cambridge Arms. Wjechałem samoobsługową windą na ostatnie piętro i znalazłem jego mieszkanie, oznaczone numerem 51.

Dziewczyna otworzyła drzwi, zanim zdążyłem zapukać. Widząc, że to tylko ja, zatrzepotała rzesami. Miała proste jasnożółte włosy, muskające na ramionach ciemny żakiet, który nosiła do spodni. Wyglądała na jakieś dwadzieścia lat.

— Nick się nie zjawił? — spytałem.

— Niestety nie. Pan Archer?

— Tak.

Obrzuciła mnie szybkim, badawczym spojrzeniem, a ja uświadomiłem sobie, że jest starsza, niż myślałem.

— Czy pan naprawdę jest doradcą prawnym, panie Archer?

— Mówiłem, że z grubsza rzecz biorąc. Zajmuję się doradztwem od lat, jako amator.

— A czym pan się zajmuje zawodowo?

W jej głosie nie wyczuwałem niechęci. Ale oczy dziewczyny zdradzały, że jest szczerą, wrażliwą i łatwo ją urazić. Nie chciałem do tego doprowadzić. Od dawna nie spotkałem kogoś równie miłego.

— Boję się, że jeśli pani powiem, nie zechce pani ze mną rozmawiać.

— Pan jest z policji, tak?

— Kiedyś byłem policjantem. Teraz jestem prywatnym detektywem.

— Wobec tego miał pan rację. Nie mamy o czym rozmawiać.

Zaczęła zdradzać objawy paniki, miała rozszerzone oczy i nozdrza. Jej twarz błyszczała, a może raczej lśniła.

— Czy to rodzice Nicka przysłali pana, żeby pan ze mną pomówił?

— Skąd taki pomysł? Kto by się spodziewał, że pani tu będzie? Ale skoro już rozmawiamy, wejdźmy może do środka.

Po chwili wahania odsunęła się i wpuściła mnie do mieszkania. Pokój dzienny umeblowany był kosztownie, ale bez polotu. Zupełnie jakby Chalmersowie kupili synowi meble, nie pytając go o zdanie.

Pokój sprawiał takie wrażenie, jakby Nick się przed nim chował. Na ścianach nie wisiał ani jeden obraz. Jedyнным osobistym akcentem były stojące na typowym regale książki, głównie podręczniki z zakresu polityki, prawa, psychologii i psychiatrii.

Odwrociłem się do dziewczyny.

— Nick nie afiszuje się z tym, że tu mieszka — zauważyłem.

— Faktycznie. To bardzo skryty ni to mężczyzna, ni chłopiec.

— To w końcu chłopiec czy mężczyzna?

— Chyba właśnie próbuje się zdecydować, kim naprawdę jest.

— Ile on ma właściwie lat, proszę pani?

— W zeszłym miesiącu skończył dwadzieścia trzy... czternastego grudnia. Robi dyplom pół roku po terminie, bo kilka lat temu stracił jeden semestr. A raczej zrobi, jeżeli dopuszczą

go jeszcze do sesji. Ma cztery egzaminy, a jak dotąd nie podszedł do trzech.

— Dlaczego?

— Nie dlatego, że się nie uczył. Jest wyjątkowo zdolny, naprawdę — powiedziała takim tonem, jakby się spodziewała, że zaprzeczę. — Z nauk politycznych, które są jego przedmiotem kierunkowym, jest rewelacyjny, a w przyszłym roku wybiera się na prawo. — Jej głos brzmiał trochę nierealnie, jak gdyby opowiadała o własnych marzeniach albo próbowała na nowo rozbudzić w sobie nadzieję.

— Więc w czym problem?

— Jak to mówią, problemy życiowe. — Zrobiła krok w moim kierunku, stanęła z opuszczonymi rękami i zwróciła do mnie otwarte dłonie. — Ni stąd, ni zowąd przestało mu zależeć.

— Na pani?

— Gdyby tylko o to chodziło, jakoś bym to przeżyła. Ale on odciął się od wszystkiego. Kilka dni temu jego życie kompletnie się zmieniło.

— Narkotyki?

— Nie, nie sędzę. Nick wie, jakie to niebezpieczne.

— Niebezpieczeństwo bywa pociągające.

— Wiem... rozumiem, co pan ma na myśli.

— Czy rozmawiał z panią o tym?

Przez chwilę nie kojarzyła, o czym mówię.

— O czym?

— O zmianie, jaka nastąpiła w jego życiu w ciągu ostatnich kilku dni.

— Właściwie nie. Widzi pan, w grę wchodzi inna kobieta. Starsza. — Zazdrość po prostu ją zżerała.

— Czy on upadł na głowę?

Chciałem powiedzieć jej komplement, ona jednak potraktowała to dosłownie.

— Wiem. Robi rzeczy, których z pewnością by nie robił, gdyby był całkiem zdrowy na umyśle.

— Proszę mi opowiedzieć, co takiego wyrabia.
Popatrzyła na mnie; było to najdłuższe spojrzenie, jakim mnie dotąd obrzuciła.

— Nie mogę. Przecież ja pana wcale nie znam.
— Ale zna mnie pani ojciec.
— Naprawdę?
— Jeśli mi pani nie wierzy, proszę do niego zadzwonić.
Jej wzrok powędrował do aparatu telefonicznego stojącego na małym stoliku przy kanapie, po czym wrócił i spoczął na mojej twarzy.

— Wobec tego pracuje pan dla Chalmersów. Są klientami ojca.
Nic na to nie powiedziałem.
— W jakim celu rodzice Nicka pana wynajęli?
— Bez komentarzy. Tracimy tylko czas. Obojgu nam zależy na tym, żeby Nick znowu stał się sobą. Musimy sobie pomagać.
— A jak mogłabym pomóc?
Poczułem, że do niej trafiam.
— Widać, że ma pani ochotę przed kimś się wygadać.
Proszę mi powiedzieć, w co on się wpakował.

Do tej pory stałem jak nieproszony gość. Teraz usiadłem na kanapie. Dziewczyna podeszła ostrożnie i przysiadła na oparciu, z dala ode mnie.

— Jeśli panu powiem, nie powtórzy pan jego rodzicom?
— Nie. Ma pani coś przeciwko nim?
— Właściwie nie. To mili ludzie, znam ich od urodzenia jako naszych przyjaciół i sąsiadów. Ale pan Chalmers jest dla Nicka zbyt surowy... wie pan, oni są tacy różni. Na przykład Nick ma bardzo krytyczny stosunek do wojny, co jego ojciec uważa za brak patriotyzmu. Sam walczył podczas ostatniej wojny, został odznaczony, i pewnie dlatego jest taki nieugięty w swoich przekonaniach.
— Co robił na wojnie?
— Był pilotem w marynarce wojennej, miał wtedy mniej

lat niż Nick teraz. Uważa syna za skrajnego anarchistę. — Przerwała. — Ale to nieprawda. Przyznaję, że kiedyś Nick był dość radykalny... kilka lat temu, zanim poważnie wziął się do nauki. Aż do zeszłego tygodnia tak świetnie mu szło. I nagle wszystko szlag trafił.

Czekałem. Ostrożnie niczym ptak zsunęła się z oparcia kanapy i klapnęła obok mnie. Skrzywiła się i zacisnęła powieki, powstrzymując łzy. Po chwili kontynuowała:

— Myślę, że źródłem wszystkiego jest ta kobieta. Wiem, jak to o mnie świadczy. Ale jak mam nie być zazdrosna? Nick rzucił mnie jak gorący kartofel i związał się z kobietą w takim wieku, że mogłaby być jego matką. W dodatku to mężatka.

— Skąd pani o tym wie?

— Przedstawił mi ją jako panią Trask. Jestem prawie pewna, że ona nie jest stąd... w książce telefonicznej nie ma żadnych Trasków.

— Przedstawił was sobie?

— Zmusiłam go do tego. Zobaczyłam ich razem w restauracji Lido. Podeszłam do ich stolika i stałam, dopóki Nick nie przedstawił mnie jej i jeszcze jakiemuś mężczyźnie. Tamten nazywa się Sidney Harrow. Jest z San Diego, zajmuje się odzyskiwaniem długów.

— Powiedział pani o tym?

— Niezupełnie. Sama to odkryłam.

— Widzę, że z pani jest odkrywca jak się patrzy.

— I owszem — przytaknęła. — To prawda. Choć w zasadzie nie wtykam nosa w nie swoje sprawy. — Uśmiechnęła się do mnie półgębkiem. — Ale czasami sytuacja człowieka do tego zmusza. Dlatego kiedy pan Harrow nie patrzył, zwinęłam mu kwit parkingowy, który leżał na stole obok jego talerza. Wyszłam z restauracji i namówiłam parkingowego, żeby pokazał mi jego samochód. To stary gruchot, kabriolet z wyrwaną tylną szybą. Dalej już poszło łatwo. Spisałam nazwisko i adres z dowodu rejestracyjnego na tablicy rozdzielczej i zadzwoniłam pod ten adres, do San Diego. Okazało

się, że mieści się tam agencja odzyskiwania długów. Powie-
dziali mi, że Harrow jest na wakacjach. Akurat!

— Skąd pani wie, że nie przyjechał tu na wakacje?

— Jeszcze nie skończyłam. — Po raz pierwszy okazała
zniecierpliwienie, pochłonięta swoją opowieścią. — Spot-
kałam ich w restauracji w czwartek w południe. A w piątek
wieczorem znowu zobaczyłam ten kabriolet. Stał przed domem
Chalmersów. Mieszkamy przy tej samej ulicy, prawie na-
przeciwko sobie, i z okna pracowni mam widok na ich dom.
Żeby się upewnić, czy to na pewno samochód Harrowa,
wysłałam na dwór i sprawdziłam rejestrację. To było w piątek,
około dziewiątej wieczorem.

Rzecz jasna, to był jego samochód. Harrow prawdopodobnie
usłyszał, jak zamykam drzwiczki, bo wybiegł z domu Chal-
mersów jak szalony i spytał, co ja tam robię. Na to ja
zapytałam, co on tu robi. Wtedy uderzył mnie w twarz i zaczął
wykręcać mi rękę. Widocznie narobiłam hałasu, bo Nick
wybiegł z domu i znokautował Harrowa. A potem Harrow
wyciągnął z samochodu rewolwer i przez chwilę myślałam,
że strzeli do Nicka. Obaj mieli przedziwne miny, jakby za
chwilę mieli umrzeć. Jak gdyby chcieli się pozabijać.

Znałam to pożegnalne spojrzenie. Widywałam je podczas
wojny, a i po wojnie o wiele za często.

— Ale wtedy z domu wyszła ta kobieta i ich powstrzy-
mała — mówiła dalej dziewczyna. — Kazała Harrowowi
wsiąść do samochodu. Sama też wsiadła i odjechali. Nick
powiedział, że bardzo mu przykro, ale teraz nie może ze mną
rozmawiać. Wrócił do domu i zamknął drzwi na klucz.

— Skąd pani wie, że na klucz?

— Bo próbowałam je otworzyć. Jego rodzice wyjechali do
Palm Springs, a on był okropnie zdenerwowany. Niech pan
mnie nie pyta dlaczego. Ja w ogóle nic z tego nie rozumiem,
poza tym, że ta kobieta go omotała.

— Jest pani pewna?

— Zna pan ten typ? Tleniona blondyna, szminka roz-

mazana na wielkich czerwonych ustach i jad w oczach. Nie pojmuję, jak Nick mógł na nią polecieć.

— Dlaczego przypuszcza pani, że na nią leci?

— Bo ona mówi do niego w taki sposób, jakby był jej własnością — odparła, nie patrząc na mnie, odwrócona półbokiem.

— Mówiła pani ojcu o tej kobiecie?

Pokręciła głową.

— On wie, że nie układa nam się z Nickiem. Ale nie mogę mu powiedzieć, o co chodzi. To by stawiało Nicka w bardzo złym świetle.

— A pani chce wyjść za niego za męża?

— Czekam na to od dawna. — Usiadła twarzą do mnie. Czułem, że jej zimny upór napiera na mnie jak woda na tamę. — Zamierzam wyjść za Nicka bez względu na to, czy się to ojcu podoba, czy nie. Ale oczywiście wolałabym mieć jego zgodę.

— A on ma coś przeciwko Nickowi?

Mina jej zrzedła.

— Ojciec będzie miał coś przeciwko każdemu mężczyźnie, którego będę chciała poślubić. Moja matka zginęła w czterdziestym piątym roku. Była młodsza niż ja obecnie — dorzuciła z lekkim zdziwieniem. — Ojciec nie ożenił się powtórnie, ze względu na mnie. A ja żałuję, że właśnie ze względu na mnie tego nie zrobił.

Mówiła z naciskiem, dobitnie, jak młoda kobieta, która wiele wycierpiała.

— Ile ma pani lat, Betty?

— Dwadzieścia pięć.

— Kiedy ostatnio widziała pani Nicka?

— W piątek wieczorem, przed jego domem.

— I od tej pory czeka tu pani na niego?

— Nie przez cały czas. Tata zamartwiłby się na śmierć, gdybym nie wróciła na noc do domu. Nawiasem mówiąc, odkąd zaczęłam tu czekać, Nick nie spał w swoim łóżku.

— Czyli od kiedy?

— Od soboty po południu. — Po czym dodała z taką miną, jakby miała z wymiotować: — Jeśli woli sypiać z tamtą, to trudno.

W tym momencie zadzwonił telefon. Betty wstała szybko i odebrała. Przez chwilę słuchała, po czym powiedziała ponuro:

— Ja tylko przyjmuję wiadomości dla pana Chalmersa... Nie, nie wiem, gdzie jest... Pan Chalmers nie udziela mi takich informacji.

Znowu zamilkła. Siedząc na kanapie, słyszałem dobiegający ze słuchawki wzburzony kobiecy głos, ale nie rozumiałem, co mówi. Betty powtórzyła jej słowa:

— Pan Chalmers ma się trzymać z dala od hotelu Montevista Inn. Rozumiem. Mąż panią śledził. Czy to też mam mu powtórzyć...? Dobrze.

Odłożyła słuchawkę tak delikatnie, jakby była wypełniona materiałem wybuchowym. Ze wzburzenia rumieniec wypełził jej na szyję i krew nabiegła do twarzy.

— Dzwoniła pani Trask.

— Tak myślałem. Domyślam się, że jest teraz w Montevista Inn.

— Tak. Jej mąż również.

— Może ich tam odwiedzę?

Nagle zerwała się na nogi.

— Wracam do domu. Nie będę tu czekała ani chwili dłużej. To ponizające.

Razem zjechaliśmy windą. W intymności, jaką zapewniał brak windziarza, dziewczyna powiedziała:

— Zdradziłam panu wszystkie swoje tajemnice. Jak pan to robi, że ludzie się panu zwierniają?

— Nic nie robię. Wszyscy lubią mówić o tym, co ich boli. Czasami pomaga to ukoić ból.

— Tak, chyba ma pan rację.

— Czy mogę pani zadać jeszcze jedno bolesne pytanie?

- Dzisiaj już nic mnie nie zaskoczy.
 - Jak zginęła pani matka?
 - Przejechał ją samochód, dokładnie przed naszym domem na Pacific Street.
 - Kto prowadził?
 - Nie wiadomo, a w każdym razie ja nic wiem. Byłam wtedy malutka.
 - Kierowca zbiegł z miejsca wypadku?
- Pokiwała głową. Na parterze drzwi się rozsunęły i intymny nastrój przysł. Razem wyszliśmy na parking. Patrzyłem, jak Betty odjeżdża czerwonym dwuosobowym samochodem i skręcając w ulicę, pali gumę.

ROZDZIAŁ 4

Montevista leży nad samym morzem, tuż na południe od Pacific Point. Wówczas była to dzielnica willowa o wiejskim charakterze, dla tych, którzy lubią lasy i których stać na to, by mieszkać wszędzie, gdzie zechcą.

Po zjeździe z autostrady skręciłem na porośnięte dębami wzgórze, do Montevista Inn. Z hotelowego parkingu dachy położonych niżej domów wyglądały, jak gdyby pływały w morzu zieleni. Spytałem młodego człowieka w recepcji o panią Trask. Skierował mnie do domku numer siedem, po drugiej stronie basenu.

Basen był wielki i staromodny; na jego krańcu odlany z brązu delfin wyrzucał w górę fontannę wody. Dalej, pośród dębów, wiła się kamienna ścieżka, prowadząca do białego, krytego stiukiem domku. Dzieciół z czerwonymi lotkami zerwał się z drzewa i wzbił w bezkresne niebo, rozkładając i składając skrzydła niczym obramowany krwistą czerwienią wachlarz.

Byłoby tam bardzo miło, gdyby nie dobiegające z domku głosy. W głosie kobiety pobrzmiwała drwina; głos mężczyzny był smutny i monotony.

— To wcale nie jest zabawne, Jean. Ile razy można marnować sobie życie? Pamiętaj, że to nie tylko twoje życie, ale

także moje. W końcu dojdiesz do takiego punktu, że nic już nie da się sklecić. Myślałem, że to, co spotkało twojego ojca, czegoś cię nauczy.

— Mojego ojca do tego nie mieszaj.

— Jak mam go nie mieszać? Wczoraj wieczorem zadzwoniłem do Pasadeny, do twojej matki, i powiedziała mi, że ty wciąż go szukasz. Gonisz w piętkę, Jean. On prawdopodobnie nie żyje od lat.

— Nie! Tata nie umarł. I tym razem na pewno go odnajdę.

— Po to, żeby znów mógł cię porzucić?

— On nigdy mnie nie porzucił.

— Twoja matka mówiła co innego. Porzucił was obie i zniknął z jakąś spódniczką.

— Wcale nie. — Kobieta podniosła głos. — Nie waż się tak mówić o moim ojcu!

— A jak mam mówić, skoro taka jest prawda?

— Nie będę tego dłużej słuchać! — krzyknęła. — Wynoś się stąd! Chcę zostać sama.

— Nic z tego. Wracasz ze mną do domu, do San Diego, i masz robić dobrą minę do złej gry. Po dwudziestu latach choć tyle mi się od ciebie należy.

Kobieta milczała przez pewien czas. Otoczenie szemrało jak delikatne fale: a to szelest zębów myszkującej w poszyciu, a to odgłosy mysikrólika. Kiedy się znów odezwała, głos miała spokojniejszy, poważny.

— Przepraszam, George, naprawdę cię przepraszam, ale powinieneś sobie odpuścić. Tyle razy powtarzasz mi to samo, że twoje słowa wlatują mi jednym uchem, a wylatują drugim.

— Przedtem zawsze do mnie wracałaś — rzekł z nadzieją.

— Ale nie tym razem.

— Musisz, Jean.

Powiedział to piskliwym głosem, w którym zamiast nadziei Pobrmiewała teraz groźba. Przesunąłem się wzdłuż bocznej ściany domku.

— Nie waż się mnie dotykać! — ostrzegła go kobieta.

— Mam do tego prawo. Jesteś moją żoną.

Mówił i robił dokładnie to, czego nie powinien; wiedziałem o tym, bo swego czasu postępowałem tak samo. Kobieta krzyknęła cicho, lecz zabrzmiało to tak, jakby dopiero zbierała siły do prawdziwego wrzasku.

Wysunąłem głowę zza rogu domu i na końcu kamiennej ścieżki ujrzałem patio. Mężczyzna unieruchomił żonę w ramionach i całował z boku jej jasne włosy. Odwróciła od niego twarz, w moim kierunku. Z jej oczu wiało chłodem, jak gdyby pocałunki męża były lodowate.

— Puść mnie, George. Mamy towarzystwo.

Zostawił ją i cofnął się, z nabiegłą krwią twarzą i łzami w oczach. Był dużym mężczyzną w średnim wieku; poruszał się niezdarnie, jak gdyby to on był tu intruzem, a nie ja.

— To moja żona — powiedział, ale nie po to, żeby ją przedstawić, lecz żeby się usprawiedliwić.

— A dlaczego krzyczała?

— Wszystko w porządku — odezwała się kobieta. — Nic złego mi nie zrobił. Ale lepiej idź sobie, George, zanim coś się stanie.

— Mam jeszcze z tobą do pogadania. — Wyciągnął do niej grubą czerwoną rękę. Było w tym coś groźnego i wzruszającego zarazem, jakby ten gest wykonał niewinny potwór doktora Frankenstein.

— Tylko byś się znowu zdenerwował.

— Mam prawo przedstawić swoje stanowisko. Nie możesz mnie wygnąć bez wysłuchania moich racji. W przeciwieństwie do twojego ojca nie jestem przestępcą. Ale nawet przestępca ma w sądzie swój dzień. Musisz mnie wysłuchać.

Podniecał się coraz bardziej, nakręcał się w sposób, który w razie porażki szybko mógł go skłonić do użycia siły.

— Rzeczywiście, niech pan już lepiej idzie, panie Trask.

Przeniósł na mnie dziki wzrok. W oczach miał łzy. Pokazałem mu odznakę specjalnego zastępcy szeryfa, którą zachowałem z dawnych czasów. Obejrzał ją uważnie, niczym jakieś kuriozum.

— Dobrze, pójdę sobie. — Odwrócił się i odszedł, lecz na rogu budynku przystanął i zawołał: — Będę w pobliżu!

Kobieta z westchnieniem odwróciła się do mnie, nerwowo przyglądając palcami zmierzwiłone włosy. Były wytapirowane jak u lalki, co zupełnie nie licowało z jej wiekiem, który oceniałem na jakieś czterdzieści lat. Ale wbrew opisowi Betty wcale nie była brzydka. Pod bluzką rysowały się jędrne piersi, a jej twarz, na której malowało się zdenerwowanie, była naprawdę ładna.

Miała jednak w sobie coś, co mnie niepokoiło — wyraz zwątpienia i pustkę w oczach, jakby już dawno pogubiła się w życiu.

— Ma pan wycucie czasu — pochwaliła mnie. — George jest zupełnie nieobliczalny.

— Jak każdy.

— Pan jest tu ochroniarzem?

— Chwilowo, w zastępstwie.

Zlustrowała mnie wzrokiem od stóp do głów, jakby przy mierzała się już do roli rozwódki.

— Jestem panu winna kielicha. Pije pan whisky?

— Z lodem, jeśli można.

— Mam trochę lodu. A swoją drogą, nazywam się Jean Trask.

Ja także się przedstawiłem. Zaprowadziła mnie do salonu, zostawiła i wyszła do kuchni. Na ścianach pokoju cykl angielskich sztychów z polowania z nagonką prowadził odzianych w czerwone kubraki myśliwych i ich psy przez góry i doliny, aż po śmierć lisa.

Udając, że przyglądam się sztychom, przeszedłem wzdłuż ścian do otwartych drzwi sypialni i zajrzałem do środka. Na bliższym z dwóch łóżek leżała niebieska damska walizeczka, otwarta, a w niej złota szkatułka. Na malowanym wieku kobieta i mężczyzna w skąpych antycznych strojach figlowali ze sobą.

Kusiło mnie, żeby wejść i zabrać szkatułkę, ale John Truttwell nie byłby zadowolony z takiego rozwiązania. Zresztą

nawet gdyby nie on, ja sam też pewnie bym ją zostawił na miejscu. Coraz bardziej czułem, że kradzież szkatułki była tylko fizycznym przejawem czegoś głębszego. Całą swą magię, pal licho białą, czarną czy złotą, brała od ludzi, którzy jej dotykali.

Zrobiłem jednak dwa kroki w głąb sypialni i podniosłem ciężkie wieko. Szkatułka była pusta. Usłyszałem, że pani Trask wchodzi do salonu, więc wycofałem się i wyszedłem jej naprzeciw. Zatrzęsnęła drzwi sypialni.

— Z tego pokoju nie będziemy korzystali.

— Szkoda.

Spojrzała na mnie zaskoczona, jakby nie zdawała sobie sprawy, że jej słowa zabrzmiały niedwuznacznie, i wyciągnęła do mnie szeroką szklanekę.

— Proszę.

Znów poszła do kuchni i wróciła z ciemnobrązowym drinkiem dla siebie. Już po dwóch łykach jej oczy zwilgotniały, rozbłyły, a na twarz wystąpił rumieniec. Pomyślałem, że to pijaczka, i zaprosiła mnie tylko dlatego, że nie lubi pić sama.

Pospiesznie dopiła koktajl i nalała sobie następną szklaneczkę, podczas gdy ja niańczyłem swoją w rękę. Usiadła w fotelu naprzeciwko mnie, po drugiej stronie stolika do kawy. Poczuję się niemal miło. Pokój był duży, spokojny, a przez otwarte drzwi wejściowe słyszałem kręcącą się w pobliżu przepiórkę.

Musiałem zburzyć ten nastrój.

— Podziwiałem pani złotą szkatułkę. Czy to robota florencka?

— Przypuszczam, że tak — odparła bez namysłu.

— Nie jest pani pewna? Wygląda na bardzo cenną.

— Naprawdę? Zna się pan na tym?

— Nie. Po prostu myślę jak ochroniarz. Ja bym jej nie zostawiał tak na wierzchu.

— Dzięki za radę — burknęła tonem, w którym trudno by się doszukać wdzięczności. Przez dłuższą chwilę milczała,

popijając ze szklanki. — Nie chciałam być nieuprzejma, po prostu mam trochę zmartwień na głowie. — Nachyliła się ku mnie z teatralnym zainteresowaniem. — Od dawna siedzi pan w tej branży?

— Ponad dwadzieścia lat, wliczając w to okres pracy w policji.

— Był pan kiedyś policjantem?

— Zgadza się.

— To może mógłby mi pan pomóc. Wpakowałam się w paskudną historię. W tej chwili nie czuję się na siłach, żeby to panu wyjaśnić, w każdym razie wynajęłam niejakiego Sidneya Harrowa, żeby tu ze mną przyjechał. Podawał się za prywatnego detektywa, ale okazało się, że ma pojęcie głównie o odzyskiwaniu kradzionych samochodów. Potrafi szybko wziąć wóz na hol. I jest niebezpieczny. — Dopięła koktajl i wzdrygnęła się.

— Skąd pani wie, że jest niebezpieczny?

— Omal nie zabił mojego chłopaka. Po rewolwer też szybko sięga.

— Ma pani chłopaka?

— Tak go nazywani — odparła, uśmiechając się półgębkiem. — Chociaż właściwie jesteśmy jak brat i siostra czy ojciec i córka... to znaczy, matka i syn. — Przestała się uśmiechać i zwyczajnie zaczęła się do mnie wdzięczyć.

— Jak się nazywa?

— On nie ma nic wspólnego z tym, o czym chcę panu powiedzieć. Chodziło mi tylko o to, że parę dni temu w nocy Sidney Harrow omal go nie zastrzelił.

— Gdzie to się działo?

— Przed domem mojego chłopaka. Wtedy zdałam sobie sprawę, że Sidney jest nieobliczalny, i od tamtej pory nie mam z niego żadnego pożytku. Dostał zdjęcie i wszystko, co trzeba, ale nic nie robi. A ja nie mam odwagi pójść i kazać mu, żeby mi je oddał.

— I chciałyby pani, żebym ja się tym zajął?

— Może. Ale nie podjęłam jeszcze ostatecznej decyzji — zastrzegła z głupią mądrością kobiety, która nie ma pojęcia o mężczyznach i która w stosunku do nich zawsze będzie podejmować błędne decyzje.

— A co Sidney miał robić z tym zdjęciem i całą resztą?

— Ustalić fakty — odparła ostrożnie. — W tym celu go wynajęłam. Popełniłam jednak błąd i dałam mu zaliczkę, a teraz on nic, tylko siedzi w motelu i pije. Od dwóch dni nawet się nie raczył odezwać.

— Który to motel?

— Sunset, przy plaży.

— Jak doszło do tego, że związała się pani z Sidneyem Harrowem?

— Ja z nim nie jestem związana! Znajomy przyprowadził mi go w zeszłym tygodniu i uznałam, że jest dokładnie takim człowiekiem, jakiego szukam... wydawał się taki obrotny. — Jak gdyby chcąc przywołać wspomnienie tego, ile sobie po nim obiecywała, uniosła szklanę, wysuszyła ostatnie kilka kropli i popieściła je językiem. — Przypominał mi ojca z czasów, kiedy był młody.

Przez chwilę wydawało się, że dobrze jej z tym podwójnym wspomnieniem. Była jednak tak zmienna w uczuciach, że żadnego nie potrafiła zatrzymać dłużej. Widziałem, jak chwilowe szczęście gaśnie w jej oczach.

Wstała i ruszyła do kuchni, lecz nagle zatrzymała się, jak gdyby wpadła na niewidzialną szybę.

— Za dużo piję — oświadczyła. — I stanowczo za dużo gadam.

Zostawiła szklanę w kuchni, wróciła i stanęła nade mną. Podejrzliwie zmierzyła mnie nieszczęśliwym wzrokiem, jakbym to ja był przyczyną jej kłopotów.

— Proszę, niech pan już sobie idzie. I zapomni, o czym mówiłam, dobrze?

Podziękowałam jej za drinka, zjechałam ze wzgórza na Ocean Boulevard i dotarłam nim do motelu Sunset Motor.

ROZDZIAŁ 5

Był to jeden ze starszych budynków stojących nad brzegiem morza w Pacific Point, jednopiętrowy, z solidnej czerwonej cegły. W przystani po drugiej stronie bulwaru cumowały jachty, przypominające ptaki ze złożonymi skrzydłami. Kilka łodzi klasy capri i seashell pomykało ze styczniowym wiatrem przez kanał.

Zaparkowałem przed wejściem do motelu i wszedłem do recepcji. Siwowłosa kobieta za ladą obrzuciła mnie uprzejmym spojrzeniem, które znamionowało doświadczenie, oceniając moją wagę i wiek, przypuszczalne dochody i zdolność kredytową, a pewnie także mój stan cywilny.

Przedstawiła się jako pani Delong. Gdy zapytałem o Sidneya Harrowa, zobaczyłem, że moja zdolność kredytowa gwałtownie spadła w jej oczach.

— Pan Harrow nas opuścił.

— Kiedy?

— Wczoraj wieczorem. A ściślej w środku nocy.

— I nie uregulował rachunku, tak?

Spojrzała na mnie bystro.

— Pan zna pana Harrowa, prawda?

— Tylko jego reputację.

— Nie wie pan czasem, jak mogłabym się z nim skontak-

tować? Zostawił nam adres do biura w San Diego. Ale powiedzieli mi, że pracował dla nich tylko na zlecenie i nie ponoszą za niego odpowiedzialności. Adresu domowego też mi nie chcieli podać... jeżeli w ogóle ma jakiś dom. — Przerwała, by zaczerpnąć tchu. — Gdybym wiedziała, gdzie mieszka, mogłabym nasłać na niego policję.

— Być może będę mógł pani pomóc.

— A to w jaki sposób? — spytała podejrzliwie.

— Jestem prywatnym detektywem i także szukam Harrowa. Czy w jego pokoju już sprzątano?

— Jeszcze nie. Zostawił na drzwiach wywieszkę, żeby mu nie przeszkadzać, zresztą wisiała tam prawie cały czas. Dopiero niedawno zorientowałam się, że jego samochód zniknął, więc skorzystałam z klucza uniwersalnego i weszłam do pokoju. Chce go pan obejrzeć?

— Niezła myśl. A tymczasem, czy mogłaby mi pani podać numer rejestracyjny jego samochodu?

Pani Delong odszukała go w swoich papierach.

— KIT dziewięć dziewięć cztery. To stary kabriolet, brązowy, z wyrwaną tylną szybą. Za co ten Harrow jest poszukiwany?

— Sam jeszcze nie wiem.

— Pan aby na pewno jest detektywem?

Pokazałam jej licencję. Widocznie jej to wystarczyło, bo starannie zapisała moje nazwisko i adres, po czym dała mi klucz do pokoju Harrowa.

— Numer dwadzieścia jeden, pierwsze piętro, na końcu korytarza.

Schodami na zewnątrz budynku dostałem się na górę i wspólnym balkonem przeszedłem na tyły motelu. Okna pokoju numer dwadzieścia jeden były szczelnie zasłonięte. Otworzyłem drzwi. W pokoju panował mrok i wisiał smród starego dymu z papierosów. Rozsunąłem zasłony i wpuściłem do środka trochę światła.

W łóżku najwyraźniej nikt nie spał, chociaż narzuta była zmiętoszona, a poduszki u wezłowia pogniecione. Na nocnym stoliku stała na wpół pełna ćwiartka żytniej whisky, a pod nią leżało piśmidło z panienkami. Zdziwiło mnie, że Harrow zostawił niedopity trunek.

W szafce w łazience zostawił też szczoteczkę i tubkę pasty do zębów, golarkę za trzy dolary, słoik żelu do włosów oraz wodę kolońską w sprayu Swingeroo, o wyjątkowo ostrej woni. Wyglądało to tak, jakby Harrow albo zamierzał wrócić, albo opuszczał pokój w wielkim pośpiechu.

Ta druga możliwość wydała mi się o wiele bardziej prawdopodobna, gdy w kącie szafy znalazłem tylko jeden but. Był nowy, czarny i spiczasty, włoskiej produkcji, na lewą stopę. Razem z butem do pary byłby pewnie wart ze dwadzieścia pięć dolarów. Ale nigdzie w pokoju nie było prawego buta.

Szukając go, znalazłem jednak brązową kopertę zawierającą małą fotografię z zakończenia szkoły średniej, schowaną pod zapasową pościelą na górnej półce szafy. Uśmiechnięty młody człowiek na zdjęciu był tak podobny do Irene Chalmers, że uznałem, iż jest to jej syn, Nick.

Moje podejrzenia potwierdziły się, gdy na odwrocie koperty zobaczyłem zapisany ołówkiem adres Chalmersów — Pacific Street 2124. Wsunąłem zdjęcie do koperty i schowałem ją do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Wyjaśnwszy z grubsza sytuację pani Delong, przeszedłem przez jezdnię i ruszyłem na przystań. Uwięzione między pływającymi pomostami łodzie kołysały się na falach i pluskały o wodę. Naszła mnie chętka, by wskoczyć do któregoś z nich i wypłynąć na pełne morze.

Pobieżny wgląd w życie Sidneya Harrowa zszargał mi nerwy. Być może zbyt dobitnie przypomniiał mi moje życie. W każdej chwili groziła mi depresja, niczym cierpki dym, który wdziera się pod powieki.

Rozwiał ją wiatr od morza; prawie zawsze tak na mnie działał. Przeszedłem wzdłuż przystani i przez asfaltową pus-

tynię parkingów dotarłem na plażę. Fale waliły się jak mury, a ja się czułem jak ktoś, kto ucieka od swojego życia.

Ale wiadomo, od życia nic da się uciec. Na końcu tego krótkiego spaceru czekał na mnie stary kabriolet marki Ford, z wyrwaną tylną szybą. Stał samotnie na zasypanym piaskiem krańcu asfaltu. Zajrzałem przez otwór po szybie i zobaczyłem skulonego na tylnym siedzeniu martwego mężczyznę, z twarzą pokrytą ciemną, zakrzepłą krwią.

Poczułem zapach whisky i ostry odór swingeroo. Kabriolet nie był zamknięty, bo kluczyki tkwiły w stacyjce. Kusilo mnie, żeby je wyjąć i otworzyć bagażnik.

Rozsądek kazał mi jednak postąpić, jak należy. Znajdowałem się poza granicami okręgu Los Angeles, a tutejsza policja była przeczulona na punkcie jurysdykcji. Najbliższy telefon znalazłem w sklepie wędkarskim przy falochronie i zadzwoniłem stamtąd na policję. Potem wróciłem do kabrioletu i czekałem na ich przyjazd.

Wiatr płuł mi piaskiem w twarz, brudnozielone morze wyglądało groźnie. Wysoko nad nim mewy i rybitwy wirowały jak karuzela na niebie. Radiowóz policji miejskiej przejechał przez parking i zatrzymał się obok mnie.

Wysiadło z niego dwóch mundurowych. Spojrzeli na mnie, na trupa w samochodzie i znów na mnie. Obaj młodzi, wyglądali prawie identycznie, tyle że jeden był blondynem, a drugi brunetem. Barczyści, o kanciastych szczękach, mieli nieprzenikniony wyraz oczu i z daleka widoczne rewolwery u pasa. Ręce trzymali w pobliżu kabur.

— Co to za jeden? — zapytał niebieskooki.

— Nie wiem.

— A pan kto?

Podaliśmy im swoje nazwisko i okazałem legitymację.

— Prywatny detektyw?

— Owszem.

— Ale nie zna pan tego człowieka w samochodzie?

Zawahałem się. Gdybym im powiedział, że to Sidney

Harrow, tak jak podejrzewałem, musiałbym wyjaśnić, jak do tego doszedłem, i w rezultacie pewnie wygadałbym wszystko, co wiem.

— Nie — odparłem.

— Jak pan go znalazł?

— Przechodziłem tędy.

— A dokąd to pan tędy przechodził?

— Na plażę. Chciałem pospacerować po piasku.

— Dziwna zachcianka przy takiej pogodzie — powiedział blondyn.

Byłem skłonny się z nim zgodzić. Otoczenie się zmieniło. Denat pozbawił je życia i kolorów. Mundurowi też nadali mu inny charakter. Teraz było to ohydne oficjalne miejsce, targane zimnym wiatrem.

— Skąd pan jest? — zapytał mnie brunet.

— Z Los Angeles. Adres jest na licencji. A swoją drogą, proszę mi ją oddać.

— Oddamy, jak już z panem skończymy. Ma pan samochód czy przyjechał pan publicznym środkiem transportu?

— Mam wóz.

— A gdzie jest?

Szok, jakim było znalezienie Harrowa, jeżeli to był on, spowodował, że dopiero teraz uświadomiłem sobie, iż mój samochód stoi zaparkowany przed motelem Sunset Motor. Obojętne, czybym im o tym powiedział, czy nie, policja i tak by go znalazła. A po rozmowie z panią Delong dowiedziałiby się, że poszukiwałem Harrowa.

W tej sytuacji powiedziałem im, gdzie stoi mój samochód, i raz-dwa siedziałem w pokoju przesłuchań w komendzie głównej policji, przesłuchiwany przez dwóch sierżantów. Kilkakrotnie domagałem się, żeby wezwali adwokata, konkretnie tego, który sprowadził mnie do miasta.

Wstali i zostawili mnie samego w dusznej klitce, której brudne ściany z szarego betonu były pokryte różnymi nazwiskami. Zabijałem czas, czytając te bazgroły. Koleś Duke

z Dallas siedział tu za niewinność. Byli tu także Joe Hespeler, Złota Rączka Andy Oliphant, a także Szybki Phil Larrabee.

Po powrocie sierżanci oświadczyli, że przykro im, ale w żaden sposób nie mogli się skontaktować z Truttwellem. Nie pozwolili jednak, żebym sam do niego zadzwonił. To pogwałcenie moich praw w pewnym sensie dodało mi otuchy — oznaczało, że w gruncie rzeczy nie uważają mnie za podejrzanego.

Próbowali złapać mnie na haczyk, licząc, że sam odwalę za nich robotę. Siedziałem więc, czekając, aż to oni się popiszą. Bez dwóch zdań denatem był Sidney Harrow — jego odciski palców zgadzały się z odciskiem kciuka na prawie jazdy. Dostał kulkę w głowę, tylko jedną, i nie żył przynajmniej od dwunastu godzin. A zatem zginął nie później niż o północy, kiedy byłem w swoim mieszkaniu w zachodnim Los Angeles.

Wyjaśniłem to wszystko sierżantom, ale mieli to gdzieś. Chcieli wiedzieć, co robię w ich okręgu i dlaczego interesował mnie Harrow. A to kluczyli, a to mnie błagali, podpuszczali, prosili i grozili, nawet opowiadali dowcipy. W rezultacie odniosłem przedziwne wrażenie, do czego oczywiście się nie przyznałem, że w jakimś sensie odziedziczyłem życie Sidneya Harrowa.

ROZDZIAŁ 6

Do pokoju cicho wszedł mężczyzna w ciemnym garniturze. Na jego widok sierżanci wstali, a on kazał im wyjść. Miał krótko obcięte siwe włosy, twarde, nieprzeniknione spojrzenie i złamany, naznaczony bliznami nos. Życie spędzone na wątpliwościach i podejrzeniach utrwaliło grymas jego ust, którymi teraz poruszał. Usiadł naprzeciwko mnie po drugiej stronie stołu.

— Kapitan Lackland, szef detektywów — przedstawił się. — Słyszałem, że wyżywał się pan na moich chłopcach.

— A mnie się zdawało, że było na odwrót.

Jego oczy bacznie omiotły moją twarz.

— Jakoś nie widzę żadnych śladów.

— Mam prawo do adwokata.

— A my mamy prawo oczekiwać od pana współpracy. Będzie się pan stawiał, to wyląduje pan na tyłku bez licencji.

— Właśnie, dobrze, że mi pan przypomniał. Chcę dostać moją licencję z powrotem.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wyjął brązową kopertę, ale gdy ją otworzył, okazało się, że zawiera między innymi zdjęcie, a raczej fragment zdjęcia, które pchnął po blacie w moją stronę.

Fotografia przedstawiała mężczyznę po czterdziestce. Miał

jasne rzadziejące włosy, bezczelny wyraz oczu i grymas na twarzy. Wyglądał na poetę, który stracił wenę i musiał się zadowolić bardziej przyziemnymi zajęciami.

Był to fragment większego zdjęcia; po bokach widziałem rąbki sukienek, ale kobiet nie było już widać. Wyglądało to jak powiększenie fotografii sprzed przynajmniej dwudziestu lat.

— Zna go pan? — zapytał kapitan Lackland.

— Nie.

Przysunął do mnie naznaczoną bliznami twarz, jakby chciał mnie ostrzec, że sam mogę wkrótce tak wyglądać.

— Jest pan tego najzupełniej pewny?

— Oczywiście. — Nie miało sensu wspominać o czymś, co było tylko moim nie popartym niczym podejrzeniem, że jest to zdjęcie ojca Jean Trask, które Harrow od niej dostał.

Kapitan znów nachylił się ku mnie.

— Daj pan spokój, Archer, pomóż nam pan. Po co Sidney Harrow to nosił? — Palcem wskazującym dźgnął w powiększone zdjęcie.

— Nie wiem.

— Ale na pewno coś panu chodzi po głowie. Dlaczego interesował się pan Harrowem?

— Najpierw muszę porozmawiać z Johnem Truttwellem. Być może potem będę mógł panu coś powiedzieć.

Lackland wstał i wyszedł z pokoju. Mniej więcej po dziesięciu minutach wrócił w towarzystwie Truttwella. Prawnik obrzucił mnie zatroskanym wzrokiem.

— Domyślałem się, że przebywa pan tu już od dłuższego czasu. Szkoda, że nie skontaktował się pan ze mną wcześniej. — Odwrócił się do Lacklanda. — Porozmawiam z panem Archerem w cztery oczy. On pracuje dla mnie w poufnej sprawie.

Lackland, ociągając się, wyszedł z pokoju, a Truttwell usiadł naprzeciwko mnie.

— Właściwie dlaczego pana zatrzymali?

— Wczoraj w nocy zastrzelono niejakiego Sidneya Harrowa, który dorabiał sobie jako egzekutor długów. Lackland wie, że go śledziłem. Ale nie wie, że Harrow jest jedną z kilku osób zamieszanych w kradzież złotej szkatułki.

Truttwell był wyraźnie zaskoczony.

— Tak szybko udało się to panu ustalić?

— Bez problemów. To najbardziej sfuszerowane włamanie w historii. Kobieta, która obecnie ma szkatułkę, po prostu trzyma ją na wierzchu.

— Kim ona jest?

— Po mężu nazywa się Jean Trask. Kim jest naprawdę, to już całkiem inna sprawa. Zdaje się, że Nick ukradł szkatułkę dla niej. Właśnie dlatego nie mogę mówić swobodnie ani z Lacklandem, ani z nikim innym.

— Muszę przyznać, że faktycznie pan nie może. Jest pan pewien tego wszystkiego?

— No chyba że miałem omamy wzrokowe. — Wstałem. — Nie moglibyśmy dokończyć naszej rozmowy na zewnątrz?

— Oczywiście. Proszę chwilkę zaczekać.

Truttwell wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Wrócił i z uśmiechem na twarzy podał mi moją licencję.

— Jest pan wolny. Oliver Lackland to całkiem rozsądny człowiek.

W wąskim, prowadzącym na parking korytarzu nadziałem się na Lacklanda i jego sierżantów. W ramach przeprosin pokiwali mi głową, aż za wiele razy.

Gdy Truttwell wiózł mnie przez miasto swoim cadillakiem, zrelacjonowałem mu przebieg wypadków. Skręcił w Pacific Street.

— Dokąd jedziemy?

— Do mnie do domu. Zrobił pan wielkie wrażenie na Betty. Chce się pana poradzić.

— W jakiej sprawie?

— Pewnie związanej z Nickiem. Ona o niczym innym teraz nie myśli, tylko o nim. — Prawnik milczał przez dłuższą

chwile, po czym dorzucił: — Betty chyba uważa, że jestem do niego uprzedzony. Całkiem niesłusznie. Ja tylko chcę ją uchronić przed błędami, których można uniknąć. To moja jedyna córka.

— Mówiła mi, że ma dwadzieścia pięć lat.

— Tak, ale jak na swój wiek jest bardzo niedojrzała. Łatwo można ją zranić.

— Może to tylko pozory. Odniosłem wrażenie, że jest bardzo przedsiębiorczą kobietą, pełną pomysłów.

Truttwell spojrział na mnie, miło zaskoczony.

— Cieszę się, że tak pan uważa. Wychowywałem ją sam, a to nie byle jaka odpowiedzialność. — Po kolejnej chwili milczenia dorzucił: — Moja żona umarła, kiedy Betty miała zaledwie kilka miesięcy.

— Pańska córka mówiła mi, że matkę zabił kierowca, który uciekł z miejsca wypadku.

— Tak, to prawda — przyznał Truttwell tak cicho, że ledwie go usłyszałem.

— Złapali go?

— Niestety nie. Policjanci patrolujący autostradę znaleźli ten samochód pod San Diego, ale był kradziony. O dziwo, sprawca czy sprawcy próbowali włamać się do domu Chalmersów. Widocznie żona zobaczyła ich i przepłoszyła. Przejechali ją, kiedy rzucili się do ucieczki.

Posłał mi ponure spojrzenie, które zniechęcało do dalszych pytań. Jechaliśmy więc w milczeniu, aż dotarliśmy do jego domu, położonego nieco na skos od hiszpańskiej rezydencji Chalmersów, po drugiej stronie ulicy. Wysadził mnie przy krawężniku, powiedział, że jest umówiony z klientem, i odjechał.

Architektura górnego odcinka Pacific Street była tradycyjna, lecz eklektyczna. Kolonialny biały dom Truttwella miał zielone żaluzje w oknach na parterze i na piętrze.

Zastukałem do zielonych frontowych drzwi. Otworzyła mi mała szara kobietka w wyblakłym mundurku gospodyni

domowej. Kiedy się przedstawiłem, surowe zmarszczki wokół jej ust złagodniały.

— Tak, panna Truttwell czeka na pana. — Zaprowadziła mnie krętymi schodami na górę, do drzwi położonego od frontu pokoju. — Panienko, przyszedł pan Archer.

— Dziękuję, pani Glover.

— Czy mogę wam coś podać, kochanie?

— Nie, dzięki.

Betty nie pokazała mi się, dopóki pani Glover nie odeszła. Zrozumiałem dlaczego. Oczy miała zapuchnięte, a twarz bladą jak ściana. Była spięta jak skopane zwierzę, które spodziewa się, że w każdej chwili znów ktoś je kopnie.

Cofnęła się, wpuszczając mnie do pokoju, i zamknęła za mną drzwi. Znalazłem się w pracowni młodej kobiety — wszędzie jaskrawy perkal, Chagall na ścianie i uginające się pod książkami półki. Betty stanęła tyłem do wychodzącego na ulicę okna i spojrzała mi prosto w twarz.

— Nicholas się odezwał. — Wskazała pomarańczowy telefon na stole. — Tylko proszę nie mówić o tym ojcu, dobrze?

— On sam się już tego domyśla, Betty.

— Ale nie powie mu pan nic więcej?

— Nie ufa pani ojcu?

— W innych sprawach mu ufam. Ale nie może mu pan powtórzyć tego, co panu powiem.

— Postaram się, ale niczego nie obiecuję. Czy Nick ma kłopoty?

— Tak. — Zwiesiła głowę i jasne włosy przesłoniły jej twarz. — Moim zdaniem on się chce zabić. Jeżeli to zrobi, ja także nie mam po co żyć.

— Czy mówił dlaczego?

— Podobno zrobił coś strasznego.

— Na przykład kogoś zabił?

Odrzuciła włosy do tyłu i spojrzała na mnie z jawną wrogością.

— Jak pan może mówić coś takiego?

— Wczoraj w nocy na nabrzeżu zastrzelono Sidneya Harrowa. Czy Nick wspominał o nim?

— Oczywiście, że nie.

— A co właściwie powiedział?

Przez chwilę milczała, próbując sobie przypomnieć. W końcu wyrecytowała powoli:

— Że nie zasługuje na to, żeby żyć. Że zawiódł mnie, zawiódł rodziców i nie mógłby już spojrzeć nam w twarz. A potem się ze mną pożegnał... na zawsze. — Jej ciałem wstrząsnęła bolesna czkawka.

— O której dzwonił?

Spojrzała na pomarańczowy telefon, a później na zegarek.

— Mniej więcej przed godziną. Ale mam wrażenie, że minęła cała wieczność.

Nieprzytomnie przeszła obok mnie na drugą stronę pokoju i z półeczki na ścianie zdjęła oprawioną w ramki fotografię. Stałem za Betty i popatrzyłem jej przez ramię. Ujrzałem większą kopię zdjęcia, które miałem w kieszeni — tego, które znalazłem w szafie w pokoju Harrowa w motelu. Zwróciłem uwagę, że chociaż młody człowiek się uśmiechał, jego oczy były smutne.

— Domyślam się, że to Nick? — powiedziałem.

— Tak, to zdjęcie z zakończenia szkoły średniej.

Nieco rytualnym gestem odstawiła fotografię na półeczkę i podeszła do okna. Ruszyłem za nią. Wyglądała przez ulicę na biały, zamknięty dom Chalmersów.

— Zupełnie nie wiem, co robić.

— Musimy go znaleźć — oświadczyłem. — Czy mówił, skąd dzwoni?

— Nie, tego mi nie powiedział.

— A mówił coś jeszcze, cokolwiek?

— Nie pamiętam.

— Czy powiedział, w jaki sposób zamierza popełnić samobójstwo?

Znów ukryła twarz za włosami i odparła zduszonym głosem:

- Nie, nie tym razem.
- Mam rozumieć, że już wcześniej próbował się zabić?
- Właściwie nie. Ale proszę sobie nie żartować. On podchodził do tego śmiertelnie poważnie.
- Czyli tak jak ja. — Byłem jednak wściekły na chłopaka za to, co zrobił i robi tej dziewczynie. — A wtedy co opowiadał albo robił?
- Kiedy wpadał w depresję, często wspominał o samobójstwie. Ale żeby było jasne, nie groził, że się zabije. On tylko się zastanawiał, jak najlepiej to zrobić. Nigdy nie miał przede mną tajemnic.
- Może powinien je mieć, chyba już najwyższy czas.
- Jakbym słyszała ojca. Obaj jesteście do niego uprzedzeni.
- Opowiadanie o samobójstwie to okrucieństwo, Betty.
- Nie, jeżeli się kogoś kocha. Człowiek pogrążony w depresji nie odpowiada za to, co czuje.

Nie chciałem się sprzeczać.

- Miała mi pani opowiedzieć, jak to sobie zaplanował.
- On tego wcale nie planował. Tylko o tym mówił. Powiedział, że pistolet robi za dużo bałaganu, a proszki są niepewne. Najbardziej elegancka metoda to wypłynąć daleko w morze. Ale z tego, co mówił, najbardziej prześladowała go myśl o sznurze.
- Chciał się powiesić?
- Powiedział, że myśli o tym od dziecka.
- Skąd taki pomysł?
- Nie wiem. Ale jego dziadek był sędzią sądu drugiej instancji i niektórzy w mieście uważali, że wysyła ludzi na szubienicę... że lubi skazywać na śmierć. Możliwe, że właśnie to wywarło taki wpływ na Nicka. O ile wiem, zdarzały się dziwniejsze przypadki.
- Czy Nick wspominał, że miał w rodzinie sędziego, który lubił wieszać ludzi?

Kiwnęła głową.

— A o samobójstwie?

— Wielokrotnie.

— No proszę, ten to wiedział, jak się zalecać.

— Nie mam do niego pretensji. Kocham Nicka i chciała-
bym móc coś dla niego zrobić.

Zacynałem rozumieć tę dziewczynę, a im lepiej ją rozu-
miałem, tym bardziej mi się podobała. Miała w sobie chęć
niesienia pomocy innym, jaką widywałem u córek wychowa-
nych przez wdowców.

— Proszę spróbować przypomnieć sobie ten jego ostatni
telefon. Czy z jego słów wynikało, skąd dzwoni?

— Nic takiego nie pamiętam.

— Proszę się nie śpieszyć. Niech pani usiądzie przy
telefonie.

Klapnęła na krzesło przy stole, z ręką na aparacie telefonicz-
nym, jakby chciała go uciszyć.

— W tle słyszałam jakieś odgłosy.

— Jakiego rodzaju?

— Chwileczkę... — Uniosła rękę, żeby mnie uciszyć,
i siedziała zasłuchana we własne myśli. — Krzyki dzieci,
plusk wody. Typowe dźwięki z basenu. Myślę, że dzwonił do
mnie z budki telefonicznej w Klubie Tenisowym.

ROZDZIAŁ 7

Bywałem wprawdzie w Klubie Tenisowym, ale kobiety w recepcji nie znałem. Ona jednak знаła Betty Truttwell i powitała ją serdecznie.

— Ostatnio w ogóle pani nie widzimy, panno Truttwell.

— Byłam strasznie zajęta. Czy był tu dziś Nick?

Kobieta ociągała się z odpowiedzią, ale w końcu przyznała niechętnie:

— Prawdę mówiąc, był. Przyszedł mniej więcej godzinę temu i zajrzał do baru. Kiedy wychodził, wyglądał nie-
szczególnie.

— Czy to znaczy, że był pijany?

— Niestety tak, panno Truttwell, skoro już pani pyta. Ta blondynka, która mu towarzyszyła, też była pod dobrą datą. Kiedy wyszli, zmyłam Markowi głowę. Ale powiedział, że dał im tylko po dwa drinki. Podobno ta kobieta była już nieźle wstawiona, kiedy tu przyszła, a pan Chalmers źle znosi alkohol.

— Zawsze miał słabą głowę — przyznała Betty. — Kim jest ta kobieta?

— Nie pamiętam nazwiska... kiedyś tu już z nią był. — Zajrzała do leżącego przed nią na ladzie rejestru gości. — Jean Swain.

— A nie Jean Trask? — spytałem.

— Na moje oko to wygląda na „Swain”.

Podsunięła mi rejestr i czerwonym paznokciem wskazała miejsce, gdzie Nick wpisał nazwisko kobiety oraz swoje. Na moje oko też wyglądało to na „Swain”. Kobieta podała, że mieszka w San Diego.

— Czy to wysoka blondynka około czterdziestki, z dobrą figurą?

— To ona. A co do figury — dodała recepcjonistka — ma niezłą, jeśli ktoś lubi babki przy kości. — Sama była chuda jak szczapa.

Przeszliśmy z Betty pasażem obok basenu do baru. Dzieciaki w wodzie wciąż hałasowały. Po kątach dorośli wylegiwali się na leżakach, łąpiąc letnie promienie styczniowego słońca.

Bar był pusty, jeśli nie liczyć dwóch mężczyzn, którzy zasiedzieli się przy lunchu. Przywitałem się z barmanem skinieniem głowy. Marco był niskim, żwawym i śniadym mężczyzną ubranym w czerwoną kamizelkę. Ponuro przyznał, że owszem, Nick wpadł do baru.

— Szczerze mówiąc, musiałem go poprosić, żeby wyszedł.

— Dużo wypił?

— Tutaj nie. Podałem mu tylko dwie szklaneczki bourbona, to nie przestępstwo. A co się stało, rozbił samochód?

— Mam nadzieję, że nie. Próbuję go złapać, zanim cokolwiek rozbije. Wiesz może, dokąd pojechał?

— Nie, ale coś panu powiem. Był w koszmarnym nastroju. Kiedy powiedziałem, że nie dam mu trzeciego drinka, chciał się ze mną bić. Musiałem postraszyć go kijem. — Marco sięgnął pod ladę i pokazał nam urżnięty kawał kija bilaradowego długości dwóch stóp. — Wie pan, nie znoszę grozić członkom klubu, ale on miał broń, więc chciałem, żeby czym prędzej się wyniósł. Gdyby chodziło o kogoś innego, wezwałbym szeryfa.

— Miał broń? — pisnęła Betty cicho.

— Tak, w kieszeni marynarki. Nie wyjmował jej, ale

takiego wielkiego gnata nie sposób ukryć przy sobie. — Pochylił się nad ladą i spojrzał Betty w oczy. — Co się właściwie z nim dzieje, panno Truttwell? Nigdy dotąd tak się nie zachowywał.

— Ma kłopoty — odparła.

— Czyżby w związku z tą damulką? Tą blondyną? Ona chleje jak smok. Nie powinna go namawiać do picia.

— Marco, nie wiesz przypadkiem, co to za jedna?

— Nie. Ale z daleka widać, że to chodzący kłopot. Nie mam pojęcia, jak Nick może się obracać w takim towarzystwie.

Betty ruszyła do drzwi, lecz zatrzymała się i odwróciła do barmana.

— Dlaczego nie odebrał mu pan broni?

— Ja się do broni nie mieszam, panienko. To nie moja działka.

Wyszliśmy na parking i ruszyliśmy do dwumiejscowego samochodu Betty. Klub położony był nad zatoką i doleciał mnie zapach Pacyfiku — cierpki i smutny, przywołujący wspomnienie miejsca, w którym znalazłem zwłoki Sidneya Harrowa.

Oboje milczeliśmy, pochłonięci własnymi myślami, gdy Betty wjeżdżała długą drogą na wzgórze, do Montevista Inn. Młody człowiek w recepcji pamiętał mnie.

— Jeżeli chce pan się zobaczyć z panią Trask, to przyjechał pan w samą porę. Właśnie się wyprowadza.

— Czy mówiła dlaczego?

— Zdaje się, że dostała złe wiadomości. Chyba to coś poważnego, bo nawet nie protestowała, kiedy jej policzyłem za jeden dzień ekstra. W takiej sytuacji klienci zazwyczaj próbują się wykłócać.

Przeszedłem dębową aleją i zastukałem do siatkowych drzwi krytego stiukiem domku.

Przez otwarte wewnętrzne drzwi doleciał mnie z sypialni głos pani Trask:

— Jeżeli przyszedł pan po mój bagaż, jestem już spakowana.

Minąłem salon i wszedłem do sypialni. Kobieta siedziała przy toalecie i drżącą ręką malowała szminką usta.

Nasze oczy spotkały się w lustrze. Jej dłoń zboczyła z kursu i wokół warg wyrysowała wielkie czerwone usta klauna. Jean Trask odwróciła się i wstała chybotliwie, omal nie przewracając stołka.

— Przysłali pana po mój bagaż?

— Nie. Ale chętnie pani pomogę. — Podniosłem dwie niebieskie walizeczki od kompletu. Były całkiem lekkie.

— Niech pan je zostawi — poleciła. — Kim pan właściwie jest?

Wyglądała, jakby obawiała się wszystkiego i wszystkich — bała się do tego stopnia, że jej strach udzielił się także mnie. Olbrzymie czerwone usta budziły niepokój, a lodowaty śmiech przyprawiał o skurcz żołądka.

— Pytałam o pana w recepcji — rzuciła po chwili. — Powiedzieli, że tutaj nie mają ochroniarzy. Wobec tego co pan tu robi?

— W tym momencie szukam Nicka Chalmersa. Nie owijajmy w bawełnę, nie ma sensu. Przecież pani wie, że on ma poważne problemy emocjonalne.

— Oczywiście — odparła wyraźnie zadowolona, że ma z kim pogadać. — Ciągłe gada o samobójstwie. Pomyślałam, że szklaneczka czy dwie mu nie zaszkodzą. Ale kiedy wypił, było jeszcze gorzej.

— Gdzie jest teraz?

— Kazałam mu przyrzec, że pojedzie do domu i odeśpi kaca. Obiecał, że tak zrobi.

— Do domu, czyli do swojego mieszkania?

— Pewnie tak.

— Jest pani wyjątkowo mało konkretna, proszę pani.

— Specjalnie staram się unikać konkretów. To mniej bolesne — dorzuciła cierpko.

— Skąd się wzięło pani zainteresowanie Nickiem?
— Nie pańska sprawa. I może pan sobie darować umoralniające gadki.

Podniosła głos, jakby gniew dodał jej pewności siebie. Brzmiało w nim jednak nieustające przerażenie.

— Właściwie czego się pani tak boi?

— Wczoraj w nocy ktoś załatwił Sidneya Harrowa — oświadczyła szorstko. — Na pewno pan o tym wie.

— A skąd pani się dowiedziała?

— Od Nicka. Teraz żałuję, że w ogóle otworzyłam tę puszkę Pandory.

— Czy to on zabił Sidneya?

— Moim zdaniem sam tego nie wie... jest aż tak stuknięty. Ale nie zamierzam tu czekać, żeby się o tym przekonać.

— Dokąd się pani wybiera?

Nie odpowiedziała.

Wróciłem do Betty i — przynajmniej częściowo — zrelekcjonowałem jej to, czego się dowiedziałem. Postanowiliśmy, że do miasteczka uniwersyteckiego każde z nas pojedzie swoim wozem. Mój samochód stał tam, gdzie powinien, czyli przed motelem Sunset Motor. Za wycieraczką zatknięty był bilet parkingowy.

Usiłowałem trzymać się za czerwonym sportowym wozem Betty, ale jak dla mnie pędziła za szybko, na prostej wyciągała dziewięćdziesiąt mil na godzinę. Kiedy zajechałem na parking przed Cambridge Arms, już tam czekała.

Podbiegła do mnie.

— Jest tutaj. W każdym razie jego samochód tam stoi.

Wskazała niebieski sportowy wóz, zaparkowany obok jej czerwonego autka. Podeszedłem i dotknąłem maski. Silnik był jeszcze ciepły, a kluczyki tkwiły w stacyjce.

— Niech pani tu zostanie — poleciłem.

— Nie. Gdyby zaczął rozrabiać... no... przy mnie nie będzie się awanturował.

— Coś w tym jest.

Wjechaliśmy windą na samą górę. Betty zastukała do drzwi i zawołała Nicka po imieniu.

— To ja, Betty.

Zapadła długa cisza. Czekaliśmy. Betty zapukała raz jeszcze. Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie. Dziewczyna odruchowo zrobiła krok w głąb mieszkania i zderzyła się twarzą z piersią Nicka. Chłopak przytrzymał ją jedną ręką, a drugą wycelował w mój brzuch wielki rewolwer.

Nie widziałem jego oczu, ukrytych za czarnymi, zachodzącymi na skronie okularami. Dla kontrastu jego twarz była trupio blada. Zmierzwione włosy opadały mu na czoło. Biała koszula była brudna. Zarejestrowałem te szczegóły mimowolnie, jak gdyby mogły wnieść coś nowego do obrazu świata, z jakim za chwilę się rozstanę. Nie bałem się, byłem zwyczajnie zły. Wkurzała mnie myśl, że oto zginę bez powodu z ręki popapranego, niedojrzałego gówniarza, którego nawet nie znałem.

— Rzuć to — poleciłem odruchowo.

— Nie będziesz mi rozkazywał.

— Uspokój się, Nick — powiedziała Betty.

Przytuliła się do niego, próbując ułagodzić go bliskością swego ciała. Prawą ręką objęła go w pasie, wciskając nogę między jego uda, a lewą podniosła tak, jakby chciała zarzucić mu ją na szyję, lecz nagle opuściła ją gwałtownie i chwyciła za broń.

Rewolwer celował teraz w podłogę. Skoczyłem i wyrwałem go chłopakowi.

— Niech cię diabli! — warknął. — Oboje idźcie do diabła!

Z mieszkania po drugiej stronie korytarza wyszedł chłopak o bardzo wysokim głosie, ewentualnie dziewczyna o niskim.

— Co tam się dzieje?

— Otrzęsiny — odparłem.

Nick wyrwał się Betty i zamierzył się na mnie. Zrobiłem unik i jego pięść rozminęła się z moją twarzą. Pochyliłem głowę, wyrznąłem go bykiem tak, że wpadł do salonu, a Betty

zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie. Zarumieniona, oddychała głęboko przez usta.

Nick znów rzucił się na mnie. Schyliłem się, unikając jego pięści, i solidnie zaprawiłem go w splot słoneczny. Padł na podłogę, łapczywie chwytając powietrze.

Przekręciłem bębenek rewolweru. Wystrzelono z niego jedną kulę. Był to colt, kalibru.45. Zapisałem jego numer seryjny w swoim czarnym notesie.

Betty stanęła między nami.

— Nie musiał pan robić mu krzywdy.

— Owszem, musiałem. Wylize się.

Uklękała i dotknęła jego twarzy. Przeturlał się po podłodze, byle dalej od niej. Jego rżenie, gdy usiłował zaczerpnąć tchu, stopniowo ucichło. Chłopak usiadł i oparł się plecami o kanapę.

Przysiadłem na piętach naprzeciwko niego i pokazałem mu rewolwer.

— Skąd go masz, Nick?

— Nie muszę ci odpowiadać. Nie zmusisz mnie, żebym sam siebie oskarżał.

Jego głos był dziwnie odczłowieczony, jakby dobiegał z taśmy magnetofonowej. Nie wiedziałem, co oznacza ten ton. Oczy miał skutecznie zamaskowane ciemnymi okularami.

— Nie jestem z policji, Nick, jeżeli o to ci chodzi.

— Mam gdzieś, kim jesteś.

Spróbowałem z innej beczki.

— Jestem prywatnym detektywem i trzymam twoją stronę. Chociaż nie mam pewności, po czyjej ty jesteś stronie. Chcesz o tym pogadać?

Zaczął kręcić głową niczym dziecko w napadzie szału, tak szybko, że włosy przesłoniły mu twarz.

— Przestań, Nicholas, proszę cię — odezwała się Betty zbolalym głosem. — Skręcisz sobie kark.

Przeciągnęła palcami po jego włosach. Siedział nieruchomy jak głaz.

— Chcę ci się przyjrzeć — powiedziała.

Zdjęła mu ciemne okulary. Sięgnął po nie błyskawicznie, ale trzymała je poza zasięgiem jego ręki. Czarne oczy chłopaka błyszcząły jak asfalt wyciśnięty z dziury w drodze. Zdawało się, że żyją własnym życiem, spoglądając bądź w głąb duszy, bądź na świat, na przemian z niepokojem i agresją. Zrozumiałem, dlaczego Nick nosi ciemne okulary — by ukryć to smutne, zmieniające się spojrzenie.

Zakrył oczy dłońmi i zerkał na mnie przez palce.

— Proszę cię, Nick, przestań. — Dziewczyna znów ukłękła przy nim. — Co się stało? Proszę cię, powiedz mi, co się stało.

— Nie. Przestałabyś mnie kochać.

— Ja zawsze będę cię kochała, bez względu na wszystko.

— Nawet gdybym kogoś zabił? — wyszeptał przez palce.

— A zabiłeś? — spytałem.

Przytaknął powoli, tylko raz, nie podnosząc zwieszanej głowy i ukrywając twarz.

— Z tego rewolweru?

Jeszcze bardziej opuścił głowę, potakując gwałtownie.

— On się teraz nie nadaje do rozmowy — powiedziała Betty. — Proszę go nie zmuszać.

— A mnie się zdaje, że chce zrzucić ciężar z piersi. Jak pani myśli, dlaczego zadzwonił do pani z klubu?

— Żeby się pożegnać.

— To chyba jest lepsze niż pożeganie. Nie sądzi pani?

— Sama nie wiem — odparła posępnie. — Nie wiem, ile jeszcze dam radę wytrzymać.

Odróciłem się z powrotem do chłopaka.

— Skąd wzięłeś ten rewolwer?

— Z jego samochodu.

— Z samochodu Sidneya Harrowa?

Oderwał ręce od twarzy. W jego oczach malowało się zdziwienie i strach.

— Tak. Był w jego wozie.

— I tam go zastrzeliłeś, w samochodzie?
Cała jego twarz skurczyła się jak buzia przerażonego dziecka, które lada chwila wybuchnie płaczem.
— Nie pamiętam. — Uderzył się pięścią w czoło, a potem, jeszcze mocniej, w usta.
— Pan się nad nim znęca — zaprotestowała dziewczyna. — Nie widzi pan, że on jest chory?
— Niech mu pani nie matkuje. On już ma matkę.
Chłopak poderwał głowę, wystraszony.
— Niech pan nie mówi mojej matce, nie wolno panu. Ani ojcu. On by mnie zabił.
Niczego mu nie obiecałem. Rodziców trzeba było poinformować.
— Miałeś mi powiedzieć, gdzie doszło do tej strzelaniny, Nick.
— A tak, przypominam sobie. Poszliśmy tam, gdzie koczują bezdomni, na tyłach Ocean Boulevard. Ktoś zostawił zapalone ognisko i usiedliśmy przy nim. On chciał, żebym zrobił coś okropnego — oświadczył z naiwnością dziecka. — Więc wziąłem rewolwer i go zastrzeliłem.
Znów skrzywił się jak mały brzdąc, tak że jego oczy prawie znikły w fałdach skóry. Zaczął jęczeć i szlochać, lecz zdusił łzy. Ciężko było patrzeć na ten suchy płacz.
Betty zarzuciła mu ręce na szyję.
— Zdarzały mu się już złamania, prawda? — spytałem ją przy akompaniamencie łkania chłopaka.
— Nie aż takie.
— Czy wtedy leczył się w domu, czy kładli go do szpitala?
— W domu. — I zwróciła się do Nicka: — Pojedziesz ze mną do domu?
Wymamrotał coś, co mogło oznaczać zgodę. Wybrałem numer Chalmersów; odebrał służący, Emilio, i poprosił do telefonu Irene Chalmers.
— Mówi Archer. Jestem z pani synem w jego mieszkaniu. Źle z nim, chcę go do pani przywieźć.

- Co mu się stało?
- Jest rozbity psychicznie, ciągle mówi o samobójstwie.
- Skontaktuję się z jego psychiatrą — obiecała. — To doktor Smitheram.
- Czy jest tam pani mąż?
- W ogrodzie. Chce pan z nim porozmawiać?
- Nie ma takiej potrzeby. Ale proszę go przygotować na nasz przyjazd.
- Poradzi pan sobie z Nickiem?
- Myślę, że tak. Do pomocy mam Betty Truttwell.

Przed wyjściem zadzwoniłem jeszcze do wydziału kryminalnego policji w Sacramento, gdzie pracował mój znajomy, Roy Snyder. Podałem mu numer seryjny rewolweru. Roy obiecał, że postara się ustalić, kto był pierwszym właścicielem broni. Gdy zeszliśmy do mojego samochodu, zamknąłem rewolwer w kasetce na dowody rzeczowe i schowałem ją do bagażnika.

ROZDZIAŁ 8

Betty usiadła za kierownicą mojego samochodu, a Nick z przodu między nami. Nie odezwał się ani nie poruszył, dopóki nie zatrzymaliśmy się przed domem jego rodziców. Wtedy zaczął mnie błagać, żebym nie kazał mu tam wchodzić.

Musiałem wyciągać go z samochodu na siłę. Trzymając go pod rękę, przeszedłem z nim przez dziedziniec; Betty eskortowała go z drugiej strony. Wlókł się opornie, jakbyśmy chcieli postawić go pod białą ścianą i rozstrzelać.

Zanim dotarliśmy do drzwi, jego matka wyszła na dwór.

— Nick? Nic ci się nie stało?

— Wszystko w porządku — odparł tym głosem jak z taśmy.

Kiedy wchodziliśmy do holu, spytała mnie:

— Czy koniecznie musi pan rozmawiać z moim mężem?

— Tak, muszę. Prosiłem, żeby go pani przygotowała.

— Niestety nie mogłam, po prostu — odrzekła. — Sam musi mu pan powiedzieć. Jest w ogrodzie.

— A co z psychiatrą?

— Doktor Smitheram ma akurat pacjenta, ale niedługo tu przyjedzie.

— Proszę też zadzwonić po Johna Truttwella — poradziłem. — Ta sprawa ma również aspekty prawne.

Zostawiłem Nicka z kobietami w salonie. Betty była poważ-

na i milcząca, jakby przytłoczył ją cień tajemniczej urody Irene Chalmers.

Ojciec Nicka pracował przy roślinach w otoczonym murem ogrodzie. W czystych, spłowiałych od słońca lewisach wydawał się niezwykle chudy, wręcz kruchy. Z zapalem okopywał szpadlem jakieś krzewy, przyszczyżone na zimę i wyglądające jak obumarłe kolczaste pniaki.

Gwałtownie poderwał głowę, spojrzał na mnie, wyprostował się powoli i wbił szpadel w ziemię. Dookoła, niczym nudyści, stały rzeźby Greków i Rzymian, nadgryzione przez lata niepogody.

— Zdawało mi się, że ustaliliśmy, iż florencka szkatułka nie była ubezpieczona — odezwał się Chalmers surowo.

— Nic mi na ten temat nie wiadomo, proszę pana. Nie pracuję w ubezpieczeniach.

Poblądł i rzekł z napięciem:

— Odniosłem wrażenie, że podawał się pan za ubezpieczyciela.

— To był pomysł pańskiej żony. Jestem prywatnym detektywem. Na prośbę pani Chalmers wynajmą mnie John Truttwell.

— Wobec tego równie dobrze może pana zwolnić. — Jego myśli zaprzętały dwie rzeczy naraz. — Chce pan powiedzieć, że żona zwróciła się do Truttwella za moimi plecami?

— To wcale nie był zły pomysł. Wiem, że martwił się pan o syna, właśnie go tutaj przywiozłem. Latał po mieście z bronią i opowiadał na prawo i lewo o samobójstwie i morderstwie.

Poinformowałem Chalmersa o tym, co się wydarzyło. Był przerażony.

— Nick chyba całkiem postradał zmysły.

— Do pewnego stopnia — przyznałem. — Ale nie sądzę, żeby kłamał.

— Wierzy pan, że popełnił morderstwo?

— Zginął niejaki Sidney Harrow. Pański syn miał z nim na pieńku. I przyznał się, że go zastrzelił.

Chalmers zachwiał się lekko, oparł o szpadel i spuścił

głowę. Na jej czubku miał małą łysinę — ukrywał ten słaby punkt, zaczesując na nią nieco włosów. Pomyślałem sobie, że najtrudniej jest znieść moralne lanie, jakie spuszczaają rodzicom własne dzieci, ewentualnie go uniknąć.

Chalmers jednak nie myślał o sobie.

— Biedny Nick. A już tak dobrze mu szło. Co w niego wstąpiło?

— Być może doktor Smitheram potrafi panu na to odpowiedzieć. Wszystko zaczęło się chyba od tej złotej szkatułki. Wygląda na to, że Nick zabrał ją z pańskiego sejfu i dał kobiecie, która nazywa się Jean Trask.

— Pierwszy raz słyszę to nazwisko. Na co jej złota szkatułka mojej matki?

— Nie wiem. W każdym razie wydaje się, że ma dla niej istotne znaczenie.

— Rozmawiał pan z tą całą Trask?

— Rozmawiałem.

— Co zrobiła z moimi listami do matki?

— Nie wiem. Zajrzałem do szkatułki, ale była pusta.

— Dlaczego pan jej nie zapytał?

— Z tą kobietą niełatwo się porozumieć. Poza tym ciągle wyskakiwały ważniejsze sprawy.

Chalmers, zmartwiony, przygryzł wąsa.

— Na przykład jakie?

— Dowiedziałem się, że to ona wynajęła Sidneya Harrowa i kazała mu przyjechać do Pacific Point. Zdaje się, że szukali jej ojca.

Chalmers obrzucił mnie zdziwionym spojrzeniem, a następnie przeniósł wzrok na ogród i ponad murem, na niebo.

— A co my mamy do tego?

— Niestety, nie jest to całkiem jasne. Mam pewną sugestię. Jeżeli John Truttwell, no i oczywiście państwo, wyrazicie zgodę, być może warto by przekazać broń policji, żeby przeprowadzili testy balistyczne.

— Chce pan powiedzieć, że mamy się poddać bez walki?

— Róbmy wszystko krok po kroku, proszę pana. Jeżeli okaże się, że Harrow nie zginął od kuli z rewolweru Nicka, to znaczy, że zeznanie pańskiego syna jest wytworem jego fantazji. A jeśli zastrzelono go z tej broni, wtedy zastanowimy się co dalej.

— Omówimy to z Johnem Truttwellem. Ja mam teraz mętlik w głowie. — Chalmers dotknął palcami czoła.

— Ale nawet jeśli Nick rzeczywiście go zabił, sprawa nie jest beznadziejna — ciągnąłem. — Wierzę, że uda się znaleźć okoliczności łagodzące.

— Jak to?

— Harrow rozrabiał. Groził Nickowi rewolwerem, prawdopodobnie tym samym. To się wydarzyło przed pańskim domem, tego wieczoru, kiedy skradziono szkatułkę.

Chalmers spojrział na mnie z powątpiewaniem.

— Nie rozumiem, skąd pan może o tym wiedzieć.

— Mam naoczego świadka. — Ale nie zdradziłem kogo.

— Ma pan ze sobą ten rewolwer?

— W bagażniku samochodu. Pokażę go panu.

Weszliśmy do domu przez osłoniętą siatką werandę i ruszyliśmy korytarzem do holu. Nick, jego matka i Betty siedzieli sztywno obok siebie na kanapie w salonie, niczym goście na przyjęciu, na którym już od jakiegoś czasu zrobiło się drętwo. Nick znów włożył ciemne okulary, w których wyglądał, jakby miał czarny bandaż na oczach.

Chalmers wszedł do salonu i stanął nad synem, patrząc na niego tak, jakby spoglądał z bardzo wysoka.

— Czy to prawda, że zastrzeliłeś człowieka?

Chłopak posępnie skinął głową.

— Przykro mi. Nie chciałem wracać do domu. Miałem zamiar się zabić.

— Gadasz jak tchórz! — ofuknął go ojciec. — Zachowuj się jak mężczyzna.

— Tak, tato — przytaknął chłopak wypranym z nadziei głosem.

— Zrobimy dla ciebie wszystko, co w naszej mocy. Tylko nie rozpaczaj, Nick. Obiecuj mi to.

— Obiecuję, tato. Naprawdę mi przykro.

Chalmers gwałtownie zrobił w tył zwrot, jak wojskowy, i wrócił do mnie. Na twarzy miał stoicki spokój. Zarówno on, jak i syn, musieli zdawać sobie sprawę, że ta wymiana zdań w niczym nie przypominała normalnej rozmowy.

Wyszliśmy drzwiami od ulicy. Przed domem Chalmers z zażenowaniem spojrzął na swoje ogrodowe ubranie.

— Nie znoszę pokazywać się w takim stroju publicznie — mruknął, jak gdyby sąsiedzi mogli go obserwować.

Otworzyłem bagażnik i pokazałem mu rewolwer, nie wyjmując go z kasetki na dowody rzeczowe.

— Widział pan kiedyś tę broń?

— Nie. Żeby wszystko było jasne, Nick nigdy nie miał rewolweru. Broń palna budzi w nim odrazę.

— Dlaczego?

— Pewnie weszło mu to w krew po mnie, na zasadzie osmozy. Kiedy byłem mały, ojciec nauczył mnie polować. Ale wojna odebrała mi całą przyjemność związaną z polowaniem.

— Słyszałem, że wiele pan przeszedł podczas wojny.

— Kto panu to powiedział?

— John Truttwell.

— Wolałbym, żeby John trzymał język za zębami. Tak jak ja. Nie lubię mówić o swoim udziale w wojnie. — Spojrzął na rewolwer z pogardą i smutkiem, jak gdyby symbolizował on wszelkie formy przemocy. — Naprawdę uważa pan, że powinniśmy powierzyć tę broń Johnowi?

— A co pan proponuje?

— Ja wiem tylko, co miałbym ochotę zrobić. Zakopać go dziesięć stóp pod ziemią i puścić wszystko w niepamięć.

— Wtedy musielibyśmy go znowu wykopywać.

— Pewnie ma pan rację — przyznał.

W oddali, na końcu Pacific Street, pojawił się cadillac Truttwella. Prawnik zaparkował przed swoim domem i przebiegł truchtem przez jezdnię. Wchłonął złe wiadomości o Nicku tak, jakby z góry nastawił się na ich przyjęcie.

— To jest ten rewolwer. Nabity. — Podałem mu kasetkę z tkwiącym w zamku kluczykiem. — Dopóki nie postanowimy, co robić, lepiej, żeby pan się nim zajął. Próbuję ustalić, kto wcześniej był jego właścicielem.

— Dobrze. — Odwrócił się do Chalmersa. — Gdzie jest Nick?

— W domu. Czekamy na doktora Smitherama.

Truttwell położył dłoń na kościstym ramieniu Chalmersa.

— Fatalnie, że ty i Irene znowu musicie przez to przechodzić.

— Nie mówmy o tym. Proszę. — Chalmers uwolnił się od jego ręki, odwrócił się gwałtownie i ze stoickim spokojem pomaszzerował do drzwi frontowych.

Przeszedłem za Truttwellem na drugą stronę ulicy, do jego domu. Włożył kasetkę z rewolwerem do ogniotrwałej stalowej szafy i zamknął ją na klucz.

— Cieszę się, że pozbyłem się wreszcie tego colta — powiedziałem. — Wolałbym, żeby Lackland go przy mnie nie znalazł.

— Sądzi pan, że powinienem mu go przekazać jeszcze dzisiaj?

— Poczekajmy, zobaczymy, co powiedzą w Sacramento na temat właściciela. A swoją drogą, co pan miał na myśli, mówiąc, że Chalmersowie znowu muszą przez to przechodzić? Czy Nick miał już tego typu kłopoty?

Truttwell nie kwapił się z odpowiedzią.

— To zależy, co pan rozumie przez „tego typu kłopoty”. O ile mi wiadomo, nigdy nie był zamieszany w morderstwo. Ale miał jeden czy dwa takie epizody... -zdaje się, że tak to określają psychiatrzy? Kilka lat temu uciekł z domu i sprowadzenie go wymagało akcji zakrojonej na skalę ogólnokrajową.

— Postanowił zostać hipisem?

— Nie, nie o to chodziło. Prawdę mówiąc, próbował żyć na własny rachunek. Kiedy agenci Pinkertona odnaleźli go w końcu na wschodnim wybrzeżu, pracował w restauracji jako pomocnik kelnera. Udało nam się go przekonać, że powinien wrócić do domu i dokończyć studia.

— Jaki jest jego stosunek do rodziców?

— Jest bardzo silnie związany z matką, choć nie wiem, czy to akurat najlepsze — odparł oschle. — Co do ojca, moim zdaniem stawia go sobie za wzór, ale czuje, że mu nie dorówna. Dokładnie taki sam stosunek Lany Chalmers miał do swojego ojca, sędziego. Widocznie ten schemat musi się powtarzać.

— Wspomniał pan o dwóch epizodach — przypomniałem mu.

— Istotnie. — Usiadł naprzeciwko mnie. — Ten drugi wydarzył się dawno, jakieś czternaście czy piętnaście lat temu, i możliwe, że stał się przyczyną późniejszych problemów Nicka. Doktor Smitheram chyba jest tego zdania. Ale odmawia mi bliższych wyjaśnień na ten temat.

— A co takiego się wydarzyło?

— Tego właśnie Smitheram nie chce powiedzieć. Mam wrażenie, że Nick dostał się w łapy jakiegoś maniaka seksualnego. Rodzina prędko go odzyskała, ale chłopak odchodził już od zmysłów ze strachu. Miał wtedy zaledwie osiem lat. Domyśla się pan więc, dlaczego nikt nie chce poruszać tego tematu.

Miałem do Truttwella jeszcze kilka pytań, lecz w tym momencie gospodyni zastukała i otworzyła drzwi gabinetu.

— Słyszałem, jak pan wchodził, proszę pana. Może coś panom podać?

— Nie, pani Glover, dziękuję. Za chwilę znowu wychodzę. A właściwie, gdzie jest Betty?

— Nie wiem, proszę pana — odparła kobieta i spojrzała na mnie z pretensją.

— Jest u Chalmersów — wyjaśniłem.

Truttwell wstał; z jego postawy przebijał gniew.

— Wcale mi się to nie podoba.

— Nic nie mogłem poradzić. Była ze mną, kiedy zabierałem Nicka. Trzymała się bardzo dzielnie. I pomogła mi go utrzymać w ryzach.

Truttwell uderzył się pięścią w udo.

— Nie wychowywałem jej na pielęgniarkę psychopaty.

Gospodyni była przerażona. Bezszelestnie wycofała się i zamknęła za sobą drzwi.

— Idę po nią — oświadczył Truttwell. — Zabiorę ją do domu. Przez tego mięczaka zmarnowała sobie całą młodość.

— Jej zdaniem wcale nie zmarnowała tych lat.

— A więc trzyma pan jego stronę? — Zabrzmiało to, jakbyśmy byli rywalami.

— Nie. Trzymam z Betty i prawdopodobnie z panem. Ale teraz jest najgorszy moment z możliwych, żeby zmuszać ją do podejmowania decyzji.

Truttwell przemyślał to sobie i w końcu zrozumiał, co miałem na myśli.

— Oczywiście, ma pan rację.

ROZDZIAŁ 9

Przed wyjściem z domu Truttwell nabił fajkę i przypalił ją wielką kuchenną zapalką. Ja zostałem w gabinecie, żeby zadzwonić do Roya Snydera z Sacraento. Na moim zegarku była za pięć piąta i złapałem Roya w ostatniej chwili, właśnie gdy schodził ze zmiany.

— Tu znowu Archer. Masz już jakieś informacje o właścicielu tego colta?

— Jasne, że mam. Nabywcą był facet z Pasadeny, niejaki Rawlinson. Samuel Rawlinson. — Przeliterował mi nazwisko. — Zakupu dokonał we wrześniu czterdziestego pierwszego roku i jednocześnie policja w Pasadenie wystawiła mu pozwolenie na broń. Należało je odnowić w czterdziestym piątym. To wszystko, co mam.

— Jakie powody podał Rawlinson, starając się o pozwolenie?

— Ochrona w związku z interesami. Był prezesem banku — odparł Snyder i dodał oschle: — Banku Pasadena Occidental.

Podziękowałem mu i zadzwoniłem do biura numerów w Pasadenie. Bank Pasadena Occidental nie figurował wśród abonentów, ale Samuel Rawlinson i owszem.

Zamówiłem połączenie z przywołaniem Rawlinsona. Odebrała kobieta o szorstkim, acz ciepłym głosie.

— Przykro mi, pan Rawlinson nie może podejść do telefonu — wyjaśniła telefonistce. — Artretyzm.

— Porozmawiam z tą kobietą — powiedziałem.

— Proszę bardzo — odrzekła telefonistka.

— Mówi Lew Archer. Z kim mam przyjemność?

— Nazywam się Shepherd. Opiekuję się panem Rawlinsonem.

— Jest chory?

— Stary — odparła. — Wszyscy się starzejemy.

— Bardzo słuszna uwaga, proszę pani. Próbuję ustalić właściciela rewolweru, który pan Rawlinson kupił w czterdziestym pierwszym roku. Chodzi o colta, czterdziestkępiątkę. Czy byłaby pani uprzejma zapytać go, co z nim zrobił?

— Zapytam.

Odeszła od telefonu na kilka minut. Poprzez zakłócenia na linii dolatywał mnie daleki bełkot, strzępy rozmów, które niknęły, zanim zdążyłem się zorientować, o co chodzi.

— On chce wiedzieć, kim pan jest — odezwała się pani Shepherd. — I jakim prawem pyta go pan o broń. — Po czym dorzuciła ze skrucą: — Ja tylko cytuję słowa pana Rawlinsona. Jest strasznie skrupulatny.

— Ja też. Proszę mu przekazać, że jestem prywatnym detektywem. Możliwe, że z tego rewolweru zastrzelono wczoraj wieczorem człowieka.

— Gdzie?

— W Pacific Point.

— On zwykle spędzał tam lato — powiedziała. — Spytałem go jeszcze raz. — Odeszła od telefonu i wróciła po chwili. — Przykro mi, proszę pana, nie chce nic powiedzieć. Ale mówi, że jeśli zechce pan się tu pofatygować i wyjaśnić, o co chodzi, to z panem porozmawia.

— Kiedy?

— Może dzisiaj, jeśli to panu odpowiada. Wieczorami nigdzie nie wychodzi. Mieszkamy na Locust Street, numer dwieście czterdzieści pięć.

Powiedziałem, że przyjadę najszybciej, jak mi się uda.

Siedziałem już w samochodzie, gotów do drogi, gdy uświadomiłem sobie, że jeszcze nie mogę odjechać. Tuż przede mną stał czarny cadillac z odkrytym dachem i lekarską nalepką. Chciałem zamienić słowo z doktorem Smitheramem.

Drzwi frontowe domu Chalmersów były otwarte na oścież, jak gdyby zrezygnowano z zachowania ostrożności. Wszedłem do holu. Truttwell stał zwrócony plecami do mnie i sprzeczał się z wielkim łysiejącym mężczyzną, zapewne psychiatrą. Lawrence i Irene Chalmers kibicowali sprzecze.

— Szpital nie wchodzi w rachubę — mówił Truttwell. — Nie mamy pewności, co chłopak powie, a ze wszystkich szpitali są przecieki.

— Nie z mojej kliniki — zaproponował wielki mężczyzna.

— Być może, założmy nawet, że tak jest. Mimo to, gdyby pan czy ktoś z pańskiego personelu miał stanąć przed sądem, musiałby odpowiedzieć na pytania. W przeciwieństwie do zawodu prawnika...

— Czy Nick popełnił jakieś przestępstwo? — wpadł mu w słowo lekarz.

— Nie odpowiem na to pytanie.

— A jak mam się zajmować pacjentem, skoro nie mam dostępu do informacji?

— Ma pan ich pod dostatkiem, dużo więcej niż ja. — W głosie Truttwella odezwała się zadawniona uraza. — Siedzi pan na nich od piętnastu lat.

— Przynajmniej przyznaje pan, że nie polecałem z nimi na policję — oświadczył Smitheram.

— Myśli pan, że mogłyby zaciekawić policjantów, doktorze?

— Nie odpowiem na to pytanie.

Stali twarzą w twarz, obaj wściekli. Lawrence Chalmers próbował przemówić im do rozumu, ale nie zwracali na niego uwagi.

Żona Chalmersa podeszła i odciągnęła mnie na stronę. Wzrok miała mętny, ale nie wyrażał zdziwienia, jakby od dawna widziała, co ją prędzej czy później czeka.

— Doktor Smitheram chce zabrać Nicka do swojej kliniki. Co według pana powinniśmy zrobić?

— Zgadza się z Truttwellem. Państwa syn potrzebuje nie tylko opieki lekarskiej, lecz także prawnej.

— Dlaczego? — spytała prosto z mostu.

— Twierdzi, że wczoraj w nocy zabił człowieka, i opowiadał o tym na prawo i lewo.

Zamilkłem, żeby przyswoić sobie ten fakt. Przyjęła to tak, jakby się tego spodziewała.

— Kto zginął?

— Niejaki Sidney Harrow. Był zamieszany w kradzież państwa florenckiej szkatułki. Podobnie jak pani syn.

— Nick?

— Niestety tak. Ma tyle rzeczy na głowie, że moim zdaniem umieszczanie go w szpitalu czy klinice nie jest dobrym pomysłem. Truttwell ma rację, że szpitali wszystkie informacje wyciekają. Nie moglibyście państwo zatrzymać go w domu?

— A kto by go pilnował?

— Pani z mężem.

Otaksowała męża wzrokiem.

— Może, chociaż nie jestem pewna, czy Larry dałby radę. Nie pokazuje tego po sobie, ale jest wyjątkowo drażliwy, zwłaszcza gdy chodzi o Nicka. — Zbliżyła się, żebym odczuł działanie jej ciała. — A może by pan, panie Archer?

— Może bym co?

— Popilnował Nicka dziś w nocy

— Nie — rzuciłem twardo, nieodwołalnie.

— Przecież panu płacimy.

— Zapracowałem na wasze pieniądze. Ale nie jestem pielęgniarzką ze specjalnością z psychiatrii.

— Przepraszam, że w ogóle pana prosiłam.

Powiedziała to nieco kąśliwie. Odwróciła się do mnie plecami i odeszła. Uznałem, że trzeba wynieść się z miasta, zanim wylecę przez nią z roboty. Podeszedłem do Johna Truttwella, żeby poinformować go, dokąd się wybieram i po co.

Sprzeczką prawnika z lekarzem już się skończyła. Truttwell przedstawił mnie psychiatrze, który podał mi miękka dłoń i obrzucił twardym spojrzeniem, w którym dostrzegłem za-kłopotanie, ale i inteligencję.

— Chciałbym spytać pana o kilka spraw w związku z Nickiem, doktorze — powiedziałem.

— To nie jest dobry czas ani miejsce.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Wpadnę jutro do pańskiego gabinetu.

— Skoro pan nalega. A teraz pan wybacz, muszę się zająć pacjentem.

Poszedłem za nim do progu salonu i zajrzałem do środka. Betty i Nick siedzieli na dywanie, nie obok siebie, ale blisko. Ona opierała się na wyciągniętej ręce, zwrócona całym ciałem w jego stronę. Nick przyciskał twarz do podciągniętych kolan.

Wydawało się, że żadne z nich się nie rusza, nawet nie oddycha. Wyglądali jak ludzie zagubieni w przestrzeni, zamrożeni na zawsze, każde w innej pozie; jego poza wyrażała rozpacz, jej — troskę.

Doktor Smitheram podeszedł i usiadł obok nich na podłodze.

ROZDZIAŁ 10

Pojechałem w głąb łądu, przez Anaheim. O tej porze dnia sznur samochodów miejscami pełznął niczym ranny wąż. Przejazd od domu Chalmersów do domu Rawlinsona w Pasadena zajął mi półtorej godziny.

Zaparkowałem przed bramą i przez dłuższą chwilę siedziałem, czekając, aż opuści mnie napięcie wywołane jazdą po autostradzie. Był to jeden z szeregu dwupiętrowych drewnianych domów. Niemal przedpotopowe jak na warunki kalifornijskie, ozdobione były wieżyczkami i kopułami z przełomu wieków. Pół przecznicy dalej Locust Street kończyła się barykadą w czarno-białe pasy, za którą otwierała się głęboka zalesiona przepaść. Zmierzch zalewał wąwóz i podwórka domów i zasnuwał niebo ciemnożółtymi promieniami.

W domu Rawlinsona błysnęło światło — ktoś otworzył i zamknął drzwi frontowe. Na werandę wyszła kobieta i ruszyła po drewnianych schodkach, omijając złamany stopień.

Kiedy zbliżyła się do mojego samochodu, zobaczyłem, że dobiega sześćdziesiątki, choć poruszała się tak pewnie, jakby była znacznie młodsza. Błyskała czarnymi oczami zza okularów. Bardzo ciemna skóra wskazywała zapewne na domieszkę krwi indiańskiej, a może murzyńskiej. Kobieta miała na sobie stateczną szarą suknię i wielobarwny meksykański fartuch.

— Czy to pan chciał się widzieć z panem Rawlinsonem?

— Tak. Nazywam się Archer.

— A ja Shepherd. On właśnie siada do kolacji i prosi, żeby pan się do niego przyłączył. Lubi, kiedy ktoś mu towarzyszy przy stole. Wprawdzie przygotowałam jedzenie tylko dla nas dwojga, ale chętnie poczęstuję pana herbatą.

— Herbatka brzmi świetnie, proszę pani.

Wszedłem za nią do domu. Hol robił wrażenie, jeśli człowiek nie przyglądał mu się zbyt uważnie. Ale parkiet był wypaczony, niektóre klepki obluzowane, a na ścianach widniały ciemne plamy pleśni.

Jadalnia była pogodniejsza. Pod poźółkłym kryształowym kandelabrem, w którym świeciła się tylko jedna żarówka, stał nakryty dla jednej osoby stół — zastawa z wypolerowanego srebra na czystym białym obrusie. Siwowłosy starzec w znożonym smokingu kończył właśnie coś, co wyglądało na gulasz wołowy.

Kobieta przedstawiła mnie starcowi, który odłożył łyżkę, wstał z trudem i podał mi zdeformowaną rękę.

— Proszę uważać na mój artretyzm. Niech pan siada. Pani Shepherd zaparzy panu kawę.

— Herbatę — sprostowała. — Kawa się skończyła. — Ociągała się jednak z odejściem, chcąc posłuchać, o czym będziemy mówili.

Oczy Rawlinsona błyszcząły jak mika.

— Ten rewolwer, w którego sprawie pan dzwonił — walnął prosto z mostu, zniecierpliwiony. — Rozumiem, że posłużono się nim do czegoś nielegalnego?

— Być może. To jeszcze nic pewnego.

— Skoro tak, to przejechał pan kawał drogi na próżno.

— W moim fachu należy sprawdzić każdy szczegół.

— No tak, jest pan prywatnym detektywem — rzekł.

— Zgadza się.

— Dla kogo pan pracuje'?

— Dla prawnika z Pacific Point, Truttwella.

— Johna Truttwella?
— Tak. Zna go pan?
— Spotkałem się z Johnem kilka razy u jednej z jego klientek. To było bardzo dawno temu, on był jeszcze młody, a ja w średnim wieku. Będzie już pewnie ze trzydzieści lat... bo od blisko dwudziestu czterech Estelle nie żyje.
— Estelle?
— Estelle Chalmers... wdowa po sędzim Chalmersie. Cóż to była za kobieta! — Starzec mlasnął jak konieser degustujący wino.
Kobieta, która wciąż marudziła przy drzwiach, zaczęła zdradzać oznaki zmartwienia.
— Panie Rawlinson, to przedpotopowe dzieje. Tego pana nie interesuje historia starożytności.
Rawlinson wybuchnął śmiechem.
— Innej nie znam. Gdzież ta herbata, którą pani tak hojnie proponowała? — Kobieta wyszła, wymownie trzaskając drzwiami, a starzec zwrócił się do mnie: — Jej się wydaje, że jestem jej własnością. Ale nic z tego. Na tym etapie życia w zasadzie mam tylko prawo do snucia wspomnień.
— Pańskie wspomnienia bardzo mnie interesują — powiedziałem. — Zwłaszcza związane z coltem, którego kupił pan we wrześniu czterdziestego pierwszego roku. Wczoraj w nocy prawdopodobnie zastrzelono z niego człowieka.
— Kogo?
— Nazywał się Sidney Harrow.
— Nigdy o nim nie słyszałem — oświadczył Rawlinson takim tonem, jak gdyby podważał fakt istnienia Harrowa. — Zginął?
— Tak.
— A pan próbuje powiązać mój rewolwer z jego śmiercią?
— Niezupełnie. Może taki związek istnieje, a może nie. Chcę to ustalić.
— Testy balistyczne tego nie wykażą?
— Pewnie tak, tylko że jeszcze ich nie przeprowadzono.

— Wobec tego chyba powinienem zaczekać, nie sądzi pan'?

— Z całą pewnością, proszę pana... jeżeli jest pan winny.

Wybuchnął tak gromkim śmiechem, że wypadła mu górna sztuczna szczeka. Wsunął ją na miejsce kciukiem i palcem wskazującym. Pani Shepherd stanęła w drzwiach z herbatą na tacy.

— Co pana tak rozbawiło? — spytała.

— Nie sądzę, żeby pani uznała to za śmieszne. Brakuje pani poczucia humoru.

— Raczej panu brak poczucia przyzwoitości — odcięła się. — Jak na osiemdziesięcioletniego mężczyznę, który był prezesem banku... — Postawiła tacę z lekkim trzaskiem, który dokończył to, co myślała. — Z mlekiem czy z cytryną, panie Archer?

— Poproszę bez niczego.

Nalała herbatę do dwóch filiżanek z białej porcelany, ale z różnych kompletów. Patrząc na resztki dawnej świetności tego domu, zaczął się zastanawiać, czy Rawlinson jest nędzarzem, czy kutwą. No i co, u licha, stało się z jego bankiem?

— Pan Archer podejrzewa mnie o morderstwo — wyjaśnił kobiecie z nutą przechwałki w głosie.

Nie zauważyła w tym nic zabawnego. Jej ciemna twarz pociemniała jeszcze bardziej, a w ustach i oczach pojawiła się zawziętość. Z wściekłością zaatakowała Rawlinsona:

— Więc dlaczego nie powie mu pan prawdy? Dobrze pan wie, że dał ten rewolwer swojej córce, i świetnie pamięta pan kiedy.

— Ani słowa!

— Jeszcze czego! Nie dopuszczę, żeby igrał pan z własnym życiem. Mądry z pana człowiek, ale nie ma pan się czym zająć.

Rawlinson wcale nie był zły, przeciwnie — wyglądało na to, że troska tej kobiety, która zachowywała się jak żona, sprawiła mu przyjemność. A unikanie odpowiedzi na pytanie o rewolwer najwyraźniej było tylko grą.

To pani Shepherd się martwiła.
— Kogo zastrzelono?
— Niejakiego Sidneya Harrowa, który dorabiał jako prywatny detektyw.
Pokręciła głową.
— Nie sędzę, żebym go znała. Proszę pić herbatę, bo wystygnie. Da się pan namówić na ciasto z owocami? Zostało nam jeszcze trochę po świętach.
— Nie, dziękuję.
— A ja zjem kawałek — rzekł Rawlinson. — I do tego kulkę lodów.
— Nie mamy już lodów.
— Wygląda na to, że brakuje nam już wszystkiego.
— Nie, mamy co jeść. Ale na nic innego nie starcza pieniędzy.
Znów wyszła. Kiedy zabrakło jej ciepła i energii, klimat pokoju się zmienił. Rawlinson rozejrzał się nieco zakłopotany, jakby poczuł zimny ciężar swoich kości.
— Przykro mi, że napuściła pana na moją córkę. Mam nadzieję, że pan teraz do niej nie popędzi. Nie ma sensu.
— Dlaczego?
— To prawda, że dałem ten rewolwer Louise w czterdziestym piątym. Ale skradziono go z jej domu kilka lat później, konkretnie w pięćdziesiątym czwartym. — Rzucał datami, jakby był dumny ze swej pamięci. — To nie jest zmyślona *ad hoc* bajeczka.
— Kto ukradł rewolwer?
— Skąd mieliśmy wiedzieć? Do domu córki ktoś się włamał.
— A właściwie dlaczego dał pan jej tę broń?
— To stara historia, w dodatku smutna — odrzekł. — Mąż porzucił moją córkę i zostawił ją samą z Jean, bez grosza przy duszy.
— Z Jean?
— Moją wnuczką. Dwie bezbronne kobiety zostały w domu

same. Louise chciała ten rewolwer, żeby miała się czym bronić. — Ni stąd, ni zowąd uśmiechnął się szeroko. — Moim zdaniem Louise miała nadzieję, że on do niej wróci.

— Kto?

— Jej mąż, a mój bezgranicznie głupi zięć, Eldon Swain. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że gdyby wrócił, zastrzeliłaby go. Z moim błogosławieństwem.

— Co pan miał przeciwko zięciowi?

Zaśmiał się zniecierpliwiony.

— Doskonałe pytanie. Ale jeśli pan pozwoli, uchylę się od odpowiedzi.

Pani Shepherd przyniosła nam dwa cienkie plasterki ciasta. Zauważyła, że pochłonałem swoją porcję jednym kęsem.

— Pan jest głodny. Zrobię panu kanapkę.

— Nie chciałbym sprawiać kłopotu. Zaraz jadę na kolację.

— Ależ to żaden kłopot.

Poświęcała mi tyle uwagi, że Rawlinson poczuł się niezręcznie. Przerwał nam, nieco błaznując:

— Pan Archer chce wiedzieć, co takiego zrobił mi Eldon Swain. Mam mu powiedzieć?

— Nie. I tak za dużo pan mówi.

— Defraudacje Eldona są tajemnicą poliszynele.

— Nie, po tylu latach już nie. Nie należy tego odgrzebywać. I tak mogło się to dla nas skończyć o wiele gorzej. To samo powiedziałam Shepherdowi. Nie należy mówić o dawnych kłopotach, żeby nie wywoływać wilka z lasu.

Zareagował na to z pełną zazdrości irytacją.

— Myślałem, że pani mąż mieszkał w San Diego.

— Randy Shepherd nie jest moim mężem, tylko moim byłym.

— Ale pani się z nim widywała'?

Wzruszyła ramionami.

— Nic nie poradzę, że czasami wpada z wizytą. Staram się go do tego zniechęcać na wszelkie sposoby.

— A więc już wiemy, gdzie podziała się kawa i lody!

— Wcale nie. Nigdy nie poczęstowałam Shepherd'a ani okruszkiem z pańskiego stołu i nigdy nie dałam mu ani centa z pańskich pieniędzy.

— Pani kłamie.

— Niech pan to odwoła, panie Rawlinson. Są rzeczy, których nie ścierpię nawet od pana.

Starzec sprawiał wrażenie zadowolonego. Kobieta znowu poświęcała mu całą uwagę, znów był jedynym obiektem jej uczuć.

Wstałem.

— Muszę się zbierać.

Żadne z nich mnie nie zatrzymywało. Pani Shepherd odprowadziła mnie do frontowych drzwi.

— Mam nadzieję, że uzyskał pan to, po co pan przyjechał.

— Przynajmniej częściowo. Wie pani może, gdzie mieszka jego córka?

— Tak, proszę pana. — Podała mi adres, także w Pasadenie. — Tylko proszę nie mówić, że dostał go pan ode mnie. Pani Eldonowa Swain za mną nie przepada.

— Widzę, że jakoś to pani znosi — odparłem. — Czy Jean Trask jest córką pani Swain?

— Tak. Tylko proszę mi nie mówić, że jest w to zamieszana.

— Niestety tak.

— To fatalnie. Pamiętam ją jeszcze jako niewinnego aniołka. Jean przez lata była najlepszą przyjaciółką mojej córeczki. A potem wszystko się popsuło. — Słyszając własne słowa, zagryzła wargi. — Ja też za dużo mówię i wskrzeszam przeszłość.

ROZDZIAŁ 11

Louise Swain mieszkała przy biednej ulicy odchodzącej od Fair Oaks, pomiędzy Starym Miastem a gettem. Kilkoro dzieci o różnych odcieniach skóry bawiło się pod narożną latarnią, na jasnej wyspie, którą otaczała ciemność.

Na werandzie krytego stiukiem domku pani Swain paliło się światło, a przy krawężniku stał ford, zamknięty na klucz. Poświeciłem latarką w głąb wozu. Zarejestrowany był na George'a Traska, zamieszkałego w San Diego przy Bayview Avenue 4545.

Zapisałem sobie adres, wyjąłem mikrofon kierunkowy i po dwóch pasach betonu, tworzących wymagający remontu podjazd, przeszedłem na bok domku. Pod zniszczoną wiatą stał stary czarny volkswagen z wgniecionym zderzakiem. Stałem w jej cieniu i oparłem się o ścianę obok zasłoniętego okna.

Mikrofon okazał się niepotrzebny. Z domu dobiegał podniesiony, gniewny głos Jean:

— Nie wróć do George'a...

— A ja ci radzę, żebyś do niego wróciła — wpadła jej w słowo starsza kobieta; mówiła dużo spokojniej. — Jemu wciąż na tobie zależy, dzisiaj pytał o ciebie z samego rana... ale to nie będzie trwać wiecznie.

— Nie obchodzi mnie to.

— A powinno. Jeżeli go stracisz, zostaniesz sama, a nie masz pojęcia, jak to jest, bo nie przekonałaś się na własnej skórze. Wybij sobie z głowy, że będziesz mogła wrócić i zamieszkać ze mną.

— Nie zostałam tu, choćbyś mnie błagała na kolanach.

— To ci nie grozi — odparła oschle starsza kobieta. — Miejsca, pieniędzy i energii z trudem wystarcza mi dla mnie samej.

— Ależ ty jesteś zimna, mamó.

— Zimna, powiadasz? Nie zawsze taka byłam. To ty i twój ojciec do tego doprowadziliście.

— Zżera cię zazdrość! — Głos Jean się zmienił. Poprzez gniew i rozpacz przebijał się syk zadowolenia. — Zazdrość o własną córkę i własnego męża. Teraz już wszystko jasne. Nic dziwnego, że oddałaś go Ricie Shepherd.

— Wcale go nie oddałam. Rita sama się go uczepliła jak rzep.

— Przy twojej wydatnej pomocy, mamó. Pewnie sama wszystko zaplanowałaś.

— Proponuję, żebyś wyszła, zanim powiesz o jedno słowo za dużo — rzekła starsza kobieta. — Masz prawie czterdzieści lat i ja już za ciebie nie odpowiadam. Całe szczęście, że twój mąż chce i może się tobą opiekować.

— Nie znoszę go — powiedziała Jean. — Pozwól mi tu zostać. Boję się.

— Ja też — odparła jej matka. — Boję się o ciebie. Znowu piłaś, przyznaj się!

— Oblewałam coś.

— A cóż takiego się stało, że miałaś co oblewać?

— Chciałabyś wiedzieć, co, mamó? — Jean przerwała. — Powiem ci, jak mnie ładnie poprosisz.

— Jeżeli masz mi coś do powiedzenia, to mów, zamiast się wygłupiać.

— Skoro tak, to nic ci nie powiem — oświadczyła Jean jak dziecko, które się droczy. — Sama się domyśl.

— Nie ma się czego domyślać — odrzekła matka.

— Takaś pewna? A gdybym ci powiedziała, że ojciec żyje? Co ty na to?

— Żyje? Naprawdę?

— Jasne, że tak — rzuciła Jean.

— Widziałaś go?

— Wkrótce się zobaczymy. Wpadłam na jego trop.

— Gdzie?

— A to już moja słodka tajemnica, mamo.

— Uch, znowu coś ci się roi. Musiałabym upaść na głowę, żeby ci uwierzyć.

Jean nie odpowiedziała, a w każdym razie ja nic nie usłyszałem. Podejrzywałem, że obie kobiety miały już dość i tej rozmowy, i siebie nawzajem. Wszedłem z cienia wiaty na ciemną ulicę.

Jean stanęła na oświetlonej werandzie. Drzwi zatrzasnęły się za nią, światło zgasło. Czekałem przy jej samochodzie.

Na mój widok cofnęła się i potknęła o połamane płyty chodnika.

— Czego pan chce?

— Niech pani mi odda tę złotą szkatułkę, Jean. Ona nie należy do pani.

— Owszem, należy. Od lat przechodzi w rodzinie z pokolenia na pokolenie.

— Niech pani nie żartuje.

— Kiedy to prawda — powiedziała. — Szkatułka należała do mojej babki, Rawlinson, która obiecała, że kiedyś ją odziedziczę. I właśnie odziedziczyłam.

Częściowo jej wierzyłem.

— Możemy porozmawiać przez chwilę w pani samochodzie?

— Nic dobrego z tego nie wyniknie. Im więcej się mówi, tym bardziej boli.

Miała ponurą minę, powłóczyła nogami. Sprawiała prze-
dziwne wrażenie, że jest duchem albo mglistą emanacją
prawdziwej Jean Trask; jakby czuła, że w środku ma próżnię,
zimną pustkę.

— Co panią boli, Jean?

— Całe moje życie. — Rozpostarła dłonie na piersiach,
jakby ten ból napływał jej do palców. — Tata uciekł do
Meksyku z Ritą. Nie przysłał mi nawet kartki na urodziny.

— Ile pani miała lat?

— Szesnaście. Potem już nigdy nic mnie nie cieszyło.

— Czy pani ojciec żyje?

— Tak sądzę. Nick Chalmers twierdzi, że widział go
w Pacific Point.

— Konkretnie gdzie?

— Przy stacji rozrządowej. To było dawno temu, kiedy
Nick był jeszcze dzieckiem. Ale rozpoznał tatę na podstawie
zdjęcia.

— Skąd on się wziął w tym wszystkim?

— Jest moim świadkiem, że tata żyje. — Podniosła głos,
jak gdyby kierowała swoje słowa do kobiety, która została
w domu, a nie do mnie. — Dlaczego miałby nie żyć? Miałby
teraz dopiero... niech no się zastanowię. Ja mam trzydzieści
dziewięć lat, a tata miał dwadzieścia cztery, kiedy się urodzi-
łam. Czyli że miałby teraz sześćdziesiąt trzy lata, dobrze
mówię?

— Trzydzieści dziewięć plus dwadzieścia cztery daje sześć-
dziesiąt trzy.

— W obecnych czasach sześćdziesięcioletni mężczyz-
na wcale nie jest stary. Zresztą zawsze był młody jak na swój
wiek. Potrafił nurkować, tańczyć, kręcić się jak fryga. Pod-
rzucał mnie na kolanach.

Brzmiało to tak, jakby powtarzała coś, co zapamiętała
z dzieciństwa. Jej myśli porwał prąd wspomnień, który chcąc
nie chcąc, pędził podziemnymi korytarzami do grzmiącego
wodospadu.

— Zamierzam odnaleźć tatę — oświadczyła. — I znajdę go, żywego lub martwego. Jeżeli żyje, będę mu gotowała i prowadziła dom. I będę tak szczęśliwa jak nigdy w życiu. A jeśli umarł, to odszukam jego grób i wie pan, co wtedy zrobię? Wpełzną tam do środka i pójdę spać.

Otworzyła kluczykiem samochód i odjechała, skręcając na południe, w kierunku bulwaru. Być może powinienem był za nią pojechać, ale tego nie zrobiłem.

ROZDZIAŁ 12

Zastukałem do drzwi frontowych domku. Po chwili nad moją głową zapaliły się światła na werandzie i drzwi na łańcuchu uchyliły się na jakieś cztery cale.

Przez szczelinę spojrzęła na mnie kobieta o wyblakłych blond włosach. Miała zaciętą minę, jakby się spodziewała, że znów zobaczy córkę. Wciąż jeszcze otaczała ją atmosfera napięcia.

— O co chodzi?

— Rozmawiałem niedawno z pani ojcem — powiedziałem. — O rewolwerze Colta, który kupił w czterdziestym pierwszym roku.

— Nic nie wiem o żadnym rewolwerze.

— Czy mam przyjemność z panią Eldonową Swain?

— Louise Rawlinson Swain — sprostowała, po czym spytała nagle: — Czy wiadomo coś o moim mężu?

— Być może. Nie moglibyśmy pomówić w środku'? Jestem prywatnym detektywem.

Wsunąłem przez szczelinę swoją licencję. Kobieta oglądała ją tak uważnie, że miałem wrażenie, iż spróbuje ją jeszcze nadgryźć. W końcu mi ją oddała.

— Dla kogo pan pracuje, panie Archer?

— Dla Johna Truttwella, prawnika z Pacific Point. Badam

dwie powiązane ze sobą sprawy... kradzieży i morderstwa. — Nie dodałem, że jej córka ma związek z jednym z tych przestępstw, a może z obydwoima.

Wpuściła mnie za próg. Pokój od frontu był biedny i mały. Jak u Rawlinsona, tak i tu widać było resztki minionej świetności. Nad gazowym kominkiem pasterz i pastereczka z dreźnieńskiej porcelany wymieniali czułe spojrzenia.

Wschodni dywanik nie leżał na podłodze, którą zakrywała wytarta słomianka, lecz na oparciu kanapy; przed nią stał telewizor, na nim elektryczny zegar, obok zaś stolik z szufladą i telefonem. Wszystko było czyste, porządnie odkurzone, ale w pomieszczeniu zalatywało nieco stęchlizną, jak gdyby i pokój, i jego właścicielka przez dłuższy czas leżeli odłogiem.

Pani Swain nie zaproponowała mi, żebym usiadł. Stała naprzeciwko mnie, wysoka jak córka i podobnie jak ona ładna na swój nieco przyciężki sposób.

— Kogo zabito?

— Dojdę do tego, proszę pani. Najpierw chciałbym zapytać o skradzioną szkatułkę. Złotą, wykonaną we Florencji, z klasycznym wizerunkiem kobiety i mężczyzny na wieku.

— Moja matka miała taką szkatułkę — odparła. — Trzymała w niej biżuterię. Po śmierci matki szkatułka zniknęła, ale nie wiem gdzie. — Oczy kobiety zdradzały, że w jej głowie roi się od najrozmaitszych domysłów. — A o co właściwie chodzi? Czy wiadomo coś o Eldonie?

— Nie wiem.

— Powiedział pan: „być może”.

— Nie wykluczam żadnej ewentualności. Tak naprawdę przyjechałem po to, żeby pomówić o rewolwerze, który dostała pani od ojca. Ale możemy porozmawiać, o czym pani sobie życzy.

— O niczym nie mam ochoty rozmawiać. — Jednak po chwili spytała: — Co ojciec panu powiedział?

— Tylko tyle, że dał pani tego colta, żeby miała się pani czym bronić po odejściu męża. Podobno zrobił to w roku czterdziestym piątym.

— To szczerą prawdą — przyznała ostrożnie. — A czy mówił panu, w jakich okolicznościach Eldon odszedł?

Postanowiłem wziąć ją z zaskoczenia.

— Pani Shepherd mu nie pozwoliła.

To nią wstrząsnęło.

— Czy ona była obecna przy waszej rozmowie?

— Wychodziła z jadalni i wchodziła...

— Jakżeby inaczej. Co jeszcze ojciec przy niej powiedział?

— Nie pamiętam, czy było to w obecności pani Shepherd, ale powiedział, że w roku pięćdziesiątym czwartym ktoś włamał się do pani i ukraść colta.

— Rozumiem. — Rozejrzała się po pokoju, jakby sprawdzała, czy ta opowieść do niego pasuje.

— To się zdarzyło w tym domu? — spytałem.

Kiwnęła głową.

— Czy włamywacza złapano?

— Nie wiem. Ale nie sądzę.

— Zgłosiła pani włamanie na policję?

— Nie pamiętam. — Nie potrafiła kłamać i skrzywiła się, jakby czuła niesmak do samej siebie. — Zresztą czy to ważne?

— Próbuję ustalić, w czyje ręce trafił ten rewolwer. Jeżeli podejrzewa pani, kto dokonał włamania... — Zawiesiłem głos i spojrzałem na elektryczny zegar; była dwudziesta trzydzieści. — Mniej więcej dwadzieścia godzin temu być może z tej broni zastrzelono człowieka. Nazywał się Sidney Harrow.

Znała to nazwisko, świadczył o tym wyraz jej twarzy. Delikatna skóra wokół oczu ściągnęła się z rozpacz. Po chwili odezwała się:

— Jean nic mi nie mówiła. Nic dziwnego, że była przerażona. — Wykręcając palce, pani Swain przeszła na drugą stronę pokoju. — Podejrzewa pan, że to Eldon zabił Sidneya Harrowa?

— Niewykluczone. Czy to pani mąż zabrał ten rewolwer w pięćdziesiątym czwartym?

— Tak, on. — Przyznała to ze spuszczoną głową, odwracając ode mnie twarz, jak kobieta bardzo wzburzona. — Nie chciałam mówić ojcu, że Eldon wrócił i że się spotkaliśmy. Dlatego skłamałam, że ktoś się do mnie włamał.

— A niby dlaczego miałyby pani mówić o tym ojcu?

— Dlatego że następnego dnia, z samego rana, poprosił mnie o ten rewolwer. Prawdopodobnie dowiedział się, że Eldon jest w mieście, i chciał go zastrzelić. Ale wtedy Eldon już miał tego colta. To się nazywa ironia losu, co?

Akurat taki rodzaj ironii niekoniecznie mi odpowiadał, mimo to przytaknąłem.

— W jaki sposób Eldon zdobył rewolwer? — spytałem. — Sama mu go pani dała'?

— Nie, tego bym nie zrobiła. Trzymałam go w szufladzie stolika pod telefon. — Jej oczy przesunęły się ze mnie na stolik. — Wyjęłam go, kiedy usłyszałam stukanie do drzwi. Podejrzewałam, że to Eldon, bo on pukał bardzo charakterystycznie. Wie pan, dwa uderzenia krótkie, dwa długie. Takie było jego tempo. Miał czelność wrócić po dziewięciu latach spędzonych w Meksyku z inną dziewczyną. Po tylu świństwach wyrządzonych mnie i mojej rodzinie. I oczekiwał, że jeden jego uśmiech, a puścimy wszystko w niepamięć i oczaruje nas tak, jak to robił przed laty.

Spojrzała na drzwi.

— Wtedy jeszcze nie miałam łańcucha przy drzwiach... kazałam go zamontować następnego dnia. Drzwi nie były zamknięte na klucz i Eldon wszedł, cały w uśmiechach, wołając mnie po imieniu. Chciałam go zastrzelić, ale nie mogłam pociągnąć za spust. A on podszedł i odebrał mi broń.

Pani Swain usiadła, jakby nagle zabrakło jej sił. Oparła się o wschodni dywanik. Ostrożnie przysiadłem obok niej.

— I co było potem?

— To, czego można się było po nim spodziewać. Wszystkiego się wyparł. Nie ukraść pieniędzy. Nie wyjechał do Meksyku z dziewczyną. Uciekł przed fałszywymi oskarżeniami i przez cały czas żył w ścisłym celibacie. Dowodził nawet, że moja rodzina jest mu coś winna, bo ojciec publicznie nazwał go malwersantem i zszargał mu reputację.

— A co pani mąż rzekomo zrobił?

— Żadne „rzekomo”, co do tego nie ma wątpliwości. Był kasjerem w banku mojego ojca i sprzeniewierzył ponad pół miliona dolarów. Naprawdę ojciec panu o tym nie mówił?

— Nie. Kiedy to się stało?

— Pierwszego lipca czterdziestego piątego roku... to był najczarniejszy dzień w moim życiu. Eldon puścił bank ojca z torbami, a ze mnie zrobił niewolnicę.

— Niezupełnie rozumiem, proszę pani.

— Czyżby? — Uderzyła pięścią w kolano, niczym sędzia wzywający młotkiem do zachowania spokoju na sali. — Wiosną czterdziestego piątego roku mieszkałam w wielkiej rezydencji w San Marino. Ale zanim lato dobiegło końca, musiałam przeprowadzić się tutaj. Mogłam wprowadzić się z Jean do ojca na Locust Street, ale nie chciałam mieszkać pod jednym dachem z tą Shepherd. Dlatego musiałam radzić sobie sama i znaleźć pracę. Szycie to jedyna rzecz, jakiej się w życiu nauczyłam. Dlatego od ponad dwudziestu lat demonstruję klientom maszyny do szycia. Właśnie to miałam na myśli, mówiąc o niewolnicy. — Zacisnęła pięść na kolanie. — Eldon najpierw okradł mnie ze wszystkich życiowych przyjemności, a potem wypierał się tego w żywe oczy.

— Przykro mi.

— Mnie również. Żałuję, że go wtedy nie zastrzeliłam. Gdyby jeszcze raz trafiła mi się taka okazja... — Nabrała głęboko powietrza i wypuściła je powoli.

— Nic dobrego by z tego nie wyszło, proszę pani. Są gorsze miejsca niż ten dom. Na przykład więzienie dla kobiet w Coronie.

— Wiem. Tak tylko gadam. — Ale nachyliła się ku mnie i zapytała z przejęciem: — Niech mi pan powie, czy Eldona naprawdę widziano w Pacific Point?

— Nie wiem.

— Pytam, bo Jean podobno wpadła na jego trop. Właśnie dlatego zatrudniła tego całego Harrowa.

— Znała go pani?

— Jean przywiozła go tu w zeszłym tygodniu. Nie zrobił na mnie dobrego wrażenia. Ale córka zawsze podchodziła do mężczyzn bardzo impulsywnie. A teraz dowiaduję się od pana, że on nie żyje.

— Tak.

— I zastrzelono go z rewolweru, który zabrał mi Eldon — oświadczyła dramatycznie. — Wie pan, Eldon w razie konieczności byłby zdolny zabić. Zabiłby każdego, kto próbowałby go tu ściągnąć i wtrącić do więzienia.

— Przecież Jean nie miała takich zamiarów.

— Wiem o tym. W swojej głupocie czciła go jak bożyszcze. Ale możliwe, że Sidney Harrow miał własne plany. Wyglądał na takiego, co to żyje na cudzy koszt. Proszę pamiętać, że Eldon miał kupę pieniędzy... ponad pół miliona.

— Zakładając, że ich nie przepuścił.

Posłała mi zawzięty uśmiech.

— Nie zna go pan. Eldon nigdy nie szastał pieniędzmi. One były treścią jego życia. Żeby je zdobyć, zaplanował wszystko na zimno, metodycznie. Kontrola bankowa orzekła, że przygotowywał tę kradzież przez grubo ponad rok. A w Meksyku pewnie zainwestował wszystko na dziesięć procent.

Słuchałem, lecz nie do końca jej wierzyłem. Sama przyznała, że nie widziała męża od pięćdziesiątego czwartego roku. Mówiła o nim z chwiejną pewnością kogoś, kto przywołuje fantazje. Po dwudziestu latach pokazywania klientom maszyn do szycia kobieta ma prawo żyć marzeniami.

— Czy wciąż jesteście małżeństwem, proszę pani?

— Owszem. Być może uzyskał rozwód w Meksyku, ale jeśli tak, to ja nic o tym nie wiem. Wciąż żyje w grzechu z tą Shepherdówną. A mnie to odpowiada.

— Ma pani na myśli córkę pani Shepherd?

— Właśnie. Obie są sobie warte. Wpuściłam Ritę Shepherd pod swój dach i traktowałam ją jak własną córkę. A ona ukradła mi męża.

— Która kradzież nastąpiła wcześniej?

Przez chwilę patrzyła na mnie zaskoczona, po czym jej czoło się wygładziło.

— A, rozumiem. Tak, Eldon afiszował się z Ritą, zanim jeszcze ukradł pieniądze. Przyłapałam ich już na samym początku. Wydaliśmy w domu przyjęcie połączone z pływaniami... w San Marino, gdzie mieszkaliśmy, mieliśmy basen długości czterdziestu stóp. — Zniżyła głos tak, że ledwie ją słyszałam. — Nie potrafię o tym spokojnie myśleć.

W ciągu ostatniej godziny ta kobieta została surowo ukarana i miałem dość roli, jaką w tym odegrałem. Wstałem i podziękowałem jej, ale mnie nie puściła.

Ociężała wstała z kanapy.

— Czy detektywi przyjmują czasem zlecenia za honorarium uzależnione od wyników?

— Co ma pani na myśli?

— Nie mam teraz pieniędzy, żeby panu zapłacić. Gdyby jednak udało mi się odzyskać część z tego, co ukradł Eldon... — Jej słowa zawisły w powietrzu, ni to z nadzieją, ni bez nadziei. — Znowu wszyscy bylibyśmy bogaci — dodała zduszonym, rozmodlonym głosem. — Rzecz jasna, hojnie bym pana wynagrodziła.

— Nie wątpię. — Zacząłem przesuwając się chyłkiem do drzwi. — Będę się rozglądał za pani mężem.

— Wie pan, jak on wygląda?

— Nie.

— Niech pan zaczeka. Dam panu jego zdjęcie, jeżeli córka wszystkich nie zabrała.

Przeszła do pokoju w głębi domu; usłyszałem, jak podnosi i przesuwa jakieś graty. Wróciła z zakurzoną fotografią w ręku i policzkiem usmarowanym jak górnik.

— Jean zabrała wszystkie najlepsze zdjęcia rodzinne, wszystkie moje albumy z San Marino — poskarżyła się. — Siadała i przeglądała je tak, jak inne młode kobiety czytają pisma o życiu gwiazd filmowych. George, to znaczy jej mąż, opowiadał mi, że Jean wciąż ogląda w domu filmy, jakie nakręciliśmy w San Marino.

Wziąłem od niej zdjęcie. Przedstawiało mężczyznę w wieku około trzydziestu pięciu lat o jasnych włosach i zuchwałym spojrzeniu. Przypominał człowieka ze zdjęcia, jakie kapitan Lackland znalazł przy Sidneyu Harrowie. Ale fotografia nie była aż tak wyraźna, bym miał stuprocentową pewność.

ROZDZIAŁ 13

Zjadłem kolację w Pasadenie i wróciłem do siebie, do zachodniego Los Angeles. W moim mieszkaniu na pierwszym piętrze było ciepło i panował zaduch. Otworzyłem okno, potem piwo i z butelką w ręku usiadłem po ciemku w pokoju od ulicy.

Mieszkałem w spokojnej dzielnicy, z dala od dróg przelotowych. Mimo to wciąż słyszałem ich szum, daleki, a zarazem bliski, niczym szum krwi w moich żyłach.

Od czasu do czasu ulicą przejeżdżały samochody, przelotnie oświetlając reflektorami sufit. Nad sprawą, którą prowadziłem, równie trudno było się skupić, jak nad znikającymi światłami i szumem miasta.

Nabierała innego kształtu i charakteru. Jak każda, w miarę jak się w nią wgryzasz. W centrum pojawił się Eldon Swain, wciągając ze sobą całą rodzinę. Jeżeli żył, mógłby mi udzielić odpowiedzi na kilka istotnych pytań. A jeśli nie, będę je musiał uzyskać od tych, którzy znają jego dzieje.

Zapaliłem światło, wyjąłem czarny notes i zacząłem spisywać notatki o ludziach:

Colta czterdziestkępiątkę, którego odebrałem Nickowi Chalmersowi, kupił we wrześniu czterdziestego pierwszego roku Samuel Rawlinson, prezes banku Pasadena

Occidental. Około pierwszego lipca czterdziestego piątego roku dał go swojej córce, Louise Swain. Jej mąż, Eldon, który był kasjerem, właśnie zdefraudował ponad pół miliona i doprowadził bank do upadku. Uciekł, rzekomo do Meksyku, z Ritą Shepherd, córką gospodyni Rawlinsona (a swego czasu także „najlepszą przyjaciółką” jego córki, Jean).

W pięćdziesiątym czwartym roku Eldon Swain pojawił się w domu swej żony i zabrał jej colta. W jaki sposób broń trafiła od Swaina do Nicka Chalmersa? Przez Sidneya Harrowa czy przez innych ludzi?

Notabene: San Diego. Mieszkał tam Harrow; tak samo jak córka Swaina, Jean, oraz jej mąż, George Trask, a także były mąż pani Shepherd.

Kiedy skończyłem pisać, dochodziła północ. Zadzwoiłem do domu Johna Truttwella w Pacific Point i na jego prośbę przeczytałem mu swoje notatki, dwukrotnie. Powiedziałem, że może jednak warto by przekazać rewolwer Lacklandowi do zbadania. Truttwell odparł, że już to zrobił. Poszedłem spać.

Zegar w moim radiu wskazywał siódmą rano, gdy dzwonek telefonu wyrwał mnie ze snu. Podniosłem słuchawkę i wysuszonymi ustami wychrypiałem swoje nazwisko.

— Tu kapitan Lackland. Wiem, że trochę wcześniej na telefon, ale przez całą noc byłem na nogach, nadzorowałem badania rewolweru, który przekazał pan swojemu adwokatowi.

— Pan Truttwell nie jest moim adwokatem.

— Wypowiadał się w pańskim imieniu. Ale w zaistniałych okolicznościach to za mało.

— Co to za okoliczności?

— Nie lubię mówić o dowodach rzeczowych przez telefon. Da pan radę przyjechać za godzinę na posterunek?

— Postaram się.

Darowałem sobie śniadanie i zjawiłem się w gabinecie Lacklanda za dwie minuty ósma według elektrycznego zegara

wiszącego na ścianie jego biura. Powitał mnie krótkim skinieniem głowy. Oczy miał jeszcze bardziej zapadnięte. Na twarzy wykielkował mu lśniący siwy zarost, niczym druciki na końcu stalowego kabla.

Jego biurko było zavalone zdjęciami. Na samym wierzchu leżała powiększona mikrofotografia dwóch kul. Lackland wskazał mi twarde krzesło naprzeciwko siebie.

— Najwyższy czas, żebyśmy urządzili burzę mózgów.

— Powiedział pan to tak, jakby chodziło o starcie osobowości, kapitanie.

Lackland się nie uśmiechnął.

— Nie jestem w nastroju do żartów. Chcę wiedzieć, skąd pan wziął tę broń. — Znienacka wyciągnął rewolwer, przy-mocowany drutem do kawałka drewnianej sklejki.

— Nie mogę panu tego powiedzieć. A zgodnie z prawem, nie muszę.

— Zna się pan na prawie?

— Pracuję dla dobrego prawnika. Przyjmuję jego interpretację.

— A ja nie.

— Jasno pan stawia sprawę, kapitanie. Jestem gotów do jak najdalej idącej współpracy. Najlepiej świadczy o tym fakt, że ma pan ten rewolwer.

— Najlepiej świadczyłoby o tym, gdyby mi pan powiedział, skąd pan go wziął.

— Tego nie mogę zrobić.

— A jeśli panu powiem, że i tak już wiemy, czy zmieni pan zdanie?

— Wątpię. Ale niech pan próbuje.

— Wiadomo, że wczoraj Nick Chalmers miał przy sobie broń. Mam świadka. Inny świadek widział go w pobliżu hotelu Sunset Motor mniej więcej w czasie zabójstwa Harrowa.

Lackland mówił oschle i oficjalnie, jakby zeznawał już na procesie Nicka. Przez cały czas nie spuszczał ze mnie wzroku.

Staralem się, żeby moje oczy niczego nie wyrażały, żeby były tak zimne jak oczy kapitana.

— Bez komentarzy — rzuciłem.

— Na rozprawie będzie pan musiał odpowiedzieć.

— Bardzo wątpię. Poza tym nie jesteśmy w sądzie.

— Możliwe, że trafimy tam szybciej, niż się panu zdaje.

Już teraz mojego materiału chyba wystarczy, żeby wnieść akt oskarżenia do sądu. — Uderzył dłonią w plik fotografii na biurku. — Mam niezbity dowód, że Harrowa zabito z tego rewolweru. Wystrzelone z niego kule porównaliśmy z kulą wydobytą z jego mózgu. Chce pan rzucić okiem?

Uważnie obejrzałem mikrofotografie. Nie byłem wprawdzie specem od balistyki, ale widziałem, że obie kule pasują do siebie. Dowodów świadczących przeciwko Nickowi przybywało.

Było ich aż za dużo. W zestawieniu z nimi wyznanie Nicka, że zamordował kogoś na koczowisku bezdomnych, wydawało się coraz mniej realne.

— Nie traci pan czasu, kapitanie.

Komplement przygnębił Lacklanda.

— Żeby to była prawda! Pracuję nad tą sprawą od piętnastu lat... i prawie wszystkie zmarnowałem. — Otaksował mnie przeciągłym spojrzeniem. — Wie pan, przydałaby mi się pańska pomoc. Jestem skłonny do współpracy jak każdy normalny człowiek.

— To tak jak ja. Nie rozumiem tylko, dlaczego mówił pan o piętnastu latach.

— Sam chciałbym to rozumieć. — Odłożył mikrofotografie na bok i z brązowej koperty, którą pokazywał mi wczoraj, wyciągnął inne zdjęcia. — Niech pan popatrzy.

Pierwszą fotografię, tę wyciętą, już widziałem. Przedstawiała Eldona Swaina, a jakże, w otoczeniu sukienek, ale dziewczęta ktoś obciął.

— Zna go pan?

— Być może.

— Więc tak czy nie? — dociekał kapitan.

Nie miałem powodu, żeby to ukrywać. Lackland i tak by doszedł, że rewolwer kupił Samuel Rawlinson, o ile już na to nie wpadł. A potem tylko krok dzieliłby go od zięcia Rawlinsona.

— Nazywa się Eldon Swain — powiedziałem. — Kiedyś mieszkał w Pasadenie.

Kapitan uśmiechnął się i pokiwał głową jak nauczyciel, którego najslabszy uczeń zaczął robić postępy. Z brązowej koperty wyciągnął następne zdjęcie. Zrobione przy użyciu lampy błyskowej, przedstawiało znużoną twarz śpiącego mężczyzny. Zamrugalem i stwierdziłem, że ten człowiek nie żyje.

— A co pan powie o nim? — spytał Lackland.

Spłowiełe włosy mężczyzny były niemal białe, a spalona przez ostre słońce twarz usmarowana ziemią czy popiołem. Zęby miał połamane, a usta otoczone zmarszczkami straconych nadziei.

— To może być ten sam człowiek, kapitanie.

— Też jestem tego zdania. Dlatego wygrzebałem jego akta.

— Nie żyje?

— Od wielu lat. Dokładnie od piętnastu. — W szorstkim głosie kapitana pojawiła się czuła nutka, widocznie zarezerwowana dla zmarłych. — Dał się załatwić na koczowisku bezdomnych, w pięćdziesiątym czwartym. Byłem wtedy sierżantem.

— Ktoś go zabił?

— Przestrzelił mu gardło. Z tej broni. — Podniósł przymocowany do sklejki rewolwer. — To ta sama, z której zabito Harrowa.

— Skąd pan wie?

— Balistyka, jak zwykle. — Z szuflady biurka wyciągnął oznaczone nalepką i wyściełane bawełnianą szmatką pudełko, a z niego kulę. — Ta kula także pasuje do tych, które wczoraj w nocy wystrzeliliśmy na próbę, a od niej właśnie zginął ten

człowiek na koczowisku. Przyszło mi to do głowy dlatego — dorzucił nie bez dumy — że Harrow miał przy sobie to drugie zdjęcie. — Poklepał wyciętą fotografię Eldona Swaina. — I uderzyło mnie jego podobieństwo do tego zabitego na koczowisku.

— Myślę, że ten denat to Swain — rzekłem. — To by się zgadzało w czasie. — Streściłem Lacklandowi, czego dowiedziałem się o wędrownym rewolweru z rąk Rawlinsona do jego córki, a potem jej męża tułacza.

Kapitan wyraźnie się zainteresował.

— Powiada pan, że Swain był w Meksyku?

— Podobno, przez jakieś osiem, dziewięć lat.

— To w pewnym sensie potwierdza identyfikację. Zmarły ubrany był w meksykańskie ciuchy, jak nielegalny imigrant. Między innymi dlatego nie poświęciliśmy tej sprawie tyle uwagi, ile należało. Podczas wojny pracowałem w straży granicznej i dobrze wiem, jak trudno jest wytropić Meksykańca.

— Nie było odcisków palców?

— A żebyś pan wiedział, nie było. Zwłoki zostawiono z rękami w ogniu... a raczej w zwęglonych resztkach ogniska. — Pokazał mi odrażające zdjęcie spalonych dłoni. — Nie wiem, czy to przypadek, czy nie. Na tym koczowisku dzieją się niebываłe rzeczy.

— Mieliście wtedy jakichś podejrzanych?

— Oczywiście zgarnęliśmy wszystkich przejezdnych. Jeden z nich na pierwszy rzut oka wyglądał obiecująco... niejaki Randy Shepherd, były skazaniec. Jak na włóczęgę, miał przy sobie stanowczo za dużo pieniędzy, a poza tym widziano go z denatem. Ale utrzymywał, że spotkali się przypadkiem na drodze i obalili butelkę. Nie potrafiliśmy udowodnić, że było inaczej.

Przeszedł do dalszych pytań o Eldona Swaina i rewolwer, a ja mu odpowiedziałem. W końcu oświadczył:

— No to obgadaliśmy już wszystko z wyjątkiem najważniejszej sprawy. Jak ta broń trafiła wczoraj w pańskie ręce?

— Przykro mi, kapitanie. Dobrze chociaż, że nie próbuje pan przypisać Nickowi Chalmersowi tego starego zabójstwa na koczowisku. Był wtedy tak mały, że nie dałby rady utrzymać w ręku korkowca.

— Znane są przypadki, że dzieci strzelały z broni palnej — odrzekł Lackland z nieprzeniknioną miną szachisty.

— Wolne żarty!

Posłał mi lodowaty uśmiech, jakby chciał powiedzieć, że wie i zawsze będzie wiedział o wiele więcej ode mnie.

ROZDZIAŁ 14

Zajechałem pod kancelarię Truttwella, by złożyć mu raport. Recepcjonistka o różowych włosach powitała mnie z wyraźną ulgą.

— Próbowałam się z panem skontaktować. Pan Truttwell mówił, że to pilne.

— Jest u siebie?

— Nie. U państwa Chalmersów.

Wpuścił mnie Emilio, ich służący. Truttwell siedział w salonie z gospodarzami. Scena wyglądała jak czuwanie przy zmarłym, tyle że brakowało zwłok.

— Coś się stało z Nickiem?

— Uciekł — odparł Chalmers. — Mam za sobą nieprzespaną noc i, niestety, wykorzystaj; moją nieuwagę. Zamknął się na klucz w łazience na górze. Do głowy mi nie przyszło, że zdoła się przecisnąć przez okienko. Ale dał radę.

— Dawno?

— Niecałe pół godziny temu — rzekł Truttwell.

— Fatalnie.

— Wiem. — Chalmers był spięty i niespokojny. Długa męcząca noc wycisnęła piętno na jego twarzy. — Liczyliśmy, że pomoże nam pan go znaleźć.

— Nie możemy się zwrócić do policji, sam pan rozumie — dodała jego żona.

— Rozumiem. Jak był ubrany, proszę pana?

— Tak samo jak wczoraj... wieczorem nie chciał się rozebrać. Miał na sobie szary garnitur, białą koszulę i niebieski krawat. I czarne buty.

— Czy wziął coś ze sobą?

Truttwell odpowiedział mi za nich:

— Niestety tak. Zabrał wszystkie pastylki nasenne, jakie znalazł w łazience.

— W każdym razie nie ma ich — rzekł Chalmers.

— Co konkretnie zginęło? — spytałem.

— Trochę kapsułek z wodzianem chloralu i sporo nembutalu po trzy czwarte grana.

— I bardzo dużo nembuzerpiny — dorzuciła jego żona.

— Czy miał pieniądze?

— Przypuszczam, że tak — odparł Chalmers. — Nie zabrałem mu ich. Staralem się go nie denerwować.

— W którą stronę poszedł?

— Nie wiem. Dopiero po kilku minutach zdałem sobie sprawę, że go nie ma. Niestety, jako klawisz jestem do niczego.

Irene Chalmers cmoknęła cicho, tylko raz, ale brzmiała w tym dźwięku wyraźna sugestia, że przychodzi jej do głowy kilka innych rzeczy, w których mąż jest do niczego.

Poprosiłem Chalmersa, żeby pokazał mi, którądy uciekł syn. Przeszliśmy do łazienki po kilku kamiennych schodkach i korytarzem bez okien. Drzwi splądrowanej apteczki były otwarte na oścież. Głęboko osadzone w ścianie okno miało wymiary mniej więcej dwie na trzy stopy. Otworzyłem je i wyjrzałem na zewnątrz.

Na klombie pod oknem, zobaczyłem głębokie odciski stóp, zwrócone palcami w stronę domu. Pomyślałem, że Nick najpierw wystawił nogi, zawisł na parapecie i skoczył. Innych śladów nie było.

Zeszliśmy do salonu, gdzie czekali Irene Chalmers i Truttwell.

— Mądrze pani zrobiła, nie wzywając policji — powiedziałem. — Na waszym miejscu nie mówiłbym o zniknięciu syna ani im, ani nikomu.

— Nie mówiliśmy i nie mamy takiego zamiaru — zapewnił Chalmers.

— W jakim był stanie emocjonalnym, kiedy wychodził?

— Zdawało mi się, że w niezłym. Spał niewiele, ale w nocy spokojnie sobie pogadaliśmy.

— Można wiedzieć o czym?

— Oczywiście. Mówiłem, że teraz musimy trzymać się razem i że będziemy go wspierać ze wszystkich sił.

— I jak reagował?

— Niestety, prawie wcale. I tak dobrze, że się nie złościł.

— Mówił coś o zabójstwie Harrowa?

— Nie. A ja nie pytałem.

— A o zastrzeleniu innego człowieka, piętnaście lat temu?

Twarz Chalmersa wydłużyła się ze zdumienia.

— O czym pan mówi, na miłość boską?

— Odłóżmy to na razie. Macie wystarczająco dużo na głowie.

— Niczego nie będziemy odkładać. — Irene Chalmers wstała i podeszła do mnie. Oczy miała podkrążone, cerę żółtawą, a jej usta drgały niepewnie. — Chyba nie oskarża pan mojego syna o jeszcze jedno zabójstwo?

— Zadałem proste pytanie.

— Nie proste, tylko okropne.

— Zgadzam się. — John Truttwell także wstał i podszedł do mnie. — Na nas już chyba pora. Ci ludzie mają za sobą koszmarną noc.

Pożegnałem się z nimi takim gestem, jakbym ich przeproszał, i ruszyłem za Truttwellem do wyjścia. Emilio przybiegł, żeby nas wypuścić. Ale Irene Chalmers przecięła mu drogę i nas zatrzymała.

— Gdzie doszło do tej rzekomej strzelaniny? — spytała mnie.

— Na tutejszym koczowisku włóczęgów. Najwyraźniej użyto tej samej broni, z której zabito Harrowa.

Chalmers stanął za plecami żony.

— Skąd pan to wie?

— Policja przeprowadziła badania balistyczne.

— I podejrzewają Nicka? Przecież on miał wtedy zaledwie osiem lat!

— Też zwróciłem na to uwagę kapitanowi Lacklandowi.

Truttwell spojrział na mnie zaskoczony.

— Rozmawiał pan z nim na ten temat?

— Ale nie w tym sensie, że odpowiadałem na jego pytania. To głównie od niego mam informacje o tym wcześniejszym zabójstwie.

— Jak to się stało, że zesłicie na ten temat? — spytał prawnik.

— To Lackland go poruszył. Ja wspomniałem o tym przed chwilą, bo uznałem, że tak trzeba.

— Rozumiem. — Truttwell odnosił się do mnie z uprzejmą obojętnością. — Wybaczy pan, chciałbym omówić to z państwem Chalmers na osobności.

Zaczekałem na dworze, w samochodzie. Był piękny styczniowy poranek, wiał lekki, upajający wietrzyk. Mnie jednak przytłaczał ciężar tego, co zaszło i co zostało powiedziane w tym domu. Bałem się, że Chalmersowie mnie zwolnią. Sprawa nie była prosta, ale spędziwszy cały dzień i noc z uwikłanymi w nią ludźmi, chciałem doprowadzić ją do końca.

Truttwell wyszedł wreszcie z domu i usiadł obok mnie z przodu.

— Chcieli, żebym pana zwolnił. Ale przekonałem ich, że to kiepski pomysł.

— Sam nie wiem, czy powinienem panu dziękować.

— Ja też nie. Z tymi ludźmi nie jest łatwo dojść do porozumienia. Trzeba ich było przekonać, że nie donosił pan Lacklandowi.

Zabrzmiało to jak pytanie, więc odparłem:

— Nie donosiłem. Ale musiałem pójść z nim na wspólną pracę. On się zajmuje tą sprawą od piętnastu lat. A ja niecałą dobę.

— Czy wysuwał wobec Nicka konkretne zarzuty?

— Niezupełnie. Powiedział tylko, że dziecko też potrafi wystrzelić z rewolweru.

Małe oczka Truttwella rozbłysły jak kryształki lodu.

— Myśli pan, że naprawdę tak było?

— Mam wrażenie, że Lackland rozważa taką możliwość. Niestety, trup przemawia za jego teorią.

— Wie pan, kto to był?

— Nie ustalono tego jednoznacznie. Ale całkiem możliwe, że to niejaki Eldon Swain, poszukiwany przez policję.

— Poszukiwany za co?

— Za defraudację. Jest jeszcze jedna sprawa, o której niechętnie wspominam, ale muszę. — Przerwałem. Naprawdę nie chciałem o tym mówić. — Wczoraj, zanim go tu przywiozłem, Nick tak jakby przyznał się do morderstwa. Tyle że jego opis pasuje do tej starej sprawy, do zastrzelenia Swaina, a nie do zabójstwa Harrowa. Choć możliwe, że przyznawał się do obu zabójstw naraz.

Truttwell kilkakrotnie uderzył pięścią o pięść.

— Musimy go sprowadzić, zanim przez swoje gadulstwo trafi na szubienicę.

— Czy Betty jest w domu?

Prawnik spojrział na mnie ostro.

— Nie wykorzysta jej pan w charakterze przynęty ani wabika.

— A w roli kobiety? Przecież jest kobietą.

— Przede wszystkim jest moją córką. — To stwierdzenie Truttwella wiele o nim mówiło. — Nie pozwolę jej wmieszać w zabójstwo.

Nie fatygowałem się, by mu przypomnieć, że już jest zamieszana.

— Czy Nick ma innych przyjaciół, z którymi mógłbym pomówić?

— Wątpię. Zawsze był typem samotnika. Między innymi stąd wynikały moje zastrzeżenia... — Prawnik pohamował się. — Najwięcej informacji mógłby panu udzielić doktor Smitheram, gdyby udało się panu skłonić go do mówienia. Ja próbowałem przez piętnaście lat. — Po czym dorzucił oschle: — Niestety, dzieli nas zawodowa sprzeczność interesów.

— A mówiąc o piętnastu latach...?

Truttwell odpowiedział na moje niedokończone pytanie:

— Pamiętam, że kiedy Nick chodził do drugiej czy trzeciej klasy, w coś się wplątał. Pewnego dnia nie wrócił ze szkoły do domu. Jego matka zadzwoniła do mnie z pytaniem, co robić. Udzieliłem jej typowej rady. Do dziś zresztą nie wiem, czy mnie posłuchała. Ale następnego dnia chłopiec był w już domu. I od tej pory Smitheram stale go leczy, z przerwami. Dodam tylko, że z mizernym skutkiem.

— Czy pani Chalmers chociaż z grubsza wyjaśniła, co się stało?

— Nick albo uciekł, albo został uprowadzony... moim zdaniem to drugie. I sądzę... — prawnik zmarszczył nos, jakby coś zaśmierdziało — że miało to coś wspólnego z seksem.

— Mówił pan o tym wczoraj. Z jakiego rodzaju seksem?

— Wynaturzonym — odparł zwięźle.

— Czy tak powiedziała pani Chalmers?

— Nie dosłownie. Przemawia za tym fakt, że nikt nie chce mówić na ten temat. — Jego głos zamarł.

— Morderstwo jeszcze bardziej sznuruje usta.

Truttwell pociągnął nosem.

— Ośmiolatek nie jest zdolny do popełnienia morderstwa jako takiego.

— Ja o tym wiem. Ale ośmioletni chłopcy nie, zwłaszcza jeżeli wszyscy dookoła milczą na ten temat.

Truttwell poruszył się niespokojnie na siedzeniu, jakby opędzał się od niemiłych widoków.

— Obawiam się, że wyciąga pan pochopne wnioski, panie Archer.

— To nie wnioski, tylko hipotezy.

— Czy nie odbiegamy zbyt daleko od pańskiego pierwotnego zadania?

— Zawsze liczyliśmy się z taką możliwością, prawda? Swoją drogą, chciałbym, żeby zmienił pan zdanie w sprawie Betty. Ona może wiedzieć, gdzie jest Nick.

— Nie wie — odrzekł Truttwell zwięźle. — Już ją pytałem.

ROZDZIAŁ 15

Wysadziłem Truttwella z dala od centrum. Wy tłumaczył mi, jak dojechać do kliniki doktora Smitherama, która mieściła się w wielkim nowym budynku na modnych obrzeżach Montevista. Na kamiennej fasadzie nad głównym wejściem wryty był napis: „Klinika Smitherama, 1967”.

Do pozbawionej okien poczekalni weszła ładna ciemnowłosa kobieta i spytała, czy jestem umówiony na wizytę.

Odparłem, że nie.

— Przychodzę w pilnej sprawie dotyczącej jednego z pacjentów doktora.

— Którego?

W jej niebieskich oczach malowała się troska. Przedzielone pasmem siwizny ciemne włosy wyglądały, jakby czas czule musnął je ręką.

— Wolałbym pomówić o tym z doktorem.

— Może pan śmiało rozmawiać ze mną. Jestem żoną doktora Smitherama i współpracuję zawodowo z mężem. — Obdarzyła mnie uśmiechem, który może i był zawodowy, lecz wydawał się nader prawdziwy. — Czy pan jest kimś z rodziny?

— Nie. Nazywam się Archer...

— Oczywiście — wpadła mi w słowo. — Ten detektyw. Mąż czekał na pański telefon. — Uważnie zlustrowała moją twarz i lekko zmarszczyła brwi. — Czy znów coś się stało?

— Rozpętało się prawdziwe piekło. Niech mi pani pozwoli porozmawiać z mężem.

Spojrzała na zegarek.

— Po prostu nie mogę. Jeszcze przez pół godziny będzie miał pacjenta. Nie wolno im przeszkadzać, chyba że w naprawdę krytycznej sytuacji.

— To właśnie jest taka sytuacja. Nick znowu uciekł. I w każdej chwili można się spodziewać ruchu ze strony policji.

Zareagowała, jakby razem z Nickiem brała udział w spisku.

— Chcą go aresztować?

— Tak.

— To głupie i niesprawiedliwe. On był tylko małym dzieckiem... — Urwała i zdanie zawisło niedokończone, jakby w jej głowie obudził się cenzor.

— Był małym dzieckiem, kiedy co zrobił, proszę pani?

Ze złością wciągnęła powietrze i zrezygnowana wypuściła je z cichym sykiem. Wyszła za wewnętrzne drzwi i zamknęła je za sobą.

W końcu pojawił się Smitheram; w białym kitlu wydawał się wręcz olbrzymi. Był trochę nieobecny duchem, jak człowiek wyrwany z głębokiego snu. Niecierpliwie uściśnął mi dłoń.

— I dokąd znów ten Nick się wybrał?

— Nie mam pojęcia. Po prostu uciekł.

— Kto go pilnował?

— Ojciec.

— Co za bzdura! Ostrzegałem ich, że chłopak musi być pod stałą ochroną, ale Truttwell postawił na swoim. — Jego gniew wzbierał, szukając coraz to nowych obiektów, jak gdyby w istocie lekarz był zły sam na siebie. — Skoro nie chcę słuchać moich rad, umywam ręce.

— Doskonale wiesz, że nie możesz — wtrąciła jego żona od drzwi. — Szuka go policja.

— Albo wkrótce zaczniesz go poszukiwać — sprycyzowałem.

— Co na niego mają?

— Podejrzewają go o dwa morderstwa. Pan chyba wie na ten temat więcej niż ja.

Lekarz zmierzył mnie wyzywającym wzrokiem. Czułem, że mam przeciwko sobie silny, przebiegły umysł.

— Pańskie przypuszczenia sięgają bardzo daleko.

— Niech pan posłucha, doktorze. Może zakopiemy topór wojenny i pogadamy jak ludzie? Obaj chcemy, żeby Nick wrócił bezpiecznie do domu, nie trafił do więzienia i wyleczył się z tego, co mu dolega, cokolwiek to jest.

— Długa ta lista życzeń — odrzekł z uśmiechem, w którym nie było cienia wesołości. — A zgodzi się pan, że nie robimy wielkich postępów?

— Zgodzę się. No więc dokąd mógł pójść?

— Trudno powiedzieć. Trzy lata temu zniknął na kilka miesięcy. Szwendał się po całym kraju, zawędrował aż na wschodnie wybrzeże.

— Nie mamy trzech miesięcy, ani nawet trzech dni. Wziął ze sobą kilka opakowań środków nasennych i uspokajających... wodzianu chloralu, nembutalu, nembuzerpiny.

Oczy lekarza zamigotały i pociemniały.

— Niedobrze. Z pewnością pan wie, że Nick czasami miewa myśli samobójcze.

— Dlaczego?

— Miał w życiu pecha. Obwinia siebie, jakby z powodu jakichś zbrodni ponosił winę za swoje niepowodzenia.

— A pańskim zdaniem nie ponosi?

— Moim zdaniem nikt tu nie jest winny. — Powiedział to tak, jakby w to wierzył. — Ale nie powinniśmy tu stać i gadać. W żadnym razie nie będę zdradzał tajemnic mojego pacjenta. — Ruszył do wewnętrznych drzwi.

— Niech pan zaczeka, doktorze. Zajmę panu tylko chwilę. Pan wie, że życie pańskiego pacjenta może być zagrożone.

— Proszę cię, Ralph — wtrąciła się pani Smitheram. — Porozmawiaj z panem.

Lekarz odwrócił się do mnie i skłonił z przesadą, na znak, że jest do moich usług. Miałem ochotę zapytać go o człowieka zabitego na koczowisku włóczęgów, ale powstrzymałem się — to by tylko poszerzyło krąg milczenia.

— Czy zeszłej nocy Nick w ogóle z panem rozmawiał? — spytałem.

— Trochę. Prawie przez cały czas byli z nami jego rodzice i narzeczona. Naturalnie, ich obecność nie sprzyjała zwierzeniom.

— Czy wymieniał jakieś nazwiska albo nazwy miejscowości? Próbuję się zorientować, dokąd mógł uciec.

Smitheram skinął głową.

— Pójdę po notatki.

Wyszedł z pokoju i wrócił z kilkoma kartkami, zapisanymi kompletnie nieczytelnymi bazgrołami. Włożył okulary do czytania i przejrzał je szybko.

— Wspominał, że spotyka się z kobietą, która nazywa się Jean Trask.

— Jaki miał do niej stosunek?

— Ambiwalentny. Obwinał ją o swoje kłopoty... chociaż nie było jasne dlaczego. A jednocześnie wydawał się nią dosyć zainteresowany.

— Seksualnie?

— Tego bym nie powiedział. Jego uczucia są raczej braterskie. Poza tym mówił o jakimś Randym Shepherdzie. Prawdę mówiąc, chciał, żebym pomógł mu odnaleźć Shepherdę.

— Wyjaśnił dlaczego?

— Zdaje się, że Shepherd mógł być albo był świadkiem jakiegoś zdarzenia sprzed wielu lat.

Smitheram odszedł, zanim zdążyłem przejść do dalszych pytań. Wymieniliśmy się z jego żoną numerami poczty głosowej.

wej, ale nie chciała mnie jeszcze puścić. Wzrok miała lekko przygaszony, jakby nie wiedzieć czemu była sobą rozczarowana.

— Wiem, że odmowa podania faktów może człowieka doprowadzić do białej gorączki — powiedziała. — Ale działamy w ten sposób z braku wyjścia. Proszę zrozumieć, pacjenci niczego przed mężem nie ukrywają. To podstawa terapii.

— Rozumiem.

— Niech mi pan wierzy, my naprawdę trzymamy stronę Nicka. Oboje z mężem bardzo go lubimy... lubimy całą jego rodzinę. Tak jak sam mówił, pech ich w życiu nie oszczędzał.

Smitheramowie do perfekcji opanowali sztukę takiego prowadzenia rozmowy, żeby nic nie powiedzieć. Ona jednak sprawiała wrażenie pełnej życia kobiety, która wołałaby mówić swobodnie. Odprowadziła mnie do drzwi, wciąż niezadowolona z tego, co mi powiedziała albo co zataiła.

— Niech mi pan wierzy, w moich aktach są takie rzeczy, o których wołałby pan nie wiedzieć.

— Tak samo w moich. Kiedyś wymienimy się tymi historiami.

— To dopiero będzie coś! — odparła z uśmiechem.

W holu budynku Smitheramów wisiał publiczny telefon. Połączyłem się z biurem numerów w San Diego, dostałem domowy numer George'a Traska i przekręciłem do niego. Telefon dzwonił i dzwonił, zanim ktoś podniósł słuchawkę.

— Halo? — odezwała się Jean Trask wystraszonym, przytłumionym głosem. — Czy to ty, George?

— Mówi Archer. Gdyby pojawił się u pani Nick Chalmers...

— Oby nie. Nie chcę mieć z nim więcej do czynienia.

— Gdyby się jednak zjawił, niech go pani zatrzyma. Ma pełną kieszeń środków nasennych i chyba ma zamiar je zażyć.

— Podejrzewałam, że to psychol — oświadczyła kobiecie. — Czy to on zabił Sidneya Harrowa?

— Wątpię.

— A jednak to zrobił, prawda? Czy on mnie ściga? To dlatego pan dzwoni? — Do jej głosu wkradł się szybki, wymuszony rytm strachu.

— Nie mam powodu, żeby tak sądzić — odrzekłem i zmieniłem temat: — Czy zna pani może niejakiego Randy'ego Shepherd'a?

— Zabawne, że pan o to pyta. Akurat miałam... — Urwała nagle.

— Co pani miała, proszą pani?

— Nic. Myślałam o czymś innym. Nie znam nikogo o takim nazwisku.

Kłamała. Ale kłamstwo nie wyjdzie na wierzch w rozmowie telefonicznej. San Diego leżało o rzut kamieniem, wobec tego postanowiłem wybrać się tam bez zapowiedzi.

— Szkoda — powiedziałem i przerwałem połączenie.

Znowu zadzwoniłem do biura numerów. W okręgu San Diego nie było abonenta nazywającego się Randy Shepherd. Połączyłem się więc z domem Rawlinsona w Pasadenie. Odebrała pani Shepherd.

— Mówi Archer. Pamięta mnie pani?

— Oczywiście, że pana pamiętam. Ale jeżeli chce pan rozmawiać z panem Rawlinsonem, to jeszcze nie wstał z łóżka.

— Tym razem mam sprawę do pani. Jak mogę się skontaktować z pani byłym mężem?

— Nie przeze mnie. Czy on znowu narozrabiał?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Ale znajomy chłopak ma przy sobie mnóstwo proszków nasennych i zamierza popełnić samobójstwo. Być może Shepherd mógłby mnie do niego doprowadzić.

— O jakim chłopaku pan mówi? — spytała obronnym tonem.

— O Nicku Chalmersie. Nie zna go pani.

— Faktycznie, nie znam. I nie potrafię panu podać adresu Shepherd'a, wątpię zresztą, czy ma jakiś adres. Mieszka gdzieś w Tijuana River Valley, przy granicy z Meksykiem.

ROZDZIAŁ 16

Do San Diego dotarłem krótko przed południem. Dom Trasków przy Bayview Avenue stał u podnóża cypla Loma; roztaczał się stamtąd widok na North Island i zatokę. Był to solidny budynek w stylu rancho, na zboczu wzgórza, z pięknie utrzymanym trawnikiem i klombami.

Zastukałem do drzwi frontowych żelazną kołatką w kształcie konika morskiego. Bez odpowiedzi. Zapukałem raz jeszcze, odczekałem i spróbowałem przekręcić klamkę. Drzwi się nie otworzyły.

Obszedłem dom, zaglądając w okna i starając się zachowywać jak ewentualny nabywca. Okna były szczelnie zasłonięte grubymi kotarami. Mignęły mi tylko szafki kuchenne z drewna brzoźowego i zlewozmywak z nierdzewnej stali, a w nim piętrzące się brudne naczynia, ale nic więcej nie dostrzegłem. Przylegający do budynku garaż był zaryglowany od środka.

Wróciłem do samochodu, który zostawiłem po drugiej stronie ulicy, wsiadłem i czekałem. Dom był całkiem zwyczajny, coś jednak przykuło moją uwagę. Zdawało się, że cały ruch w porcie i na niebie, promów i kutrów rybackich, samolotów i mew, ma jakiś związek z tym domem.

Czas włókł się w nieskończoność. Mijały mnie furgonetki dostawcze, a także pełne dzieci samochody, z matkami za

kierownicą. Ludzie, którzy mieszkali przy tej ulicy, traktowali ją chyba tylko jako szlak komunikacyjny. Przesiadali w swoich domach, jakby dla podkreślenia poczucia własności oraz izolacji.

Pod górę wjechał stary gruchot, zupełnie niepasujący do okolicy; za nim ciągnęły się kłęby oleistego dymu, a poprzedzał go stukot paska wentylatora, który wymagał nasmarowania. Wsiadł z niego wysoki kościsty mężczyzna w brudnej szarej wiatrówce i z brudną siwą brodą. W znoszonych trampkach bezszelestnie przeszedł przez jezdnię. Pod pachą niósł okrągły meksykański kosz. Podobnie jak ja, zastukał do drzwi frontowych Trasków. I tak jak ja, sięgnął do klamki.

Rozejrzał się po ulicy i spojrzał na mnie, poruszając głową tak szybko i instynktownie jak stare zwierzę. Ja tymczasem oglądałem mapę drogową okręgu San Diego. Kiedy znów spojrzałem na tego faceta, otworzył już drzwi domu i właśnie zamykał je za sobą.

Wsiadłem z samochodu i odczytałem dane z dowodu rejestracyjnego jego wozu: Randolph Shepherd, Domki Conchity, Imperial Beach. Kluczyki tkwiły w stacyjce. Schowałem je do tej samej kieszeni, w której trzymałem swoje.

Po prawej stronie przedniego siedzenia leżał egzemplarz „Los Angeles Timesa”, otwarty na trzeciej stronie. Pod szerokim na dwie szpalty tytułem zobaczyłem artykuł o śmierci Sidneya Harrowa oraz zdjęcie jego twarzy młodego hulaki, której na dobrą sprawę nigdy nie widziałem.

O mnie napisano tylko, że znalazłem zwłoki, nic więcej. Nie było wzmianki o Nicku Chalmersie. Przytoczono jednak wypowiedź kapitana Lacklanda, który oświadczył, że spodziewa się aresztować sprawcę w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

Wciąż jeszcze trzymałem głowę w samochodzie, gdy Shepherd otworzył drzwi domu Trasków. Wyszedł na dwór ukradkiem, lecz szybko, wręcz wypadł stamtąd, jakby wyrzuciła go na zewnątrz siła eksplozji. Przez chwilę jego oczy

były okrągłe jak szklane kulki do gry, a usta wyglądały jak okrągła czerwona dziura w gąszczu brody.

Na mój widok stanął jak wryty. Rozejrzał się po słonecznej ulicy niczym ktoś osaczony w ślepym zaułku, otoczonym wysokim murem.

— Witaj, Randy.

Uśmiechnął się ze zdziwieniem, prezentując brązowe zęby. Niechętnie, zmuszając się do każdego kroku jak człowiek coraz głębiej brnący w lodowate morze, przeszedł ku mnie przez jezdnię. Jego uśmiech stał się swobodny, głupekowaty.

— Przywozłem panience Jean pomidory. Kiedyś zajmowałem się ogrodem u jej taty. Mam do tego smykałkę, widzi pan?

Na dowód podniósł gruby, krzywy i uwalany ziemią kciuk, zakończony równie brudnym połamanym paznokciem.

— Zawsze włamujesz się do domu, kiedy przyjeżdżasz z dostawą, Randy?

— Skąd pan wiesz, jak mam na imię? Pan z policji?

— Niezupełnie.

— To skąd pan wiesz, jak mam na imię?

— Jesteś słynny. Chciałem cię poznać.

— Coś pan za jeden? Glina?

— Prywatny.

Szybko podjął decyzję, tyle że złą. Przez całe życie podejmował złe decyzje, o czym świadczyły blizny na jego twarzy. Spróbował wykluć mi kciukiem oko, a jednocześnie trafić mnie kolaniem.

Złapałem w locie jego rękę i wykręciłem. Na chwilę zamarliśmy w absolutnym bezruchu. Oczy Shepherd'a miały wściekłe błyski, ale nie potrafił podsycać swej furii. Na jego twarzy zaszła seria przeobrażeń, niczym stopklatki przedstawiające człowieka, który w miarę starzenia się traci siły. Gdy jego ręka zwiotczała, puściłem ją.

— Kierowniku, mogę już sobie pójść? Mam jeszcze kupę towaru do rozwiezienia.

— A cóż ty takiego rozwozisz? Kłopoty?

— Nie, psze pana. Ja nie z takich. — Zerknął na dom Trasków, jakby zaskoczony, że widzi go na tej ulicy. — Może i jestem krewki, ale muchy bym nie skrzywdził. Panu nic żem nie zrobił. To pan żeś mnie załatwił. Mnie zawsze się obrywa.

— Nie tylko tobie.

Skrzywił się, jakbym powiedział coś okrutnego.

— Do czego pan pijesz?

— Były dwa zabójstwa. To dla ciebie nie nowina. — Sięgnąłem po leżącą na siedzeniu samochodu gazetę i pokazałem mu zdjęcie Harrowa.

— W życiu żem go nie widział — oświadczył.

— Rozłożyłeś gazetę na tej stronie.

— Nie ja. Wziąłem taką ze stacji. Ja zawsze biorę gazety ze stacji. — Nachylił się ku mnie, spocony i zdenerwowany. — Słuchaj pan, to ja już spadam, dobra? Muszę iść za potrzebą.

— To jest ważniejsze.

— Nie dla mnie.

— Dla ciebie też. Znasz chłopaka, który nazywa się Nick Chalmers?

— On nie... — Ugryzł się w język i zaczął jeszcze raz: — Co żeś pan mówił?

— Słyszałeś. Szukam Nicka Chalmersa. Możliwe, że on z kolei szuka ciebie.

— Niby po co? Nic żem mu nie zrobił. Kiedym się dowiedział, że Swain planuje porwanie... — Znowu ugryzł się w język i zatkał usta dłonią, jakby mógł wepchnąć swoje słowa z powrotem do gardła albo ukryć je w gąszczu brody jak ptaszki.

— Czy to Swain porwał chłopaka Chalmersów?

— Mnie pan się nie pytaj. Jestem czysty jak łza. — Zerknął jednak w niebo zmrużonymi oczami, jakby spodziewał się ujrzeć zwisający z nieba hak albo pętlę. — Muszę zejść z tego słońca. Od tego mogę dostać raka skóry.

— To miła, powolna śmierć. Swain umarł o wiele szybciej.
— Nigdy mnie w to nie wrobisz, kierowniku. Nawet gliniarze z Point mnie puścili.

— Nie puściliby cię, gdyby wiedzieli to co ja.

Zbliżył się do mnie na ugiętych kolanach, udając mniejszego niż w rzeczywistości.

— Jak Boga kocham, jestem czysty. Puść mnie pan już, proszę.

— Jeszcze na dobre nie zaczęliśmy.

— Nie możemy tu tak stać.

— Dlaczego nie?

Obrócił głowę, jakby jego szyją sterował automat, i jeszcze raz rzucił okiem na dom Trasków. Spojrzałem w ślad za jego wzrokiem i zobaczyłem, że drzwi frontowe są lekko uchylone.

— Zostawiłeś otwarte drzwi. Chyba powinniśmy je zamknąć.

— Sam se pan zamknij — odburknął. — Skurcz mnie złapał w nogę, jak nie usiądę, to się wykopyrtnę.

Wgramolił się za kierownicę swojego gruchota. Pomyślałem, że bez kluczyka daleko nie zajędzie, więc przeszedłem na drugą stronę ulicy. Przez szparę między drzwiami a nadprożem zobaczyłem czerwone pomidory, rozsypane na podłodze holu. Wszedłem ostrożnie, żeby ich nie rozdeptać.

Od kuchni dolatywał swąd spalenizny. Stwierdziłem, że płyn w szklanej maszynie do kawy wygotował się i naczynie na kuchence elektrycznej pękło. Obok, na podłodze z zielonego PCW, leżała Jean Trask.

Wyłączyłem kuchenkę elektryczną z kontaktu i ukląknłem przy Jean. Miała klute rany piersi i paskudnie poderżnięte gardło. Jej ciało, w piżamie i różowym nylonowym szlafroku, było jeszcze ciepłe.

Mimo że Jean nie żyła, słyszałem dobiegający skądś oddech. Miałem wrażenie, że to oddycha sam dom. Otwarte drzwi w głębi kuchni prowadziły do pralni i suszarni, a stamtąd do garażu.

Stał tam ford sedan George'a Traska. Obok, na betonowej podłodze, leżał na plecach Nick Chalmers. Rozpiąłem kołnierzyk jego koszuli i spojrzałem mu w oczy — były wywrócone białkami do góry. Otwartą dłoń uderzyłem go mocno w jeden policzek, potem w drugi. Bez reakcji. Usłyszałem swój jęk.

Koło chłopaka leżały na podłodze trzy różnej wielkości puste fiołki po lekarstwach. Podniosłem je i schowałem do kieszeni. Nie było czasu na dalsze poszukiwania. Musiałem zawieźć Nicka na płukanie żołądka.

Podniosłem drzwi garażu, przeszedłem przez jezdnię do swojego samochodu i tyłem wjechałem na podjazd. Podniosłem Nicka — był to kawał chłopca, więc wcale nie przyszło mi to łatwo — i położyłem go na tylnym siedzeniu. Zamknąłem garaż i zatrzasnąłem drzwi frontowe.

Wtedy zauważyłem, że Randy Shepherd i jego gruchot zniknęli. Bez dwóch zdań potrafił równie dobrze uruchamiać samochody bez kluczyka, jak otwierać zamknięte drzwi. W tych okolicznościach nie miałem mu za złe, że dał nogę.

ROZDZIAŁ 17

Ulicą Rosecrans dotarłem do autostrady numer 80 i zajechałem z Nickiem pod szpitalną bramę dla karettek. Właśnie przywieziono ofiary wypadku drogowego i na ostrym dyżurze wszyscy byli zajęci. W poszukiwaniu noszy otworzyłem jakieś drzwi, zobaczyłem trupa i wycofałem się.

W innej sali znalazłem nosze na kółkach, wyjechałem z nimi na zewnątrz, władowałem na nie Nicka, po czym zawiozłem go na ostry dyżur.

— Trzeba mu zrobić płukanie żołądka. Nałykał się proszków nasennych.

— Jeszcze jeden? — powiedziała pielęgniarka.

Wyciągnęła formularz, który musiałem wypełnić, a potem spojrzała na twarz Nicka i chyba wzruszyła ją jego apatyczna uroda. Chwilowo dała sobie spokój z biurokracją. Pomogła mi zawieźć chłopaka do pokoju zabiegowego i wezwała młodego lekarza o ormiańskim nazwisku.

Lekarz zmierzył Nickowi tętno i oddech, po czym spojrzał w jego zwężone źrenice. Odwrócił się do mnie.

— Wie pan może, czego się nałykał?

Pokazałem mu fiołki, które zebrałem z podłogi w garażu Trasków. Widniało na nich nazwisko Lawrence'a Chalmersa

oraz nazwy i sposób dawkowania trzech leków: wodzianu chloralu, nembutalu i nembuzerpiny.

Spojrzał na mnie pytająco.

— Chyba nie połknął tego wszystkiego?

— Nie wiem, czy fiołki były pełne. Ale nie sędzę.

— Miejmy nadzieję, że przynajmniej wodzianu chloralu było niewiele. Dwadzieścia takich kapsułek wystarcza do zabicia dwóch mężczyzn.

Mówiąc to, zaczął wsuwać giętką plastikową rurkę do nosa Nicka. Poleciał pielęgniarce nakryć go kocem i przygotować zastrzyk glukozy. Potem znów odwrócił się do mnie.

— Kiedy się tego nałykał?

— Nie powiem panu dokładnie. Jakies dwie godziny temu. A swoją drogą, co to jest ta nembuzerpina?

— Mieszanka nembutalu z rezerpina. To środek uspokajający, stosowany w leczeniu nadciśnienia, a także w psychiatrii. — Spojrzał mi prosto w oczy. — Czy ten chłopiec ma zaburzenia emocjonalne?

— W pewnym sensie.

— Rozumiem. Jest pan jego krewnym?

— Przyjacielem — odparłem.

— Pytam dlatego, że musimy go przyjąć na oddział. Przy tego typu próbach samobójczych szpital wymaga całodobowej opieki pielęgniarstwa. A to kosztuje.

— To akurat żaden problem. Jego ojciec jest milionerem.

— Pan żartuje. — Moje słowa nie zrobiły na nim wrażenia. — Poza tym, zanim go przyjmiemy, powinien go obejrzeć lekarz prowadzący. Zgoda?

— Zrobię, co się da, doktorze.

Znalazłem budkę telefoniczną i zadzwoniłem do domu Chalmersów w Pacific Point. Odebrała Irene Chalmers.

— Mówi Archer. Czy mogę mówić z pani mężem?

— Lawrence'a nie ma w domu. Pojechał szukać Nicka.

— Może dać sobie spokój z szukaniem. Znalazłem go.

— Nic mu nie jest?

— Niestety. Nałykał się proszków i właśnie robią mu płukanie żołądka. Dzwonię ze szpitala San Diego. Zapamięta pani?

— Tak, szpital San Diego. Znam go, przyjadę tam jak najszybciej.

— Proszę wziąć ze sobą doktora Smitherama i Johna Truttwella.

— Nie jestem pewna, czy mi się uda.

— Niech im pani powie, że to kwestia życia i śmierci. Ja nie żartuję, proszę pani.

— Czy on umiera?

— Może umrzeć. Ale miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Nawiasem mówiąc, proszę wziąć ze sobą książeczkę czekową. Trzeba mu będzie zapewnić prywatne pielęgniarki.

— Tak, oczywiście. Dziękuję panu. — Powiedziała to takim tonem, że właściwie nie wiedziałem, czy w ogóle mnie usłyszała.

— Więc niech pani weźmie książeczkę czekową albo gotówkę.

— Tak, naturalnie. Właśnie myślałam, jakie to życie jest dziwne, jakby zataczało kręgi. Nick urodził się w tamtym szpitalu, a teraz pan mówi, że może w nim umrzeć.

— Nie sądzę, żeby umarł, proszę pani.

Zaniosła się płaczem. Słuchałem jej szlochów przez chwilę, dopóki nie odłożyła słuchawki.

A ponieważ nie zgłoszenie popełnienia morderstwa byłoby z gruntu nierozsądne, zadzwoniłem też na policję w San

Diego i podałem dyżurnemu sierżantowi adres George'a T1— Zdarzył się wypadek.

— Jaki wypadek?

— Zadźgano kobietę.

— Poproszę o pańskie nazwisko — powiedział sierżant głośniej, z wyraźnym zainteresowaniem.

Odwiesiłem słuchawkę i oparłem się o ścianę. W głowie miałem pustkę. Niewiele brakowało, a bym zemdlał. Przypo-

mniałem sobie, że nie jadłem śniadania, więc krążyłem po szpitalu, dopóki nie znalazłem baru samoobsługowego. Wypiłem dwie szklanki mleka, a do tego wziąłem grzanki z jajkami na miękko, niczym inwalida. Poranne wydarzenia zrujnowały mi żołądek.

Wróciłem na ostry dyżur, gdzie wciąż zajmowano się Nickiem.

— Co z nim?

— Trudno powiedzieć — odparł lekarz. — Jeśli wypełni pan formularz, przyjmujemy go tymczasowo i umieścimy w separacie. Może być?

— Jasne. Matka i jego psychiatra powinni tu dotrzeć w ciągu godziny.

Lekarz uniósł brwi.

— Czy on jest poważnie chory?

— Na głowę, o to panu chodzi? Wystarczająco.

— Tak myślałem. — Sięgnął pod biały fartuch i wyjął podarty skrawek papieru. — Wypadło mu to z górnej kieszeni koszuli.

Podał mi kartkę, na której ktoś napisał ołówkiem:

„Jestem mordercą i zasługuję na śmierć. Mamo, tato, wybaczcie mi. Kocham cię, Betty”.

— On nie jest mordercą, prawda? — zapytał lekarz.

— Nie.

Nawet w moich uszach brzmiało to niewiarygodnie, ale on mi uwierzył.

— Normalnie policja chciałaby zobaczyć pożegnalny list samobójcy. Ale po co przysparzać gościowi więcej kłopotów?

Złożyłem kartkę, schowałem ją do portfela i wyszedłem, zanim lekarz zdążył się rozmyślić.

ROZDZIAŁ 18

Pojechałem na południe, do Imperial Beach. Kasjerka w restauracji dla zmotoryzowanych wytłumaczyła mi, jak znaleźć Domki Conchity.

— Ale lepiej się tam nie zatrzymywać — ostrzegła.

Kiedy tam dotarłem, zrozumiałem, co miała na myśli. Była to jedna wielka ruina, na oko tak stara jak wykopaliska archeologiczne. Tablica w recepcji informowała: „Dolar od osoby. Dzieci gratis”. Domki, czyli małe pokryte stiukiem kostki, nosiły ślady nierównej walki z pogodą. Największy budynek, z biegnącym przez front napisem „Piwo i tańce”, już dawno zabito deskami.

Wady otoczenia rekompensowała stonowana zieleń topoli, która rzucała łagodny szary cień. Stałem pod nią przez chwilę, czekając, aż ktoś się mną zainteresuje.

Z jednego z domków wyszła przysadzista kobieta w czerwonej chustce na głowie. Sukienka bez rękawów odsłaniała jej grube brązowe ramiona.

— Conchita?

— Jestem Florence Williams. Conchita nie żyje od trzydziestu lat. Postanowiliśmy z Williamsem zachować jej imię, kiedy kupiliśmy te domki. — Rozejrzała się, jakby nie widziała ich od dłuższego czasu. — Uwierzyłby pan, że podczas wojny przynosiły kupę forsy?

— Teraz jest dużo większa konkurencja.

— Co pan powie? — Stała obok mnie w cieniu drzewa. — Czym mogę panu służyć? Jeżeli pan coś sprzedaje, niech pan nawet nie otwiera ust, szkoda fatygi. Właśnie straciłam przedostatniego lokatora. — Pomachała na pożegnanie w kierunku otwartych drzwi domku.

— Randy'ego Shepherd'a?

Odsunęła się i zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów.

— Szuka go pan, co? Tak myślałam, że ma kogoś na karku, bo zwiął, zostawiając swoje rzeczy. Szkoda tylko, że niewiele warte. Mniej niż dziesięć procent tego, co mi jest winien.

Taksowała mnie wzrokiem, więc zrewanżowałam się tym samym.

— A ile tego jest, proszę pani?

— Przez te wszystkie lata uzbierało się ładne kilkaset dolarów. Po śmierci mojego męża namówił mnie, żebym zainwestowała w jego poszukiwania wielkiego skarbu. To było gdzieś tak w pięćdziesiątym roku, kiedy wyszedł z mamra.

— Co to za skarb?

— Zakopane pieniądze — odparła. — Randy wynajął ciężki sprzęt i przekopał cały mój teren, a poza tym jeszcze pewnie z pół okręgu. Od tamtej pory ani to miejsce nie jest już takie jak kiedyś, ani ja nie jestem taka sama. Zupełnie jakby przeszedł huragan.

— Chętnie wykupiłbym udział w tym poszukiwaniu skarbu.

— Mój może pan dostać za marne sto dolarów — oświadczyła czym prędzej.

— Z Randym Shepherdem na dokładkę?

— Tego to ja już nie wiem. — Gdy rozmowa zesła na pieniądze, jej matowe oczy rozbliły się. — Ale nie będę miała krwi na rękach przez tę forszę?

— Nie mam zamiaru go zabić.

— To czemu był taki przerażony? Nigdy nie widziałam, żeby aż tak się bał. Skąd mam wiedzieć, że pan go nie zabije?

Powiedziałem jej, kim jestem, i pokazałem swoją licencję.

— Dokąd pojechał Randy, proszę pani?

— Najpierw chciałabym zobaczyć tę stówkę.

Wyjąłem z portfela dwie pięćdziesiątki i podałem jej jedną.

— Drugą dostanie pani, jak pogadam z Shepherdem. Gdzie go znajdę?

Wskazała palcem szosę na południe.

— Jest w drodze do granicy. Idzie pieszo, więc na pewno go pan zauważy. Wyszedł nie dalej niż dwadzieścia minut temu.

— A co się stało z jego samochodem?

— Sprzedał go na części w warsztacie za tym wzniesieniem. Właśnie dlatego myślę, że chce się przedostać do Meksyku. On już tam uciekał, do przyjaciół, u których może się ukryć.

Ruszyłem do swojego samochodu. Kobieta podążyła za mną z zaskakującą szybkością.

— Tylko niech mu pan nie mówi, że panu powiedziałam. Bo wróci kiedyś ciemną nocą i mnie załatwi.

— Nic mu nie powiem, proszę pani.

Z mapą drogową na siedzeniu obok mnie pojechałem na południe, przez tereny rolnicze. Miąłem łąkę, na której pasły się krowy rasy holstein. Dalej z każdej strony ciągnęły się uprawy pomidorów. Było już po zbiorach, ale dostrzegłem jeszcze kilka czerwonych, pomarszczonych owoców na wysuszonych palikach.

Kiedy ujechałem może z półtorej mili, na szosie pojawiły się wyboje, a dookoła niskie gęste krzewy. I wtedy zobaczyłem Shepherdę. Szedł szybko, a właściwie sadił susami, tak że zwinięta pościel podskakiwała mu na plecach, a na głowie meksykański kapelusz. Stosunkowo niedaleko przed nim Tijuana odcinała się na niebie niczym okazała kupa złomu.

Shepherd obejrzał się i zobaczył mój samochód. Puścił się biegiem. Zeskoczył z drogi w krzaki i po chwili ukazał się w wyschniętym łożysku rzeki. Stracił swój miękki meksykański kapelusz, lecz wciąż niósł na plecach pościel.

Wysiadłem z samochodu i pobiegłem za nim. Spod kaktusa zasyczał grzechotnik, odwracając moją uwagę. Gdy znów rozejrzałem się za Shepherdem, nigdzie go nie było.

Starając się czynić jak najmniej hałasu i pochylając nisko głowę, ruszyłem przez krzewy do drogi biegnącej równolegle do siatki granicznej. Według mapy nazywała się Monument Road. Gdyby Shepherd zamierzał przekroczyć granicę, najpierw musiałby przejść na jej drugą stronę. Usiadłem w przydrożnym rowie i zacząłem wypatrywać Shepherdą.

Czekałem blisko godzinę. Ptaki w zaroślach przyzwyczyły się do mnie, nawet owady się ze mną oswoiły. Słońce powolutku schodziło na niebie. Patrzyłem to w jedną, to w drugą stronę, jak widz obserwujący rozgrywany w ospałym tempie mecz tenisowy.

Shepherd, kiedy się wreszcie pojawił, bynajmniej nie był ospały. Wskoczył z zarośli jakieś dwieście jardów na zachód ode mnie, przemknął z podskakującą pościelą na drugą stronę drogi i zaczął się wspinać na wzgórze, do wysokiej drucianej siatki wytyczającej granicę.

Teren między szosą a siatką był oczyszczony. Przeciąłem Shepherdowi drogę i złapałem go, nim zdążył przeskoczyć na drugą stronę. Stał plecami do siatki i ciężko dysząc, wysapał:

— Zejdź mi z oczu albo poderżnę ci gardło!

W jego zaciśniętej pięści błysnęło ostrze noża. Na wzgórzu za siatką pojawiła się gromadka chłopców i dziewcząt, jakby nagle wyrosli spod ziemi.

— Rzuć nóż — powiedziałem ze znużeniem. — Zwracamy na siebie uwagę.

Wskazałem dzieci na wzgórzu. Część z nich też zaczęła wytykać mnie palcami. Inne machały rękami. Shepherd nie oparł się pokusie i obrócił nieco głowę.

Wykręciłem mu rękę i założyłem dźwignię, tak że musiał upuścić broń. Podniosłem nóż, złożyłem i cisnąłem za siatkę, do Meksyku. Jeden z chłopców zbiegł po niego ze stoku.

Wyżej na wzgórzu, tam gdzie zaczynały się domy, niewidoczny muzyk zaczął grać na trąbce melodię z korydy. Odniosłem wrażenie, że to Meksyk śmieje się ze mnie, ale nie było to niemiłe uczucie.

Shepherd niemal płakał.

— Nic wróć, nie dam się wsadzić za morderstwo, którego nie popełniłem. Powrót do mamra mnie zabije.

— Moim zdaniem to nie ty zabiłeś Jean Trask.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, które szybko znikło.

— Pan tylko tak gada.

— Nie. Spływajmy stąd, Randy. Chyba nie chcesz, żeby cię zgarnął patrol graniczny. Pojedziemy gdzieś, gdzie będziemy mogli pogadać.

— O czym?

— Jestem gotów ubić z tobą interes.

— A ja nie. Zawsze kiepsko wychodziłem na interesach.

Przemawiał przez niego cynizm drobnego złodziejaska.

Zacynałem tracić do niego cierpliwość.

— Rusz się, łachudro.

Chwyciłem go za ramię i sprowadziłem ze stoku na drogę. Z Meksyku doleciał nas poprzez dźwięk trąbki wysoki jak gwizd głos dziecka:

— *Adios.*

ROZDZIAŁ 19

Poszliśmy z Shepherdem na wschód, do skrzyżowania Monument Road z drogą biegnącą z północy na południe. Na widok mojego samochodu zaczął się opierać. Mógłbym go wywieźć szybko i daleko, z powrotem do więzienia.

— Randy, nie chodzi mi o ciebie, wbij to sobie wreszcie do głowy. Chcę tylko, żebyś mi udzielił informacji.

— Co ja z tego będę miał?

— A czego chcesz?

Odpowiedział szybko i z żarem, jak człowiek, którego okradziono z przysługujących mu praw:

— Choć raz w życiu chcę mieć równe szanse. I dostać tyle forsy, żebym miał z czego żyć. Jak człowiek ma nie łamać prawa, jeżeli mu nie starcza na życie?

Dobre pytanie.

— Gdybym nie został oszwabiony, byłbym bogaty — ciągnął. — Nie musiałbym żreć tortilli i chili.

— Mówimy o pieniądzach Eldona Swaina?

— To nie jest jego forsa. Należy do tego, kto ją znajdzie. Sprawa się przedawniła lata temu — dorzucił żargonem prawnika spod celi. — I każdy może położyć łapę na tym szmalu.

— Gdzie jest?

— Gdzieś tutaj. — Zamaszystym gestem objął suche łożysko rzeki i leżące za nią puste pola. — Badam tę okolicę od dwudziestu lat, znam ją jak własną kieszeń. — Mówił niczym poszukiwacz złota, który zjadł zęby na pustyni, szukając złotej żyły. — Potrzeba mi tylko szczęścia, żeby trafić na właściwe miejsce. Jestem prawnym spadkobiercą Eldona Swaina.

— A to jakim cudem?

— Ubiliśmy interes. Interesowała go moja krewna. — Zapewne miał na myśli córkę. — No więc dobiliśmy targu.

Sama myśl o tym podniosła go na duchu. Bez protestu wrzucił pościel na tylne siedzenie i wsiadł do samochodu.

— To gdzie jedziemy? — zapytał.

— Chwilowo możemy posiedzieć tutaj.

— A potem?

— Potem każdy z nas pójdzie w swoją stronę.

Zerknął szybko na moją twarz, jakby spodziewał się przyłapać mnie na kłamstwie.

— Bujasz pan.

— Poczekaj, to się przekonasz. Na początek ustalmy jedną rzecz. Po co pojechałeś dzisiaj do Jean Trask?

— Żeby jej zawieźć pomidory.

— A dlaczego włamałeś się do domu?

— Pomyślałem, że pewnie śpi. Kiedy sobie popije, ma naprawdę twardy sen. Człowieku, ja nie wiedziałem, że nie żyje. Chciałem z nią pogadać.

— O Sidneyu Harrowie?

— Między innymi. Wiedziałem, że gliny będą ją wypytywać. A że to ja jej przedstawiłem Sidneya, to nie chciałem, żeby panienka Jean podała glinom moje nazwisko.

— Bo podejrzewali cię o zabójstwo Swaina?

— Między innymi. Wiedziałem, że jeszcze wrócą do tej starej sprawy. Gdyby padło moje nazwisko i sprawdziliby moje powiązania ze Swainem, znowu wzięliby mnie na widelec. A ja, psiakrew, miałem z nim kontakty trzydzieści lat temu.

— I dlatego nie rozpoznałeś jego zwłok podczas identyfikacji?

— Ano.

— I pozwoliłeś Jean żyć złudzeniami, że jej ojciec nie umarł, i poszukiwać go dalej?

— Dzięki temu było jej lepiej — odrzekł. — Nigdy nie dowiedziała się, jak zginął.

— Kto go zastrzelił?

— Nie wiem, jak Boga kocham. Wiem tylko, że nie ja.

— Wspominałeś coś o porwaniu?

— Ano. Właśnie wtedy nasze drogi się rozeszły. Przyznaję, swego czasu byłem złodziejem, ale nigdy nie porywałem się na grube numery. Kiedy Swain zaczął planować to porwanie, wycofałem się. — Po czym dorzucił w zadumie: — Kiedy Swain wrócił w pięćdziesiątym czwartym z Meksyku, nie był już taki jak kiedyś. Po mojemu trochę mu tam odbiło.

— Czy to on porwał Nicka Chalmersa?

— Właśnie o nim wtedy gadał. Ja tam chłopaka nie widziałem na oczy. Kiedy to się stało, ja już dawno wyviałem. A w gazetach nie było o tym ani słowa. Pewnie rodzice wyciszyli sprawę.

— Po co facet mający pół miliona dolarów miałby się bawić w porywacza?

— A bo ja wiem? Swain ciągle się plątał w zeznaniach. Raz mówił, że ma te pół melona, a innym razem, że nie ma. Czasami mówił, że miał, ale zgubił. Raz powiedział, że okradł go facet ze straży granicznej. A już najbardziej zwariowana była ta bajeczka o Rawlinsonie. Rawlinson był prezesem banku, w którym pracował Eldon Swain, i niby to on doprowadził pieniądze, a potem wrobił w to Swaina.

— Czy mogło się tak zdarzyć?

— Nie bardzo to widzę. Rawlinson nie rujnowałby przecież własnego banku. A od tamtej pory klepie biedę. Wiem to na pewno, bo ktoś z mojej rodziny u niego pracuje.

— Twoja była żona.

— Nie obijasz się pan — rzekł z niejakim zdziwieniem. —
Rozmawiał pan z nią?

— Przez chwilę.

Nachylił się ku mnie, wyraźnie zainteresowany.

— Mówiła coś o mnie?

— Nie rozmawialiśmy o tobie.

Shepherd wydawał się rozczarowany, jakby go okradziono z wielkości.

— Widujemy się od czasu do czasu. Nie chowam urazy, chociaż się ze mną rozwiodła, kiedy siedziałem w kiciu. Nawet się ucieszyłem — dodał płacząco. — Pewnie żeś pan zauważył, że ona jest mieszanej krwi. Małżeństwo z nią było poniżej mojej godności.

— Mówiliśmy o pieniądzach — przypomniałem mu. — Jesteś prawie pewny, że Swain je ukradł i zatrzymał, tak?

— Ja to wiem. Miał je ze sobą u Conchity. Zamieszkał tam zaraz po tym, jak je zwinął.

— Widziałeś te pieniądze?

— Znam kogoś, kto je widział.

— Twoja córka?

— Nie. — I nieco wojowniczo dorzucił: — Nie mieszaj pan do tego mojej córki. Ona się prowadzi uczciwie.

— Gdzie?

— W Meksyku. Wyjechała z nim do Meksyku i już stamtąd nie wróciła. — Odpowiedź padła tak gładko, że zacząłem mieć wątpliwości, czy to aby prawda.

— Dlaczego Swain wrócił?

— Po mojemu zawsze tak planował. Nie raz, nie dwa mi mówił, że ukrył szmal gdzieś po tej stronie granicy. Obiecał mi działkę, jak wejdę z nim w spółkę, będę go woził i skombinuję sprzęt do poszukiwań. Jak mówiłem, po powrocie nie był w najlepszej formie. Ktoś musiał się nim zająć, to fakt.

— I ty się nim zająłeś?

— Ano. Byłem mu coś dłużny. Swego czasu ten Eldon Swain to był całkiem porządny gość. Jak się pierwszy raz

znalazłem na lodzie, na warunkowym, to mnie wziął na ogrodnika do swojego domu w San Marino. Chałupa była pierwsza klasa. Hodowałem mu róże wielkie jak dale. Przykro patrzeć, jak taki gość kończy naszpikowany ołowiem na stacji rządowej.

— Czy to ty przywiozłeś Swaina do Pacific Point w pięćdziesiątym czwartym?

— Do tego się przyznaję. Ale wtedy jeszcze nie gadał o porwaniu chłopaka. Na taki skok bym go nie zawiózł. Raz-dwa wyniosłem się z miasta. Nie chciałem brać w tym...

— A przypadkiem nie zastrzeliłeś go przed wyjazdem?

Spojrzał na mnie z oburzeniem.

— Panie, coś pan? Niewiele pan o mnie wiesz, drogi panie. Ja nie posuwam się do użycia siły. Moja specjalność to trzymanie się z dala od kłopotów i od mamra. Cały czas nad tym pracuję.

— Za co siedziałeś?

— Za kradzieże samochodów. Włamania. Ale nigdy nie nosiłem spluwy.

— Więc może kto inny zastrzelił Swaina, a ty tylko spaliłeś mu dłonie, żeby zniszczyć odciski palców?

— Dobre sobie! Po co miałbym to robić?

— Żeby nie mogli cię znaleźć przez niego. Powiedzmy, że zabrałeś Swainowi okup.

— Jaki okup? W życiu nie widziałem żadnego okupu. Kiedy on porwał chłopaka, ja już byłem tu, na granicy.

— Czy Eldon Swain molestował dzieci?

Shepherd wznosił oczy do nieba.

— Możliwe. Zawsze lubił młode, a im bardziej się starzał, tym młodsze go rajcowały. Przez seks zawsze dostawał w kość.

Wierzyłem mu, a zarazem nie wierzyłem. Człowiek, którego odbicie widziałem w jego oczach, był jak woda, którą stale mąciły strach, fantazje i chciwość. Starzał się, rozpaczliwie licząc na wielkie pieniądze, a teraz chciał wreszcie spełnić swoje nadzieje.

— Dokąd się teraz wybierasz, Randy? Do Meksyku?

Milczał przez chwilę, patrząc ponad równiną na słońce, które przesunęło się już wyraźnie na zachód. Odrzutowiec marynarki wojennej śmignął nad nami jak jaskółka, wlokąc za sobą łoskot jak pociąg towarowy. Shepherd odprowadził go takim wzrokiem, jakby samolot uosabiał jego ostatni, znikający łut szczęścia.

— Lepiej, żebyś pan nie wiedział, dokąd się wybieram. Jak będzie się trzeba skontaktować, to ja pana znajdę. Tylko nie próbuj mi pan wywinąć jakiegoś numeru. Skoro widziałeś mnie pan u panienki Jean, to jedziemy na tym samym wózku.

— Niezupelnie. Ale nie wydam cię policji, chyba że trafię na ważny powód.

— Nie trafisz pan. Jestem czysty jak łąza. A pan jesteś biały — dorzucił, obdarzając mnie wątpliwym zaszczytem. — To jak, dasz pan trochę grosza na drogę?

Dałem mu pięćdziesiąt dolarów, powiedziałem, jak się nazywam, a on się chyba ucieszył. Wsiadł z samochodu, zabrał swoją pościel i stał na poboczu, aż w końcu straciłem go z oczu w lusterku wstecznym.

Wróciłem do Domków Conchity i zastałem panią Williams, która wciąż sprzątała ten zwolniony przez Shepherdą. Kiedy stanąłem w progu, oderwała się od szczotki, mile zaskoczona.

— Nie spodziewałam się, że pan wróci — powiedziała. — Pewnie go pan nie znalazł, co?

— Znalazłem. Pogadaliśmy sobie.

— Randy kocha gadać.

Kluczyła, nie mając odwagi poprosić mnie o drugą ratę, którą jej obiecałem. Dałem jej pięćdziesiątkę. Wzięła ją delikatnie w dwa palce, jakby złapała rzadki okaz ćmy albo motyla, po czym wsunęła ją za stanik.

— Uprzejmie dziękuję. Przyda mi się trochę grosza. Pan pewnie też wie, jak to jest.

— Wiem. Czy zechce mi pani udzielić jeszcze trochę informacji?

Pani Williams uśmiechnęła się.

— Nie zdradzę, ile mam lat, ale poza tym powiem panu wszystko.

Przysiadła na gołym materacu; łóżko zaskrzypiało i zapadło się pod jej ciężarem. Ja zająłem jedyne w pokoju krzesło. Przez okno wpadł promień słońca, oświetlając wirujący w powietrzu kurz i kładąc między nami jasną plamę na pokrytej wytartym linoleum podłodze.

— Co pan chce wiedzieć?

— Jak długo Shepherd tu mieszkał?

— Od końca wojny, z przerwami. Przyjeżdżał i wyjeżdżał. Kiedy go głód przycisnął, czasami najmował się do zbioru owoców. Albo zarabiał parę dolarów za pielenie czyjogoś ogrodu. Kiedyś był ogrodnikiem.

— Mówił mi o tym. Pracował u pana Swaina w San Marino. Czy wspominał kiedyś przy pani o Eldonie Swainie?

Słyszając to pytanie, zmarkotniała. Spuściła wzrok na kolana i zaczęła skubać rąbek sukienki.

— Chce pan, żebym, jak to się mówi, wyłożyła kawę na ławę?

— Byłbym wdzięczny.

— Stawia mnie to w kiepskim świetle. W moim fachu kłopot polega na tym, że dla pieniędzy z czasem zaczyna się robić rzeczy, jakich młoda świeża dziewczyna nigdy by nie zrobiła. Dla pieniędzy ludzie są gotowi na wszystko.

— Wiem o tym. Do czego pani zmierza, Florence?

— Eldon Swain mieszkał tu z przyjaciółką — powiedziała szybko i monotonnie, jakby chciała pomniejszyć rozmiar i zakres swojej winy. — Była córką Randy'ego Shepherd. To dlatego Randy tu przyjechał.

— Kiedy to było?

— Chwileczkę... Jakoś tak zaraz przed tą historią z pieniędzmi, po której pan Swain wyjechał do Meksyku. Nie mam głowy do dat, ale to było gdzieś pod koniec wojny. — Zamyśliła się, po czym dodała: — Pamiętam, że toczyła się

wtedy walka o Okinawę. Śledziliśmy z Williamem, co tam się dzieje, bo wie pan, wielu naszych gości było z marynarki.

Wróciłem do tematu:

— Co się tu działo po przyjeździe Shepherd'a?

— Niewiele. Trochę na siebie krzyczeli. Słyszałam to i owo, inaczej się nie dało. Randy domagał się pieniędzy za użyczenie córki. Cały on.

— Jaka była ta córka?

— Piękne dziecko. — Oczy pani Williams zaszyły mgłą, z niemal matczynym uczuciem rajfurki. — Ciemnowłosa, delikatna. Trudno pojąć, że taka panna zadaje się z mężczyzną ponad dwa razy starszym od niej. — Przesunęła się na łóżku, a zmęczone sprężyny zaskrzypiały rytmicznie. — Nie mam wątpliwości, że chciała dostać swoją część tych pieniędzy.

— Mówiła pani, że to było przed kradzieżą.

— Pewnie, ale Swain już wtedy planował ten skok.

— A skąd pani o tym wie?

— Od policjantów. Po jego wyjeździe kręcili się tu przez cały tydzień. Mówili, że planował to co najmniej od roku. Moje domki wybrał jako ostatni przystanek przed skokiem do Meksyku.

— W jaki sposób przekroczył granicę?

— Tego nie ustalili. Może przeskoczył przez siatkę, a może przejechał normalnie, pod zmienionym nazwiskiem. Niektórzy policjanci uważali, że zostawił forszę po tej stronie. Pewnie dlatego Randy wpadł na pomysł poszukiwań.

— Co się stało z dziewczyną?

— Nikt nie wie.

— Nawet jej ojciec?

— Nawet on. Żadna dziewczyna nie chciałaby utrzymywać kontaktu z takim ojcem jak Randy Shepherd, no chyba żeby musiała. Zresztą żona Randy'ego traktowała go tak samo. Rozwiodła się z nim, kiedy siedział ostatni raz, a gdy wyszedł, przejechał tutaj. I od tej pory stale tu mieszkał, z przerwami.

Przez pewien czas milczeliśmy. Prostokąt światła na lino-
leum wydłużył się wyraźnie, odmierzając upływ czasu i ruch
Ziemi. W końcu kobieta spytała:

— Jak pan myśli, czy Randy tu wróci?

— Nie wiem, proszę pani.

— Trochę na to liczę. Wiele przemawia przeciwko niemu.
Ale z biegiem lat kobieta przyzwyczaja się do tego, że ma pod
ręką mężczyznę. Nieważne jakiego.

— A poza tym był pani przedostatnim lokatorem — rzu-
ciłem.

— Skąd pan wie?

— Sama mi pani powiedziała.

— Faktycznie. Sprzedałabym cały ten interes, gdybym
tylko miała nabywcę.

Wstałem i ruszyłem do drzwi.

— A kim jest pani ostatni lokator?

— Nie sędzę, żeby go pan znał.

— Kto wie?

— To młody człowiek, nazywa się Sidney Harrow. Ale
jego też nie widziałam od tygodnia. Szuka wiatru w polu, jak
Randy Shepherd.

Wyjąłem zdjęcie dyplomowe Nicka.

— Nie wie pani przypadkiem, czy Shepherd dał tę foto-
grafię Harrowowi?

— Może i dał. Pamiętani, że mnie ją pokazywał. Chciał
wiedzieć, czy ktoś mi przypomina.

— I przypomniała sobie pani?

— E tam. Nie mam pamięci do twarzy.

ROZDZIAŁ 20

Wróciłem do San Diego i pojechałem na Bayview Avenue, do domu George'a Traska. Właśnie zaszło słońce i wszystko było czerwonawe, jak gdyby rozlana w tej kuchni krew zmieszała się ze światłem.

Na podjeździe stał samochód, który gdzieś już widziałem, ale nie pamiętałem gdzie — czarny volkswagen z wgniecionym zderzakiem. Przy krawężniku parkował radiowóz policji z San Diego. Nie zatrzymałem się, tylko zawróciłem i pojechałem do szpitala.

Kobieta w informacji powiedziała mi, że Nick leży w sali 211 na pierwszym piętrze.

— Ale odwiedzać go może wyłącznie najbliższa rodzina.

Mimo to wszedłem na górę. W holu dla gości na wprost windy pani Smitheram, żona psychiatry, przeglądała jakieś czasopismo. Na oparciu krzesła wisiało odwrócone na lewą stronę futro. Nie wiedzieć czemu ucieczyłem się na jej widok. Przeszedłem przez salkę i usiadłem obok niej.

Wcale nie czytała, jedynie trzymała czasopismo w ręku. Patrzyła na mnie niewidzącym wzrokiem. Niebieskie oczy zwrócone były do wewnątrz, w głąb myśli, co przydawało jej twarzy pełnej powagi urody. Obserwowałem zmiany, które

zachodziły w jej oczach, w miarę jak zdawała sobie sprawę z mojej obecności. W końcu mnie poznała.

— Pan Archer!

— Ja także nie spodziewałem się pani tu spotkać.

— Wybrałam się na przejażdżkę — wyjaśniła. — Podczas wojny przez kilka lat mieszkałam w okręgu San Diego. Od tamtej pory tu nie zaglądałam.

— To kawał czasu.

Skłoniła głowę.

— Właśnie myślałam o tym, jakie zmiany zachodzą z biegiem lat. Ale pana nie interesuje moja autobiografia.

— Wręcz przeciwnie. Czy mieszkając tutaj, była pani zamężna?

— W pewnym sensie. Mąż prawie cały czas spędził na morzu. Był chirurgiem na lotniskowcu. — W jej głosie pobrzmiewała nutka smutnej dumy, która należała wyłącznie do przeszłości.

— Nie wygląda pani na swoje lata.

— Młodo wyszłam za mąż. Za młodo.

Podobała mi się ta kobieta, a poza tym miło było pogadać wreszcie o czymś niezwiązanym ze sprawą. Ona jednak wróciła do tego tematu:

— Ostatnie wiadomości o Nicku są takie, że z tego wyjdzie. Pytanie tylko w jakim stanie.

— A co o tym sądzi pani mąż?

— Jeszcze za wcześnie, żeby Ralph powiedział coś wiążącego. Teraz właśnie konsultuje się z neurologiem i specjalistą od chirurgii mózgu.

— Po zatruciu środkami nasennymi chirurgia mózgu chyba nie jest konieczna?

— Niestety, Nick cierpi nie tylko na to. Ma wstrząśnienie mózgu. Widocznie przewrócił się i uderzył w tył głowy.

— Albo został uderzony?

— Nie można tego wykluczyć. A swoją drogą, w jaki sposób trafił do San Diego?

— Nie wiem.
— Mąż mówił, że to pan go przywiózł do szpitala.
— To prawda. Do szpitala, ale nie do San Diego.
— Gdzie go pan znalazł?
Nie odpowiedziałem.
— Nie chce mi pan powiedzieć?
— Właśnie — rzekłem i niezbyt zgrabnie zmieniłem temat: — Czy są tu rodzice Nicka?
— Matka siedzi u niego, a ojciec jest w drodze. Ani pan, ani ja nic nie możemy zrobić.
Wstałem.
— Moglibyśmy zjeść kolację.
— Gdzie?
— W szpitalnym bufecie, jeśli to pani odpowiada. Jedzenie ujdzie.
Skrzywiła się.
— Za często jadałam w szpitalnych bufetach.
— Myślałem, że nie chce pani zabnąć za daleko. — Oboje mieliśmy świadomość dwuznaczności tego zdania.
— Czemu nie? — odparła. — Ralph będzie zajęty przez wiele godzin. Może wyskoczmy do La Jolla?
— To tam mieszkała pani podczas wojny?
— Bardzo trafny domysł.
Pomogłem jej włożyć futro. Były to srebrnoniebieskie norki, w odcieniu pasma siwizny w jej włosach.
— Mam jeden warunek — odezwała się w windzie. — Nie będzie mnie pan pytał o Nicka ani o jego sprawy rodzinne. Podobnie jak pan, na pewne pytania nie mogę odpowiedzieć, więc po co psuć sobie wieczór?
— Ja na pewno niczego nie zepsuję, proszę pani.
— Mam na imię Moira.
Podczas kolacji powiedziała mi, że urodziła się w Chicago i ukończyła kurs dla pracowników socjalnych na wydziale psychiatrii szpitala stanowego w Michigan. Poznała tam i poślubiła Ralpa Smitherama, który kończył właśnie staż na

psychiatrii. Kiedy wstąpił do marynarki i dostał przydział do szpitala marynarki wojennej w San Diego, przyjechała z nim do Kalifornii.

— Mieszkaliśmy w starym hoteliku, tutaj, w La Jolla. Był dosyć szemrany, ale go uwielbiałam. Po kolacji chciałam tam pójść i zobaczyć, czy jeszcze stoi.

— Nie ma sprawy.

— Wracając tutaj, sporo ryzykuję. Widzi pan, trudno sobie wyobrazić, jak tu było pięknie. Po raz pierwszy zobaczyłam ocean. Kiedy z samego rana poszliśmy nad zatokę, czułam się jak Ewa w raju. Wszystko było takie świeże, nowe i wolne. W przeciwieństwie do tego tutaj.

Machnęła ręką, spisując na straty teraźniejszość — przy ciężki pseudohawajski wystrój, czarne kelnerki w mundurkach, muzykę z taśmy, a na dodatek chateaubrianda na dwie osoby, za piętnaście dolarów.

— Ta część miasta się zmieniła — przyznałem.

— Pamięta pan La Jolla z lat czterdziestych?

— A nawet z trzydziestych. Mieszkałem wtedy w Long Beach. Przyjeżdżaliśmy tu i do San Onofre, żeby pływać na desce.

— Liczba mnoga oznacza pana i pańską żonę?

— Mnie i moich kumpli — wyjaśniłem. — Żony nie interesowało pływanie na desce.

— Czas przeszły?

— Zamierzchły. Rozwiodła się ze mną jeszcze w owych latach czterdziestych. Nie mam jej tego za złe. Pragnęła życiowej stabilizacji i męża, który stale byłby w domu.

Moira przyjęła tę relację z zamierzchłych czasów bez słowa. Po chwili odezwała się, ni to do mnie, ni do siebie:

— Żałuję, że też się wtedy nie rozwiodłam. — Spojrzała mi prosto w oczy. — A pan czego chciał, Archer'?

— Tego.

— To znaczy być tu teraz ze mną? — Pomyślałem, że domaga się komplementu, i dopiero po chwili uświadomiłem

sobie, że po prostu się ze mną droczy. — Nie warto marnować na mnie wysiłku całego życia.

— Życie jest nagrodą samą w sobie — odparowałem. — Lubię wnikać w życie innych ludzi, a potem się z niego wycofać. Życie stale z tymi samymi ludźmi, w tym samym miejscu, okropnie mnie nudziło.

— Nie taka motywacja panu przyświeca. Znam takich jak pan. W głębi duszy pragnie pan sprawiedliwości. Dlaczego nie chce się pan do tego przyznać?

— W głębi duszy pragnę miłosierdzia — odparłem. — Ale ludzi wciąż spotyka sprawiedliwość.

Nachyliła się ku mnie z właściwą kobietom złośliwością, w której przejawia się pożądanie.

— Wie pan, co pana czeka? Zestarzeje się pan i wypali. Czy to ma być sprawiedliwość?

— Prędzej umrę. I to będzie miłosierdzie.

— Wie pan, że jest pan strasznie niedojrzały?

— Strasznie.

— Nie złoścę pana tym, co mówię?

— Mnie złości prawdziwa wrogość. A pani nie jest wrogo nastawiona. Wręcz przeciwnie. Jako typowa pielęgniarka radzi mi pani, żebym ożenił się powtórnie, zanim się całkiem zestarzeję, bo inaczej nie będzie miał kto się mną zaopiekować na starość.

— Też coś! — rzuciła ze złością, która szybko przeszła w śmiech.

Po kolacji zostawiliśmy samochód na parkingu przy restauracji i poszliśmy główną ulicą nad wodę. Morze było wzburzone, słyszałem ryk fal, które uderzały o brzeg i cofały się jak słoń morski, przerażony własnym głosem.

Na szczycie ostatniego zbocza skręciliśmy w prawo i mijając nowiutki wielopiętrowy biurowiec, doszliśmy do motelu na następnym rogu. Moira zatrzymała się i obejrzała go dokładnie.

— Myślałam, że to na tym rogu, ale nie. Zupełnie nie pamiętam tego motelu. — Nagle uświadomiła sobie, co się

stało. — Nie, to tutaj, prawda? Stary hotel zburzyli, a na jego miejscu postawili ten motel. — W jej słowach było tyle uczucia, jakby wraz ze starym budynkiem zburzono część jej przeszłości.

— Czy ten hotel nie nazywał się przypadkiem Magnolia?

— Właśnie, Magnolia. Mieszkał pan w nim kiedyś?

— Nie — odparłem. — Ale dla pani chyba wiele znaczył.

— Znaczył i wciąż znaczy. Mieszkałam w nim przez dwa lata po tym, jak Ralph wypłynął w morze. Teraz wydaje mi się, że to był najprawdziwszy okres w moim życiu. Nigdy nikomu o tym nie mówiłam.

— Nawet mężowi?

— Ralphowi? W żadnym wypadku — odparła ostrym tonem. — Kiedy próbujesz mu coś powiedzieć, on tego nie słyszy. Słyszy przyczynę, dla której mówisz, albo raczej to, co sam uważa za przyczynę. Docierają do niego niektóre implikacje. Ale zupełnie umyka mu treść wypowiedzi. To skrzywienie zawodowe psychiatrów.

— Jest pani zła na męża.

— A teraz pan robi to samo! — rzuciła, lecz mówiła dalej: — Jestem na niego zła, jeszcze jak, a poza tym na siebie. Narasta to we mnie już od dawna.

Ruszyła i pociągnęła mnie za sobą przez oświetlony róg, a potem w dół zbocza, ku morzu. Wokół rzadko rozrzuconych latarni błyszczała migotliwa wodna mgiełka. Zielony trawnik i ścieżka nad morzem były w zasadzie wyludnione. Kiedy weszliśmy na ścieżkę, Moira znowu zaczęła mówić:

— Najpierw byłam na siebie zła o to, co robię. Kiedy to się zaczęło, miałam zaledwie dziewiętnaście lat i jak to nastolatka, żyłam w poczuciu winy. Potem byłam na siebie zła, że nie poszłam na całość.

— Wyraża się pani nie całkiem jasno.

Postawiła kołnierz futra, chroniąc się przed bryzgami fal, i spojrzała na mnie ponad nim jak gotowa na wszystko kobieta w masce na twarzy.

- Bo nie zamierzam.
- A ja myślę, że jest odwrotnie.
- Co by mi to dało? Wszystko minęło... minęło i już nie wróci.

W jej głosie pobrzmiwał smutek. Odeszła szybko ode mnie, a ja ruszyłem za nią. Była rozchwiana — kobieta w średnim wieku, która desperacko poszukuje ciągłości w swoim życiu. Na wąskiej i ciemnej ścieżce łatwo można było przypadkiem, bądź celowo, spaść na wystające z morskiej kipieli skały.

Zrównałem się z nią w zatoczce — fizycznym centrum przeszłości, o której mi opowiadała. Załamujące się białe fale zalewały pochyłą plażę. Moira zdjęła buty i sprowadziła mnie po schodkach. Staaliśmy na skraju przypiływu.

— Chodź i weź mnie — powiedziała do morza, do mnie albo jeszcze do kogoś innego.

— Kochała pani mężczyznę, który zginął na wojnie?

— On nie był mężczyzną. Był jeszcze chłopcem, pracował na poczcie.

— Czy to z nim przyszła tu pani wtedy, kiedy poczuła się pani jak Ewa w raju?

— Tak, z nim. Wciąż mam wyrzuty sumienia z tego powodu. Mieszkałam tu na plaży z innym chłopakiem, podczas gdy Ralph na morzu bronił ojczyzny. — Gdy tylko zaczynała mówić o mężu, w jej głos wkradała się sardoniczna nuta. — Ralph sumiennie pisywał do mnie długie listy, ale to nic nie zmieniało. Właściwie chciałam mu trochę podciąć skrzydła, bo był tak nieznośnie pewny siebie i wszystkowiedzący. Uważa pan, że jestem trochę stuknięta?

— Nie.

— Sonny był stuknięty. I to zdrowo.

— Sonny?

— Chłopak, z którym mieszkałam w Magnolii. Prawdę mówiąc, był jednym z pacjentów Ralph'a i właśnie w ten sposób go poznałam. Ralph zaproponował, żebym miała na niego oko. Ironia losu, co?

— Niech pani przestanie, Moiro. Mam wrażenie, że szuka pani kłopotów.

— Jedni ich szukają, na innych spadają — odparła. — Gdybym mogła wrócić do tamtych czasów i zmienić to i owo...

— Co by pani zmieniła?

— Właściwie nie jestem pewna. — Zabrzmiało to nieco ponuro. — Skończmy już ten temat.

Odeszła ode mnie. Jej bose stopy zostawiały w piasku wycięte jak talia osy ślady. Podziwiałem wdzięk ruchów i grację, z jaką się oddalała, ale wróciła do mnie niezdarnie. Szła tyłem, bezskutecznie próbując stąpać po swoich śladach.

Wpadła na mnie. Odwróciła się i przytuliła okrytą futrem pierś do mojego ramienia. Objąłem ją i przycisnąłem. Po jej twarzy płynęły łzy, a może woda morska. Tak czy inaczej, miała słony smak.

ROZDZIAŁ 21

Gdy wracaliśmy do samochodu, główna ulica była cicha i jasna. Wszystkie gwiazdy były tam, gdzie powinny, całkiem blisko. Kiedy wchodziłem do restauracji, by zadzwonić do George'a Traska, zorientowałem się, że nie widziałem dotąd innych ludzi.

Odebrał natychmiast.

— Mieszkanie Trasków — rzucił zażawionym, zachrypniętym głosem.

Powiedziałem, że jestem detektywem i że chciałbym pomówić z nim o jego żonie.

— Moja żona nie żyje.

— Współczuję. Czy mogę wpaść do pana i zadać kilka pytań?

— Czemu nie? — Miał głos człowieka, który nie wie, co robić z czasem.

Moira czekała na mnie w samochodzie jak srebrnoniebieska kotka w jaskini.

— Podrzucić cię do szpitala? Mam coś do załatwienia.

— Weź mnie ze sobą.

— To dosyć nieprzyjemna sprawa.

— Nie przeszkadza mi to.

— Przeszkadzałoby ci, gdybyś rozbiła swoje małżeństwo

i w końcu wylądowała ze mną. Wiele nocy spędzam na załatwianiu takich rzeczy.
Przycisnęła dłonią moje kolano.

— Wiem, że można mnie zranić. I że sama się o to postarałam. Ale mam powyżej uszu robienia tylko zawodowych rzeczy, dlatego że tak nakazuje rozważa.

Wziąłem ją na Bayview Avenue. Radiowóz już odjechał, ale czarny volkswagen z wgniecionym zderzakiem wciąż stał na podjeździe George'a Traska. Przypomniałem sobie teraz, gdzie go już wcześniej widziałem — pod zniszczoną wiatą pani Swain w Pasadenie.

George Trask wpuścił nas, gdy zastukałem do drzwi. Był wysoki, niezdarny, starannie ubrany w ciemny garnitur i czarny krawat. Sprawiał wrażenie człowieka, który niczym właściciel zakładu pogrzebowego oddaje się do dyspozycji w danej sytuacji. O jego bólu świadczyły tylko zaczerwienione oczy oraz fakt, że mnie nie pamiętał.

— Przedstawiam panią Smitheram, panie Trask. Jest psychiatrą i pracownikiem społecznym.

— To miło, że pani przyjechała — zwrócił się do niej. — Ale ja nie potrzebuję tego rodzaju pomocy. Panuję nad wszystkim. Wejdźcie, usiądziemy w salonie. Poczestowałbym was kawą, ale nie wolno mi wchodzić do kuchni. A zresztą — ciągnął, jakby jego głos dobywał się z jakiegoś miejsca, nad którym nie ma kontroli — dziś rano maszynka do kawy i tak się stłukła, kiedy zabito moją żonę.

— Współczuję — powiedziała Moira.

Poszliśmy za George'em Traskiem do salonu i usiedliśmy obok siebie, naprzeciwko niego. Przez lekko rozsunięte zasłony widziałem migoczące na wodzie światła miasta. Piękno tej scenerii i siedzącej obok mnie kobiety tym bardziej uświadomiło mi ból George'a Traska, który cierpiał samotnie, jak pustelnik odcięty od świata.

— Moja firma jest bardzo wyrozumiała — powiedział takim tonem, jakbyśmy przyszli na pogawędkę. — Dostałem

płatny urlop, na czas nieokreślony. Dzięki temu będę mógł uporządkować wszystkie swoje sprawy, no nie?

— Wie pan, kto zabił pańską żonę?

— Mają obiecującego podejrzanego... człowieka, który znał Jean od zawsze i ma kryminalną przeszłość długą jak pańska ręka. Policja prosiła, żebym nie podawał jego nazwiska.

Najwyraźniej chodziło o Randy'ego Shepherd'a.

— Złapali go?

— Liczą, że złapią go jeszcze dziś w nocy. Mam nadzieję, że im się uda i że trafi do komory gazowej. I państwo, i ja dobrze wiemy, dlaczego przestępstwa, w tym morderstwa, tak się szerzą. Sądy nie skazują przestępców, a jeśli już to robią, nie ferują wyroków śmierci. A nawet jeśli tak, jest to po prostu kpina z prawa. Skazani mordercy wychodzą na wolność, nikt już nie trafia do gazu, więc co się dziwić, że obserwujemy upadek prawa i porządku. — Szeroko wytrzeszczył oczy, jakby miał przed sobą wizję totalnego chaosu.

Moira wstała i położyła mu rękę na głowie.

— Niech pan tyle nie mówi, proszę pana. Tylko się pan bardziej denerwuje.

— Wiem. Gadam tak przez cały dzień.

Zakrył wielkimi dłońmi poczerwieniałą twarz. Przez palce widziałem błyszczące jak monety oczy. Mówił jednak nadal, nie tłumiąc głosu, który dobywał się jakby niezależnie od jego woli:

— Ten skończony łajdak powinien pójść do gazu, bo nawet jeżeli sam nie zabił Jean, to i tak jest bezpośrednio winny jej śmierci. Przez niego wpadła w najnowszą manię szukania ojca. Przyszedł tu w zeszłym tygodniu, zaczął bajdurzyć o swoich planach, powiedział, że wie, gdzie jest jej ojciec, i że wkrótce znów mogłaby być razem z nim. No i tak się stało — dorzucił załamany. — Jej ojciec leży w grobie, a Jean do niego dołączyła.

Rozplakał się. Moira uspokajała go nie tyle słowami, ile cichym pomrukiem.

Po chwili zauważyłem, że w progu salonu stoi Louise Swain; wyglądała jak wyniszczony duch swojej córki. Wstałem i podszedłem do niej.

— Jak się pani czuje? — spytałem.

— Nieszczęśliwie. — Przeciągnęła dłonią po czole. — Biedna Jean, nigdy jakoś nie potrafiłyśmy się dogadać, była córeczką tatusia, ale dbałyśmy o siebie nawzajem. A teraz już nie mam nikogo. — Powoli pokiwała głową. — Szkoda, że Jean mnie nie posłuchała. Wiedziałam, że znowu skacze na głęboką wodę, i próbowałam ją powstrzymać.

— O jakiej głębokiej wodzie pani mówi?

— Rozmaitej. To zagłębianie się w przeszłość i wyobrażanie sobie, że ojciec nadal żyje, tylko jej szkodziło. I było niebezpieczne. Eldon był przestępcą i zadawał się z przestępcami. Któryś z nich ją zabił, bo odkryła za dużo.

— Jest pani tego pewna?

— Czuję to przez skórę. Proszę pamiętać, że chodzi o setki tysięcy dolarów. Dla takich pieniędzy każdy gotów jest zabić. — Zmrużyła oczy, jakby raziło ją ostre światło. — Człowiek mógłby zabić nawet własną córkę.

Wyprowadziłem ją do holu, żeby nie słyszać nas było z salonu.

— Czy pani zdaniem mąż nadal żyje?

— Niewykluczone. Jean tak uważała, a nic się nie dzieje bez powodu. Słyszałam, że dzięki chirurgii plastycznej ludzie potrafią zmienić twarz tak, że są nie do rozpoznania. — Jej zmrużone oczy spoczęły na mojej twarzy, jakby szukała śladów blizn chirurgicznych, zdradzających, że Eldon Swain to ja.

A ja myślałem, że inni mężczyźni zniknęli, zostawiając po sobie podobne do nich trupy.

— Jakieś piętnaście lat temu, kiedy pani mąż wrócił z Meksyku, w Pacific Point zastrzelono pewnego mężczyznę — zwróciłem się do Louise Swain. — Zidentyfikowano go jako pani męża. Tyle że identyfikacja była siłą rzeczy pobeż-

na, bo opierała się na bardzo kiepskiej jakości zdjęciach. Między innymi na tym, które dała mi pani wczoraj wieczorem. Spojrzała na mnie, oszołomiona.

— To było zaledwie wczoraj wieczorem?

— Tak. Wiem, co pani czuje. Wspomniała pani wtedy, że córka zabrała najlepsze zdjęcia rodzinne. Mówiła pani też o filmach. Mogłyby przydać się w śledztwie.

— Rozumiem.

— Ma je pani tutaj?

— Przynajmniej niektóre. Dopiero co je przeglądałam. — Rozsunęła palce. — Właśnie dlatego mam takie zakurzone dłonie.

— Czy mógłbym rzucić okiem na te zdjęcia, proszę pani?

— Zależy.

— Od czego?

— Od kwoty. Dlaczego miałabym dawać coś panu za darmo?

— To może być dowód w sprawie zabójstwa pani córki.

— Mam to gdzieś! — krzyknęła. — Te zdjęcia to wszystko, co mi zostało... wszystko, czym mogę pochwalić się w życiu. Kto chce je dostać, musi zapłacić, tak jak ja musiałam płacić za wszystko. Niech pan to przekaże panu Truttwellowi.

— Dlaczego akurat jemu?

— Pracuje pan dla Truttwella, prawda? Popytałam o niego ojca, który powiedział, że stać go na to, żeby mi zapłacić!

— Ile pani żąda?

— Niech sam coś zaproponuje — powiedziała. — Nawiasem mówiąc, znalazłam tę złotą szkatułkę, o którą pan pytał... florencką szkatułkę mojej matki.

— Gdzie była?

— Nie pańska sprawa. Grunt, że ją mam i też jest na sprzedaż.

— Naprawdę należała do pani matki?

— Z całą pewnością. Odkryłam, co się z nią stało po jej śmierci. Ojciec dał ją innej kobiecie. Kiedy spytałam go

wczoraj wieczorem, nie chciał się przyznać, ale wydusiłam to z niego.

— Czy tą kobietą była Estelle Chalmers?

— A więc pan wie o ich romansie, co? Pewnie wszyscy o tym wiedzą. Jak on śmiał dać jej szkatułkę na biżuterię mojej matki! To Jean miała ją odziedziczyć, wie pan.

— Dlaczego ta szkatułka jest taka ważna, proszę pani?

Zastanawiała się przez chwilę.

— Myślę, że symbolizuje wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na moją rodzinę. Nasze życie legło w gruzach. Pieniądze, meble, a nawet nasze dzieła sztuki trafiły do obcych. — Znowu się zamyśliła, po czym dodała: — Pamiętam, że kiedy Jean była mała, matka pozwalała jej bawić się tą szkatułką. Opowiedziała jej historię o puszcze Pandory... zna ją pan?... a Jean i jej przyjaciółki udawały, że to właśnie ta puszcza. Podnosząc wieczko, uwalniało się wszystkie nieszczęścia świata. — Zamilkła, wystraszona tą wizją.

— Czy mogę obejrzeć tę szkatułkę i zdjęcia?

— Nie, nie może pan! To moja ostatnia szansa na zebranie skromnego kapitału. Bez pieniędzy człowiek jest nikiem, nie żyje. Nie dam się panu wykiwać i pozbawić ostatniej szansy.

Na pozór była zła, przypuszczałem jednak, że przepełnia ją smutek. Stanęła na przegniłej desce, ta się złamała i Louise Swain — jak sądziła — zapadła się i została uwięziona w ubóstwie. Marzenie, którego tak broniła, nie było marzeniem o przyszłości, raczej tęsknotą za dawnymi czasami, gdy mieszkała w San Marino z dobrze sytuowanym mężem i basenem długości czterdziestu stóp.

Obiecałem, że przedyskutuję sprawę z Truttwellem, i poradziłem jej, żeby dobrze pilnowała szkatułki i zdjęć. Potem oboje z Moirą pożegnaliśmy się z George'em Traskiem i wyszliśmy do samochodu.

— Biedni ludzie.

— Bardzo mi pomogłaś.

— Oby tak było. — Moira zamilkła. — Wiem, że pewnych pytań nie należy zadawać. Ale i tak cię o coś spytam. Nie musisz odpowiadać.

— Wal.

— Czy Nick był w tej okolicy, kiedy go dzisiaj znalazłeś?

Wahałem się przez krótką chwilę. Moira była żoną innego mężczyzny i pracowała w zawodzie, w którym obowiązywały inne reguły niż w moim. Zaprzeczyłem kategorycznie.

— A dlaczego pytasz?

— Pan Trask powiedział mi, że jego żona miała romans z Nickiem. Nie znał jego imienia, ale dokładnie mi go opisał. Zdaje się, że zobaczył ich razem w Pacific Point.

— Spędzili ze sobą trochę czasu — przyznałem krótko.

— Byli kochankami?

— Nie mam powodu, żeby tak uważać. Trójkąt między Traskami i Nickiem jest bardzo mało prawdopodobny.

— Znam jeszcze dziwniejsze — odparła.

— Czyżbyś mi chciała powiedzieć, że to Nick zabił tę kobietę?

— Nie, wcale nie. Nie mówiłabym o tym, gdybym tak sądziła. Nick od piętnastu lat jest naszym pacjentem.

— Od pięćdziesiątego czwartego roku?

— Tak.

— A właściwie co się wtedy stało?

— Nick zachorował — odparła bezbarwnym tonem. — Nie mogę zagłębiać się w szczegóły jego choroby. I tak już powiedziałam za dużo.

W ten sposób wróciliśmy do punktu wyjścia, choć nie całkiem. Jadąc z powrotem do szpitala, czułem, jak Moira przytula się do mnie nieśmiało, delikatnie.

ROZDZIAŁ 22

Moira rozstała się ze mną przed wejściem do szpitala, żeby — jak powiedziała — poprawić makijaż. Wjechałem windą na piętro i w sali dla gości zastałem rodziców Nicka. Chalmers chrapał w fotelu, z odrzuconą do tyłu głową. Żona siedziała obok niego, elegancko ubrana na czarno.

— Pani Chalmers?

Wstała, przykładając palec do ust, i ruszyła do drzwi.

— Larry po raz pierwszy może odpocząć. — Wyszła za mną na korytarz. — Oboje jesteśmy panu bardzo wdzięczni za odnalezienie Nicka.

— Mam nadzieję, że nie było za późno.

— Nie. — Zdobyła się na nikły uśmiech. — Doktor Smitheram i inni lekarze są dobrej myśli. Zdaje się, że Nick zwrócił treść żołąd... — zacięła się. — Zwymiotował część pigułek, zanim zaczęły działać.

— A co ze wstrząśnieniem mózgu?

— To chyba nic poważnego. Nie wie pan przypadkiem, jak do tego doszło?

— Albo się przewrócił, albo ktoś go uderzył — odparłem.

— Kto?

— Nie wiem.

— Gdzie pan go znalazł?

— Tutaj, w San Diego.

— A dokładniej?

— Wolałbym przekazać szczegóły przez pana Truttwella.

— Ale go tu nie ma. Nie chciał przyjechać. Powiedział, że musi się zająć innymi klientami. — Jej uczucia wzbie-
rały, aż w końcu wybuchła gniewem: — Jeżeli sobie wy-
obraża, że tak łatwo się nas pozbędzie, to gorzko tego
pożałuje.

— Jestem pewien, że nie o to mu chodziło. — Zmieniłem
temat. — Skoro nie ma Truttwella, powinienem chyba pani
powiedzieć, że rozmawiałem z niejaką panią Swain. To matka
Jean Trask. Ma zdjęcia rodzinne, które bardzo bym chciał
obejrzeć. Ale ona każe sobie za nie zapłacić.

— Dużo?

— Sporo. Być może udałoby mi się je zdobyć za jakiś
tysiąc dolarów.

— Przecież to śmieszne! Czy ta kobieta oszalała?

Nie naciskałem. Pielęgniarki krążyły po korytarzu w te
i we wte. Znały już panią Chalmers, więc uśmiechały się do
niej, kiwały głowami i zaglądały pytająco w jej pałające
czarne oczy. Oddychając głęboko, wzięła się w garść.

— Domagam się, żeby mi pan powiedział, gdzie znalazł
Nicka. Jeżeli ktoś go napadł...

— Na pani miejscu to akurat bym sobie darował, proszę
pani — wpadłem jej w słowo.

— O co panu chodzi?

— Przejdźmy się.

Skręciliśmy za róg i wolno ruszyliśmy korytarzem, mijając
zamknięte na noc gabinety. Opowiedziałem szczegółowo, jak
znalazłem jej syna w garażu przylegającym do kuchni, w której
zamordowano Jean Trask. Oparła się o białą ścianę i prze-
chyliła głowę na bok, jakbym mocno uderzył ją w twarz.
Pozbawiony barw, skrócony cień jej postaci wyglądał jak
rzucany przez zgarbioną staruszkę.

— Pan uważa, że on ją zabił, prawda?

— Są inne możliwości. Ale z oczywistych powodów niczego nie zgłosiłem policji.

— Czyli że tylko mnie pan powiedział?

— Tak.

Wyprostowała się i odepchnęła rękami od ściany.

— I niech tak zostanie. Proszę nie mówić Johnowi Truttwellowi, jest uprzedzony do Nicka przez tę swoją córeczkę. Mojemu mężowi też ani słowa. Ma tak zszargane nerwy, że czegoś takiego by nie zniósł.

— Ale pani to znosi?

— A czy mam wybór? — Przez chwilę milczała, zbierając myśli. — Powiedział pan, że są inne możliwości.

— Na przykład taka, że pani syna ktoś wrabia. Powiedzmy, że morderca znalazł go nafaszerowanego proszkami i zawiókł do garażu Trasków w charakterze kozła ofiarnego. Policjantów trudno byłoby przekonać do takiej wersji.

— Czy musimy ich do tego mieszać?

— Oni już są wmieszani. Pytanie tylko, jak wiele będziemy musieli im wyjawić. W tej sprawie musimy zasięgnąć porady prawnika. Ja, niestety, nadstawiam karku.

Stan mojego karku nieszczególnie ją interesował.

— A pozostałe możliwości?

— Przychodzi mi do głowy jeszcze jedna. Przejdę do tego za chwilę. — Wyjąłem portfel, a z niego pożegnalny list samobójcy, który wypadł z kieszeni Nicka. — Czy to charakter pisma pani syna?

Podniosła kartkę do światła.

— Tak, jego. To dowodzi, że jest winny, prawda?

Zabrałem jej kartkę.

— To dowodzi tylko tego, że on sam poczuwa się do winy. Może natknął się na zwłoki pani Trask i zareagował tak, jakby to się stało przez niego. To ta druga możliwość, która mi przyszła do głowy. Nie jestem psychiatrą, dlatego chciałbym za pani zgodą przedyskutować to z doktorem Smitheramem.

— Nie! Jemu też ani słowa.
— Nie ufa mu pani?
— I tak już za dużo wie o moim synu. — Nachyliła się ku mnie z ożywieniem. — Nie wie pan, że nie wolno ufać nikomu?
— Nie — odparłem. — Nie wiem. Miałem nadzieję, że dotarliśmy do punktu, w którym ludzie odpowiedzialni za Nicka będą skłonni ze sobą szczerze pomówić. Trzymanie wszystkiego w tajemnicy coś nie bardzo się sprawdziło.
Spojrzała na mnie, zaskoczona i czujna zarazem.
— Lubi pan Nicka?
— Nie miałem okazji go polubić ani nawet poznać. Ale czuję się za niego odpowiedzialny. Mam nadzieję, że pani też.
— Bardzo go kocham.
— Kto wie, czy nie za bardzo. Moim zdaniem oboje państwo wyrządziliście mu krzywdę swoją nadopiekuńczością. Jeżeli naprawdę kogoś zabił, i tak trzeba będzie ujawnić fakty.
Z rezygnacją pokręciła głową.
— Nie zna pan okoliczności.
— Więc proszę mi je przedstawić.
— Nie mogę.
— Zaoszczędziłaby pani sobie dużo czasu i pieniędzy. A możliwe, że uratowałaby pani także zdrowie psychiczne syna, a nawet jego życie.
— Doktor Smitheram twierdzi, że jego życie nie jest zagrożone.
— Doktor Smitheram nie rozmawiał z tymi ludźmi co ja. W ciągu piętnastu lat popełniono trzy zabójstwa...
— Niech pan milczy.
Głos miała cichy, rozedrgany. Rozejrzała się po korytarzu; cień na ścianie małpował jej ruchy niczym na kreskówce. Pomimo swojego seksapilu i elegancji przypomniała mi Randy'ego Shepherdę, zerkającego ukradkiem na boki.
— Nie będę milczał — odparłem. — Od tak dawna żyje pani w ciągłym strachu, że trzeba przywrócić panią do

rzeczywistości. Jak mówiłem, popełniono trzy zabójstwa i wygląda na to, że wszystkie łączą się ze sobą. Ale nie twierdę, że Nick jest winny wszystkich trzech. Może nawet nie popełnił żadnego.

Z rozpaczą pokręciła głową.

— Nawet jeżeli zabił tego człowieka przy torach, to o morderstwie nie może być mowy — ciągnąłem. — Bronił się przed porywaczem, uzbrojonym i poszukiwanym przestępcą, Eldonem Swainem. Moim zdaniem przebieg wypadków wyglądał następująco: Swain zaczął się dobierać do pani synka, a ten chwycił za jego broń i strzelił mu w pierś.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Skąd pan to wszystko wie?

— Nie wiem wszystkiego. To częściowa rekonstrukcja wydarzeń, oparta na tym, czego się dowiedziałem od Nicka. Miałem dziś okazję pogadać ze starym kryminalistą, który nazywa się Randy Shepherd. Jeśli w ogóle można mu wierzyć, przyjechał do Pacific Point z Eldonem Swainem, ale dostał pietra, gdy Swain zaczął planować porwanie.

— Dlaczego wybrali akurat nas? — spytała z napięciem.

— To nie padło w rozmowie. Podejrzewam jednak, że Randy Shepherd był w to zamieszany dużo bardziej, niż się do tego przyznaje. Chyba odegrał rolę w każdym z tych trzech zabójstw, przynajmniej jako katalizator. Sidney Harrow był jego znajomkiem, a poza tym to właśnie Shepherd zainteresował Jean Trask poszukiwaniami ojca.

— Ojca?

— Jej ojcem był Eldon Swain.

— I mówi pan, że ten cały Swain miał przy sobie broń?

— Tak. Wiemy, że z tego samego rewolweru zastrzelono i jego, i Sidneya Harrowa. Dlatego mocno wątpię, żeby to Nick zabił Harrowa. Niemożliwe, żeby ukrywał tę broń przez piętnaście lat.

— Tak. — Jej szeroko otwarte błyszczące oczy miały nieobecny wyraz, jakby patrzyła na te ostatnie piętnaście lat

z lotu ptaka, niczym sokół. — Na pewno jej nie ukrywał — dorzuciła w końcu.

— Czy wspominał kiedyś przy pani o tym rewolwerze?
Skinęła głową.

— Kiedy wrócił do domu... sam trafił z powrotem. Powiedział, że jakiś mężczyzna kazał mu wsiąść do samochodu na naszej ulicy i wywiózł go na stację rozrządową. Podobno złapał rewolwer i zastrzelił tego człowieka. Początkowo mu z Lanym nie uwierzyliśmy, sądziliśmy, że to tylko takie dziecięce gadanie. Dopiero gdy rano przeczytaliśmy w gazecie, że przy torach znaleziono trupa...

— Dlaczego nie zgłosiliście się na policję?

— Wtedy już było za późno.

— Nigdy nie jest za późno, nawet teraz.

— Dla mnie tak... dla nas wszystkich.

— Dlaczego?

— Policja by nas nie zrozumiała.

— Zrozumiałaby doskonale, jeżeli to było zabójstwo w obronie własnej. Czy syn wyjaśnił kiedyś, dlaczego strzelił do tego człowieka?

— Nigdy. — Przerwała, a jej oczy zaszyły łzami.

— I co się stało z tym rewolwerem?

— Pewnie go tam zostawił. W gazetach podali, że według policji broni nie odnaleziono, a Nicky z pewnością nie przyniósł jej do domu. Widocznie wziął ją jakiś włóczęga.

Wróciłem myślami do Randy'ego Shepherd. Był na miejscu zbrodni, a w każdym razie gdzieś w pobliżu, i za wszelką cenę starał się odciąć od porwania. Przyszło mi do głowy, że nie powinienem był go puszczać — suma pół miliona dolarów to masa krytyczna, zdolna z każdego złodzieja zrobić mordercę.

ROZDZIAŁ 23

Wróciłem z panią Chalmers do pokoju dla odwiedzających, gdzie doktor Smitheram i jego żona rozmawiali z Larrym Chalmersem.

Lekarz powitał mnie uśmiechem, który nie znalazł odbicia w pełnym wątpliwości, badawczym spojrzeniu.

— Moira mówiła, że wziął ją pan na kolację. Wielkie dzięki.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Jakie mam szanse na rozmowę z pańskim pacjentem?

— Minimalne. A szczerze mówiąc, żadne.

— Nawet przez minutkę?

— To nie najlepszy pomysł, zarówno ze względu na jego stan fizyczny, jak i psychiczny.

— Jak on się czuje?

— Oczywiście ma gigantycznego kaca i jest wyczerpany fizycznie i psychicznie. Częściowo wynika to z przedawkowania rezerpiny. Poza tym ma lekkie wstrząśnienie mózgu.

— Co je spowodowało?

— Powiedziałbym, że uderzenie w tył głowy tępym narzędziem. Ale medycyna sądowa to nie moja specjalność. Ogólnie rzecz biorąc, jest w zaskakująco dobrej formie. Należą się panu ode mnie podziękowania za to, że tak szybko pan go przywiózł.

— Od nas wszystkich — wtrącił Chalmers i oficjalnie uścisnął mi dłoń. — Uratował pan mojemu synowi życie.

— Obaj mieliśmy szczęście. Byłoby miło, gdyby nie przestało nam dopisywać.

— Co pan właściwie sugeruje?

— Uważam, że przed pokojem Nicka należy postawić ochronę.

— Myśli pan, że znowu może uciec? — spytał Chalmers.

— Niewykluczone, chociaż nie przyszło mi to do głowy. Chodziło mi o zapewnienie ochrony jemu.

— Pielęgniarki dyżurują przy nim przez całą dobę — rzekł doktor Smitheram.

— Potrzebny jest uzbrojony strażnik. Było już kilka zabójstw i jeszcze jedno nie jest nam potrzebne. Mogę panu załatwić ochroniarzy na trzy zmiany za jakieś sto dolarów dziennie — zwróciłem się do Chalmersa.

— Ależ naturalnie — odparł.

Zszedłem na dół i zadzwoniłem w kilka miejsc. Najpierw do firmy ochroniarskiej z Los Angeles, mającej filię w San Diego. Obiecali, że niejaki MacIennan stawi się za pół godziny. Potem wybrałem numer Domków Conchity w Imperial Beach. Pani Williams odebrała cichym, zatroskanym głosem.

— Mówi Archer. Czy Randy Shepherd wrócił?

— Nie, i raczej już nie wróci. — Jeszcze bardziej zniżyła głos. — Nie pan jeden go szuka. Obstawili mi tu cały teren.

Ucieszyłem się, bo oznaczało to, że sam nie będę musiał się tym zajmować.

— Dziękuję pani. Proszę się nie przejmować.

— Łatwo się mówi. Dlaczego nie powiedział mi pan, że Sidney Harrow nie żyje?

— A co by pani z tego przyszło?

— Co racja, to racja. Jak tylko będę miała ich z głowy, wystawiam interes na sprzedaż.

Życzyłem jej powodzenia i wyszedłem na dwór, żeby

odetchnąć świeżym powietrzem. Po chwili dołączyła do mnie Moira Smitheram.

Otworzyła świeżą paczkę papierosów i zaczęła palić w takim tempie, jakby ktoś mierzył jej czas stoperem.

— Ty chyba nie palisz?

— Rzuciłem.

— Ja też. Ale czasem podpalam, jak się zezłoszczę.

— A co cię teraz zezłościło?

— Znowu Ralph. Chce dzisiaj spać w szpitalu, żeby być w każdej chwili pod ręką. Równie dobrze mogłabym wyjść za trapistę.

Jej gniew wydawał się powierzchowny, jak gdyby maskował jakieś głębsze uczucie. Czekałem, aż je ujawni. Moira wyrzuciła niedopałek papierosa.

— Nie znoszę moteli — oświadczyła. — Nie wracasz przypadkiem na noc do Point?

— Do zachodniego Los Angeles. Ale mogę cię podrzucić po drodze.

— To miło z twojej strony. — Czułem, że ten formalny zwrot ma tylko ukryć fakt, że jest podniecona tak samo jak ja. — Po co jedziesz do zachodniego Los Angeles?

— Mieszkam tam. Lubię spać we własnym łóżku. To chyba jedyny trwały element w moim życiu.

— Myślałam, że trwałość wzbudza w tobie wstręt. Podczas kolacji mówiłeś, że lubisz wnikać w cudze życie i się z niego wycofywać.

— To prawda. Zwłaszcza w życie ludzi, których spotykam z racji zawodu.

— Takich jak ja?

— Nie myślałem o tobie.

— O? Zdawało mi się, że wykładasz ogólne zasady, do których wszyscy mają się dostosować — rzuciła z nutką ironii.

Z cienia parkingu wyszedł wysoki, barczysty młody człowiek w ciemnym garniturze, krótko ostrzyżony na wojskową modłę, i ruszył do drzwi szpitala.

— Maclennan? — zawołałem go.

— Tak jest.

Powiedziałem Moirze, że zaraz wracam, i zawiozłem Maclennana windą na górę.

— Nie wpuszczaj nikogo, z wyjątkiem personelu szpitala, czyli lekarzy i pielęgniarek, oraz najbliższej rodziny.

— Jak ich poznam?

— Pokażę ci ich. Przede wszystkim jednak uważaj na mężczyzn, także tych w białych kitlach. Nie wpuszczaj żadnego mężczyzny, dopóki nie poręczy za niego pielęgniarka albo lekarz, których znasz.

— Spodziewa się pan tu próby zabójstwa?

— Nie wykluczam, że do tego dojdzie. Masz broń?

Maclennan odchylił poję marynarki i pokazał mi sterczącą spod pachy rękojeść pistoletu.

— Za kim konkretnie mam się rozglądać?

— Niestety nie wiem. Ale masz jeszcze jeden obowiązek. Pilnuj, żeby chłopak stąd nie prysnął. Tylko bez grożenia mu bronią, nic z tych rzeczy. To właśnie o niego tu chodzi.

— Jasne, rozumiem. — Mówił ze spokojem cechującym potężnie zbudowanych mężczyzn.

Zaprowadziłem go przed pokój Nicka i poprosiłem prywatną pielęgniarkę, żeby wywołała Smitherama. Wychodząc, lekarz otworzył drzwi na oścież i dostrzegłem Nicka, który leżał nieruchomo, z zamkniętymi oczami i nosem wycelowanym w sufit, a obok siedzieli jego rodzice. Cała trójka przypominała rytualną scenę z fryzu, w której uniesione łóżko szpitalne służyło za ołtarz ofiarny.

Drzwi zamknęły się cicho i straciłem ich z oczu. Przedstawiłem Maclennana doktorowi, który obrzucił nas znudzonym i zmęczonym wzrokiem.

— Czy cały ten alarm i zamieszanie są naprawdę konieczne?

— Tak uważam.

— A ja nie. I w żadnym wypadku nie pozwolę, żeby ten człowiek przebywał w pokoju chorego.

— W środku miałby większą swobodę działania.
— Działania przeciwko czemu?
— Ewentualnej próbie morderstwa.
— To śmieszne. Chłopak jest tu całkiem bezpieczny. Kto by go chciał zamordować?
— Jego niech pan zapyta.
— Ani mi się śni.
— Więc pozwoli pan, że ja to zrobię?
— Nie. On nie nadaje się...
— A kiedy się będzie nadawał?
— Nigdy, jeżeli zamierza pan nim poniewierać.
— Używa pan mocnych słów, doktorze. Czyżby chciał mnie pan rozgniewać?
Smitheram zachichotał chytrze.
— Nie wiem, czy chciałem, ale chyba mi się udało.
— Co pan ukrywa, doktorze?
Spojrzał na mnie zmrużonymi oczami i wyrzucił z siebie szybko:
— Nic nie ukrywam... spełniam tylko swoją powinność i usiłuję chronić pacjenta. I dopóki będę miał coś do powiedzenia w tej sprawie, żaden nieopierzony agencik nie będzie rozmawiał z nim ani teraz, ani nigdy. Czy wyrażam się jasno?
— A co ze mną? — zapytał MacIennan. — Mam robotę czy wylatuję?
Odwróciłem się do niego, przełykając gniew.
— Masz robotę. Doktor Smitheram życzy sobie, żebyś został przed drzwiami, w korytarzu. Gdyby komuś nie podobała się twoja obecność tutaj, powiedz, że wynajęli cię rodzice Nicka Chalmersa w celu ochrony syna. Doktor Smitheram albo któraś z pielęgniarek przedstawi cię rodzicom w dogodnej chwili.
— Nie mogę się doczekać — mruknął MacIennan pod nosem.

ROZDZIAŁ 24

Moira nie czekała ani na parterze, ani w moim samochodzie. Znalazłem ją w końcu na parkingu zarezerwowanym dla lekarzy. Siedziała za kierownicą należącego do męża cadillaca z odkrytym dachem.

— Miałam dość czekania — rzuciła niefrasobliwie. — Pomyślałam, że sprawdzę, czy z ciebie dobry detektyw.

— Świetna pora na zabawę w chowanego.

Widocznie zabrzmiało to zbyt szorstko, bo zamknęła oczy, po czym wysiadła z kabrioletu.

— Tylko żartowałam. Chociaż to nie do końca prawda. Chciałam się przekonać, czy będziesz mnie szukał.

— No i szukałem. Zadowolona?

Ujęła mnie za ramię i potrząsnęła lekko.

— Wciąż jesteś zły.

— Ale nie na ciebie. Na twojego cholernego męża.

— Co on znów zrobił?

— Najpierw potraktował mnie z góry i nazwał nieopierzonym agencikiem. To tyle, jeśli chodzi o sprawy osobiste. Ważniejsze jest co innego. Powiedział, że nie pozwoli mi zamienić słowa z Nickiem, ani teraz, ani nigdy. Gdybym miał okazję pomówić z chłopakiem przez pięć minut, mógłbym wyjaśnić wiele spraw.

— Mam nadzieję, że nie prosisz mnie, żebym się wstawiła u Ralpa?

— Nie.

— Wolałabym się nie mieszać do waszych spraw.

— Jeśli tego nie chcesz, znajdź sobie lepszą kryjówkę — odparłem.

Spojrzała na mnie z ukosa. Na moment obnażyła swoje prawdziwe ja i dostrzegłem nieśmiałą, sprytną kobietę, która boi się, że zostanie zraniona.

— Mówisz poważnie? Mam sobie pójść?

Objąłem ją i odpowiedziałem bez słów. Po dłuższej chwili oderwała się ode mnie.

— Chcę wracać do domu. A ty?

Odparłem, że też, chociaż nie do końca była to prawda. Moje uczucie w stosunku do Smitherama — gniew, do którego teraz jeszcze doszły podejrzenia — weszło w paradę uczuciu, jakie żywiłem wobec jego żony. Pod wpływem tej mieszanki zacząłem snuć mniej przyjemne myśli — że ją wykorzystam, by się na nim odegrać albo żeby do niego dotrzeć. Odpędziłem te myśli, lecz czaiły się jak niechciane dzieci w cieniu, czekające, aż zgaśnie światło.

Pojechaliśmy autostradą na północ. Moira zauważyła, że jestem czymś zaaferowany.

— Może ja poprowadzę, jeśli jesteś zmęczony?

— Jestem zmęczony, ale nie fizycznie. — Poklepałem się po głowie. — Muszę rozwiązać kilka problemów, a mój komputer jest przestarzały. Nie mówi ani tak, ani nie. Przeważnie mówi: „może”.

— Chodzi o mnie?

— O wszystko.

W milczeniu minęliśmy San Onofre. Wielka kula reaktora atomowego majaczyła w ciemności jak księżyc, który umarł i spadł. Prawdziwy księżyc wisiał jednak wysoko na niebie.

— Czy ten twój komputer jest zaprogramowany na pytania?

— Zależy jakie. Niektórych zupełnie nie trawi.

— Dobrze — powiedziała Moira cichym, poważnym głosem. — Myślę, że wiem, co cię gryzie, Lew. Zdradziłeś się, mówiąc, że pięć minut rozmowy z Nickiem pozwoliłoby ci wszystko wyjaśnić.

— Nie wszystko. Ale bardzo dużo.

— Uważasz, że on ich zabił, prawda? Harrowa, biedną panią Trask i tego człowieka na stacji rozrządowej?

— Może.

— Powiedz mi, co naprawdę o tym sądzisz.

— Naprawdę sędzę, że to możliwe. Jestem prawie pewny, że zabił tego człowieka przy torach. Ale jeśli chodzi o innych, nie mam już takiej pewności i coraz bardziej skłaniam się do przekonania, że nie. W tej chwili zakładam, że Nick został przez kogoś wrobiony i że zapewne wie, kto go wrobił. A to oznacza, że może być następną ofiarą.

— I dlatego nie chciałeś ze mną jechać?

— Nic takiego nie powiedziałem.

— Aleja to czułam. Słuchaj, jeżeli uważasz, że powinienes tam wrócić, zrozumieni. — Po czym dodała: — Zawsze mogę zapisać swoje ciało medycynie. Albo złożyć podanie, żebyś poświęcał mi tyle samo czasu co tej sprawie.

Roześmiałem się.

— To wcale nie jest śmieszne — fuknęła Moira. — Ciągłe coś się dzieje, świat pędzi do przodu w takim tempie, że kobiecie trudno jest konkurować.

— Tak czy owak, nie ma sensu wracać — rzekłem. — Nick jest pod dobrą ochroną. Ani nie ucieknie, ani nikt się do niego nie dostanie.

— Co załatwia sprawę obu twoich „może”, tak?

Zapadła długa cisza. Miałem ochotę wziąć ją na spytki, zarówno na temat jej męża, jak Nicka. Gdybym jednak wykorzystał tę kobietę, bo nadarzyła się okazja, wykorzystałbym tę część siebie i swego życia, z której korzystać nie chciałem; tę część, która odróżniała mnie od komputera. Albo od szpiega.

Po jakimś czasie niezadane pytania przestały kotłować mi się w głowie i mój umysł zawisł swobodnie w ciszy. Poczucie, że żyję tylko prowadzoną przeze mnie sprawą, choć używałem go czasem jako środka dopingującego, z wolna mnie opuściło.

Siedząca obok kobieta miała wrażliwe czułki. Przysunęła się do mnie, jakbym odrzucił tarczę, za którą się kryłem. Przez całą drogę czułem jej ciepło, przenikające przez mój prawy bok w głąb całego ciała.

Mieszkała na wybrzeżu Montevista, w pozbawionym krzywizn, stojącym na skraju urwiska domu ze stali, szkła i grubych pieniędzy.

— Jeśli chcesz, wstaw samochód pod wiatę. Wstąpisz na drinka?

— Tylko na chwilę.

Nie mogła otworzyć drzwi frontowych.

— To są kluczyki do samochodu — zwróciłem jej uwagę.

Przestała nimi manipulować i zamyśliła się.

— Ciekawe, o czym to świadczy?

— Że pewnie powinnaś nosić okulary.

— Okularów używam do czytania.

Przepuściła mnie w drzwiach i zapaliła światło w holu. Po kilku schodkach zeszliśmy do ośmiokątnej sypialni, składającego się głównie z okien. Widziałem księżyc, prawie na wyciągnięcie ręki, pod nim zaś, w oddali, nabazgrane białe linie fal przypiływu.

— Miło tu.

— Naprawdę tak uważasz? — Była autentycznie zaskoczona. — Bóg mi świadkiem, że zanim zaczęliśmy budowę, na etapie planowania z architektem, było tu pięknie. Ale ten dom nigdy jakoś nie oddał urody otoczenia. — Przerwała, a po chwili mówiła dalej: — Budować dom to jak zamykać ptaka w klatce. I samemu jest się tym ptakiem.

— Czy takich rzeczy uczą was w klinice?

Odwróciła się do mnie i błysnęła uśmiechem.

— Okropnie się rozgadałam, co?

— Ktoś coś mówił o drinku.

Nachyliła się ku mnie; w padającym przez okna nikłym świetle jej twarz była srebrna, a oczy i usta ciemne.

— Na co masz ochotę?

— Na whisky. — Nagle poruszyła oczami, a ja znowu dostrzegłem ten przebłysk obnażonego ja, niczym światło ukryte w głębinach budynku. — Czy mogę zmienić zdanie? — spytałem.

Chciała, żebym ją wziął. Wyplątaliśmy się z ubrań i położyliśmy tak, jak zapaśnicy padają na matę w walce, której specjalne reguły mówią, że szczęście i zaszczyty zdobywa zarówno ten, kto przypiera przeciwnika, jak i ten, kto daje się przypierać.

W przerwie pomiędzy rundami Moira oświadczyła nagle, że jestem delikatnym kochankiem.

— Starość też ma swoje dobre strony.

— Nie o to chodzi. Przypominasz mi Sonny'ego, a on miał zaledwie dwadzieścia lat. Przy tobie znowu poczułam się jak Ewa w raju.

— Cóż za fantazja.

— A jeśli nawet? — Uniosła się na łokciu, tak że jej srebrna pierś oparła się o mnie ciężko. — Jesteś zły, że wspomniałam Sonny'ego?

— Dziwne, ale nie.

— To dobrze. To był tylko biedny chłopak, takie małe nic. Ale dobrze nam było razem. Żyliśmy jak głupie aniołki, robiliśmy dla siebie nawzajem różne rzeczy. On nie miał przede mną dziewczyny, a ja wcześniej byłam tylko z Ralphem.

Gdy padło imię męża, jej głos się zmienił i moje uczucia także.

— Ralph zawsze był tak straszliwie sprawny technicznie i taki pewny siebie. Wpadał do łóżka jak armia pacyfikująca kraj Trzeciego Świata. Z Sonnym było inaczej. Był taki delikatny i zakochany. Miłość przypominała grę, fantazję,

którą żyliśmy na jawie, wspólną zabawę w dom. Czasami udawał, że jest Ralphem. A czasem ja udawałam jego matkę. Czy to nie chore? — spytała z nerwowym chichotem.

— Zapytaj Ralpa.

— Nudzę cię, tak?

— Wręcz przeciwnie. Długo trwał ten romans?

— Prawie dwa lata.

— A potem Ralph wrócił do domu?

— W końcu tak. Ale zerwałam z Sonnym wcześniej. Fantazja wymykała się spod kontroli, tak samo jak on. Poza tym nie potrafiłam przeskoczyć z jego łóżka do łóżka Ralpa. Omal mnie to poczucie winy nie zabiło.

Przesunąłem wzrokiem po jej ciele.

— Nie wyglądasz na osobę trapiącą wyrzutami sumienia.

— Masz rację — odpowiedziała po dłuższej chwili. — To nie były wyrzuty sumienia. Raczej zwyczajny ból. Porzuciłam miłość swojego życia. I po co? Dla domu za sto tysięcy dolarów i wartej czterysta tysięcy kliniki? Gdyby to ode mnie zależało, nie chciałabym umrzeć ani tu, ani tu. Wolałabym wrócić do jednego pokoiku w Magnolii.

— Jej już nie ma — przypomniałem. — Czy ty aby nie przesadzasz z tym wyolbrzymianiem przeszłości?

— Może i przesadzam, zwłaszcza jeśli chodzi o to, co miłe. — odparła po dłuższym namyśle. — Kobiety mają skłonność do zmyślania historii na swój temat.

— Cieszę się, że mężczyźni nigdy tego nie robią.

Roześmiała się.

— Idę o zakład, że Ewa zmyśliła tę historię z jabłkiem.

— A opowieść o raju wymyślił Adam.

Podpełzła i przytuliła się do mnie.

— Jesteś stuknięty. To diagnoza lekarska. Cieszę się, że ci to wszystko opowiedziałam. A ty?

— Jakoś to zniosę. Czemu to zrobiłaś?

— Z rozmaitych powodów. Poza tym masz tę przewagę, że nie jesteś moim mężem.

— Żadna kobieta nigdy nie powiedziała mi nic równie pięknego.

— Mówię poważnie. Gdybym wyznała Ralphowi to, co tobie, skończyłabym się jako człowiek. Zostałabym kolejnym z jego słynnych trofeów psychiatrycznych. Pewnie kazałby mnie wypchać i powiesić na ścianie gabinetu, między dyplomami. — Po czym dodała: — W pewnym sensie tak zresztą zrobił.

Chciałem popytać ją jeszcze trochę o męża, ale ani miejsce, ani czas nie były po temu, zresztą wciąż trwałem w silnym postanowieniu, że nie wykorzystam sytuacji.

— Dajmy pokój Ralphowi. Co się stało z Sonnym?

— Znalazł sobie inną i się z nią ożenił.

— A ty jesteś zazdrosna?

— Nie. Jestem samotna. Nie mam nikogo.

Znowu połączyliśmy naszą samotność w czymś, co nie było jeszcze miłością, za to czymś słodszy niż własne ja. W rezultacie nie wróciłem do siebie do zachodniego Los Angeles.

ROZDZIAŁ 25

Wyszedłem z samego rana, nie budząc Moiry. Znad morza nadciągnęła mgła, spowijając dom na szczycie urwiska i całe wybrzeże Montevista. Powolutku jechałem drogą między szpalerem majaczących jak duchy drzew.

Dotarłem do miejsca, gdzie mgła kończyła się raptownie. Niebo było bezchmurne, jedynie odrzutowce zostawiły po sobie dwie rozmazane smugi. Pojechałem do miasta i wstąpiłem do komisariatu.

Lackland był w swoim gabinecie. Elektryczny zegar na ścianie nad jego głową wskazywał ósmą. Przez chwilę poczułem się nieswojo; odniosłem wrażenie, że kapitan, posługując się siłami nadprzyrodzonymi, po raz drugi ściągnął mnie tu o tej samej porze.

— Miło pana widzieć — odezwał się. — Siadaj pan. Właśnie się zastanawiałem, gdzie się wszyscy podziali.

— Sprawdzalem pewien trop w San Diego.

— I zabrał pan ze sobą swoich klientów?

— Ich syn miał wypadek. Pojechali do San Diego, żeby się nim zająć.

— Rozumiem. — Przez chwilę milczał, wykrzywając i zagryzając wargi, jakby chciał ukarać usta za to, że zadają pytania — Cóż to był za wypadek, jeśli to nie rodzinna tajemnica?

— Przede wszystkim proszki nasenne. Poza tym doznał urazu głowy.

— Próba samobójstwa?

— Niewykluczone.

Lackland pochylił się zniecała, przysuwając twarz do mojej.

— Po tym, jak załatwił panią Trask?

Nie byłem przygotowany na to pytanie, więc odpowiedziałem wymijająco:

— Głównym podejrzanym o zabicie pani Trask jest Randy Shepherd.

— Wiem o tym — odrzekł kapitan, jasno dając mi do zrozumienia, że nie powiedziałem mu nic nowego. — Z San Diego wysłali już za nim list gończy.

— A czy podają w nim, że Shepherd znał Eldona Swaina jeszcze z dawnych czasów?

Lackland zagryzł górną wargę.

— Czy to pewna wiadomość?

— Tak. Rozmawiałem wczoraj z Shepherdem, kiedy jeszcze nie był podejrzany. Powiedział mi, że Swain uciekł z jego córką, Ritą, i pół milionem dolarów. Od tej pory Shepherd najwyraźniej przez cały czas próbował dorwać się do części tych pieniędzy. Nawiasem mówiąc, to właśnie on namówił panią Trask, żeby wynajęła Sidneya Harrowa i przyjechała tutaj, do Point. Wykorzystał ich jako parawan, bo chciał zdobyć jak najwięcej informacji bez narażania się na przyjazd tutaj.

— A więc Shepherd miał jednak motyw, żeby sprzątnąć Swaina — oświadczył Lackland tak cicho, jakby piętnaście lat spędzonych nad tą sprawą pozbawiło go wszelkiej energii. — I miał motyw, żeby usunąć jego odciski palców za pomocą ognia. Gdzie pan z nim rozmawiał?

— Na granicy z Meksykiem, koło Imperial Beach. Ale na pewno już się stamtąd wyniósł.

— Fakt. Prawdę mówiąc, wczoraj wieczorem widziano go

w Hemet. Zatrzymał się, żeby zatankować benzynę. Jechał na północ kradzionym samochodem, czarnym kabrioletem mercury, nowy model.

— Sprawdźcie w Pasadenie. Shepherd pochodzi stamtąd, tak samo jak Eldon Swain.

Opowiedziałem kapitanowi o wątku związanym z Pasadeną, o Swainie, jego żonie i ich zamordowanej córce, a także o tym, jak Swain zdefraudował pieniądze z banku Rawlinsona.

— Znając te fakty, nie można na serio obwiniać o wszystko Nicka Chalmersa — podsumowałem. — Kiedy Eldon Swain okradł bank, nie było go jeszcze na świecie. A przecież od tego cała sprawa się zaczęła.

Lackland milczał przez chwilę. Jego twarz, gdy dał jej odpocząć, wyglądała jak wyrzeźbiony przez wodę teren, dotknięty suszą.

— Ja też co nieco wiem o tej historii. Rawlinson, właściciel tego banku, w latach dwudziestych i trzydziestych spędzał tu lato. Mógłbym panu opowiedzieć więcej.

— Chętnie posłucham.

Lackland zdobył się na jeden ze swoich rzadkich uśmiechów. Grymas ten w zasadzie nie różnił się od zagryzania ust, tyle tylko, że w oczach kapitana mignął nieśmiały błysk.

— Nie chcę pana rozczarować, Archer. Ale bez względu na to, jak daleko się cofniemy, Nick Chalmers wciąż się pojawia na widoku. Sam Rawlinson miał tutaj przyjaciółkę i po śmierci jej męża razem spędzali lato. Chce pan wiedzieć, kim była ta przyjaciółka?

— Babką Nicka — odparłem. — Wdową po sędzim Chalmersie.

Lackland był rozczarowany. Z pojemnika na korespondencję przychodzącą wyjął kartkę maszynopisu, przeczytał ją uważnie, zmiął w kulkę i cisnął do kosza w kącie gabinetu. Nie trafił. Podniosłem ją i wyrzuciłem.

— Skąd pan się o tym dowiedział? — zapytał w końcu.

— Mówiłem panu, że grzebałem trochę w Pasadenie. Ale

wciąż nie rozumiem, co Nick ma do tego. Nie odpowiada za swoją babkę.

Choć raz Lackland nie próbował się sprzeczać. Wychodząc z komisariatu, pomyślałem jednak, że może jest na odwrót i to babka Nicka odpowiada za niego. Z całą pewnością stary związek między rodzinami Rawlinsonów i Chalmersów nie był tu bez znaczenia.

Jadąc do centrum, minąłem budynek sądu. Nad wejściem widniała wyryta w kamieniu wielka stara Temida, z zawiązanymi oczami i wagą w ręku. Potrzeba ci chłopca, który widzi, powiedziałem jej w duchu. Rozpierało mnie niebezpiecznie dobre samopoczucie.

Po śniadaniu złożonym z befsztyka i jajek poszedłem do fryzjera i kazałem się ogolić. Zanim skończył, dochodziła dziesiąta, więc uznałem, że Truttwell powinien już być w kancelarii.

A jednak go nie zastałem. Recepcjonistka powiedziała mi, że dopiero co wyszedł, ale nie mówił, kiedy wróci. Tego dnia nosiła czarną perukę i potraktowała moje zakłopotane spojrzenie jako komplement.

— Lubię zmieniać osobowość. Nie mogę na siebie patrzeć, kiedy za długo jestem taka sama.

— To tak jak ja. — Wykrzywiłem się do niej. — Czy pan Truttwell pojechał do domu?

— Nie wiem. Odebrał dwa telefony zamiejscowe i wyszedł. Jak tak dalej pójdzie, straci praktykę. — Uśmiechnęła się do mnie natarczywie, jakby szukała już nowej okazji. — Myśli pan, że czarne włosy pasują do mojej cery? Bo właściwie jestem naturalną szatynką. Ale lubię eksperymentować ze sobą.

— Wygląda pani świetnie.

— Też tak uważam — zgodziła się z przesadną pewnością siebie.

— Skąd były te telefony zamiejscowe?

— Jeden z San Diego... dzwoniła pani Chalmers. Nie wiem,

kim była ta druga kobieta, nie chciała podać nazwiska. Ale sądząc z głosu, była znacznie starsza.

— Skąd dzwoniła?

— Nie powiedziała, a rozmowa nie przechodziła przez telefonistkę.

Poprosiłem, żeby połączyła mnie z domem Truttwella. Był na miejscu, ale nie mógł albo nie chciał podejść do telefonu. Wobec tego porozmawiałem z Betty.

— Czy ojciec dobrze się czuje?

— Chyba tak. Mam nadzieję — odparła cicho dziewczyna, poważnym tonem.

— A pani?

— Dobrze. — Ale zabrzmiało to nieszczerze.

— Czy zechce ze mną mówić, jeżeli zaraz przyjadę?

— Nie wiem. Ale proszę się pośpieszyć. On wyjeżdża z miasta.

— Dokąd?

— Nie wiem — powtórzyła ponuro. — Ale gdyby pan się z nim rozminął, to ja bym chciała z panem pomówić.

Kiedy tam dotarłem, cadillac Truttwella stał przed domem. Drzwi otworzyła mi Betty. Oczy miała mętne, bez wyrazu. Nawet jej lśniąca włosy wydawały się matowe.

— Widział pan Nicka? — spytała.

— Widziałem. Rokowania lekarzy są bardzo pomyslnie.

— Ale co mówił Nick?

— Nie był zbyt rozmowny.

— Ze mną by porozmawiał. Tak bardzo chciałam pojechać do San Diego. — Uniosła zaciśnięte pięści i przycisnęła je do piersi. — Ojciec mnie nie puścił.

— Dlaczego?

— Jest zazdrosny o Nicka. Wiem, że to nielojalnie tak mówić, ale ojciec wyraził się jasno. Kiedy pani Chalmers zrezygnowała rano z jego usług, powiedział, że będę musiała wybierać między nim a Nickiem.

— Dlaczego pani Chalmers go zwolniła?

— O to musi pan zapytać ojca. Nie rozmawiamy ze sobą.

W holu za jej plecami pojawił się Truttwell. Na pewno słyszał, co powiedziała przed chwilą, ale w ogóle się do tego nie odniósł. Spojrzał jednak na córkę twardo, z irytacją; ja to widziałem, ale ona nie.

— Co to ma znaczyć, Betty? My nie przyjmujemy gości na progu.

Odwróciła się bez słowa, przeszła do innego pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi. Prawnik zwrócił się do mnie ze skargą w głosie, przez którą przebijała nuta złościwości:

— Ona całkiem straciła głowę dla tego nieudacznika. W ogóle nie chciała mnie słuchać. Może teraz to się zmieni. Ale proszę wejść, Archer. Mam dla pana nowiny.

Zaprowadził mnie do swojego gabinetu. Był jeszcze staranniej ubrany i odstawiony niż zwykle. Miał na sobie świeży garnitur z samodziału, koszulę z zapinanym kołnierzykiem, dobrany pod kolor krawat i chusteczkę, wokół zaś roztaczał męski zapach wody po goleniu na bazie rumu.

— Betty mówiła, że rozstaje się pan z Chalmersami. To stąd ten odświętny wygląd?

— Nie powinna była panu tego mówić. Zrobiła się niedyskretna.

Na jego przystojnej różowej twarzy malowało się wzburzenie. Przygładził i poklepał siwe włosy. Pomyślałem, że Betty zraniła jego próżność, poza którą najwyraźniej nie miał innego oparcia.

Bardziej niepokoiła mnie zmiana, jaka nastąpiła w Truttwellu niż zmiany zachodzące u jego córki. Ona była młoda i jeszcze nieraz miała się zmienić, zanim odkryje prawdziwą siebie.

— To dobra dziewczyna — powiedziałem.

Prawnik zamknął drzwi gabinetu i oparł się o nie plecami.

— Niech pan mi jej nie zachwala. Wiem, jaka jest. Dopuszciała do tego, żeby ten świr zatruł jej umysł i poróżnił ją ze mną.

— Nie sądzę.

— Pan nie jest jej ojcem — rzekł tak, jakby ojcostwo automatycznie zapewniało dar jasnowidzenia. — Zniżyła się do jego poziomu. Nawet posługuje się tym samym prymitywnym freudowskim żargonem. — Twarz miał czerwoną, głos zduszony. — Oskarżyła mnie wręcz, że przejawiam niezdrowe zainteresowanie jej osobą.

A czy to jest zdrowe zainteresowanie? — zapytałem się w duchu.

— Wiem, kto jej podsunął takie rzeczy... doktor Smitheram, za pośrednictwem Nicka — ciągnął Truttwell. — Wiem także, dlaczego Irene Chalmers zerwała ze mną stosunki. Przez telefon oświadczyła wyraźnie, że należał na to wielki, wspa-
niały doktor Smitheram. Pewnie stał obok i podpowiadał jej, co ma mówić.

— Czy podała jakieś powody?

— Niestety, jednym z powodów jest pan, Archer. Nie chcę pana krytykować — zapewnił, chociaż w istocie to właśnie robił. — Domyślam się, że jak na gust doktora Smitherama był pan zbyt dociekliwy. Widać uparł się, że sam będzie reżyserem tej farsy, a to może przynieść opłakane skutki. Żaden adwokat nie zdoła wybronić Nicka, skoro nie wie, co właściwie zrobił.

Truttwell przyjrzał mi się uważnie. Kiedy rozmowa przeniosła się z powrotem na znany mu teren, odzyskał prawniczą swadę.

— Pan chyba zna fakty o wiele lepiej niż ja.

Zabrzmiało to jak pytanie. Nie odpowiedziałem od razu. Zaczynałem rewidować swój stosunek do Truttwella. Może nie jakoś radykalnie, bo w duchu musiałem przyznać, że od samego początku tej sprawy nie w pełni rozumiałem jego motywację i nie do końca mu ufałem.

W tej chwili jednak wyszło na jaw, że Truttwell traktował ranie instrumentalnie i że nadal zamierza to robić. Posłużył się mną dokładnie w ten sam sposób, w jaki Randy Shepherd posłużył się Harrowem. Ja także miałem być źródłem infor-

macji. A teraz czekał, przystojny, bystrooki i wypielegnowany jak kocur, żebym wylał pomyje na przyjaciela jego córki.

— W tej sprawie niełatwo ustalić fakty — powiedziałem. — Nie wiem nawet, dla kogo pracuję. Ani czy w ogóle mam jeszcze pracę.

— Oczywiście, że tak — odparł łaskawie. — Otrzyma pan pełne wynagrodzenie za wszystko, co pan dotychczas zrobił. Osobiście gwarantuję panu uregulowanie należności przynajmniej do dnia dzisiejszego.

— Kto mi zapłaci?

— Chalmersowie, ma się rozumieć.

— Przecież pan już ich nie reprezentuje.

— Proszę się o to nie martwić. Pan wystawi rachunek, ja im go przekażę, a oni go uregulują. Nie pracuje pan na czarno i nie pozwolę, żeby pana tak traktowali.

Pomyślałem, że jego dobra wola ma służyć tylko jemu i że skończy się z chwilą, gdy przestanę być dla niego użyteczny. Poczulem się zażenowany i tym, i konfliktem, jaki się zrodził. W tego rodzaju sprawach zwykle to ja byłem na odstrzał.

— Czy nie powinienem zdać sprawozdania Chalmersom?

— Nie. Oni już pana zwolnili. Nie chcą, żeby prawda o Nicku wyszła na jaw.

— Jak on się miewa?

Truttwell wzruszył ramionami.

— Jego matka nic mi nie mówiła.

— Więc komu mam teraz składać sprawozdania?

— Mnie. Reprezentowałem rodzinę Chalmersów przez blisko trzydzieści lat i przekonają się, że nie tak łatwo się mnie pozbyć. — Zapowiedział to z uśmiechem, lecz w jego słowach brzmiała wyraźna groźba.

— A jeśli będą oporni?

— Gwarantuję, że nie. Jeżeli jednak martwi się pan o pieniądze, przejmę pańskie wynagrodzenie od dnia dzisiejszego na siebie.

— Dzięki. Zastanowię się nad tym.

— Byle szybko — rzucił z uśmiechem. — Zaraz jadę do Pasadeny na spotkanie z panią Swain. Rano zadzwoniła do mnie z pytaniem, czy nie zainwestowałbym w jej zdjęcia rodzinne... już po tym, jak pani Chalmers mnie zwolniła. Chciałbym, żeby pojechał pan ze mną, Archer.

W moim fachu człowiek rzadko kiedy robi to, na co ma ochotę. Gdybym odmówił współpracy z Truttwellem, odebrałby mi sprawę i prawdopodobnie zamknął możliwość działania w tym okręgu na przyszłość.

— Pojadę swoim samochodem i spotkamy się przed domem pani Swain — powiedziałem. — Bo chyba tam pan się wybiera, prawda?

— Tak. A więc mogę liczyć na to, że pojedzie pan za mną? Obiecałem mu to, ale nie pojechałem za nim od razu. Najpierw musiałem zamienić kilka słów z jego córką.

ROZDZIAŁ 26

Betty podeszła do drzwi, jakbyśmy się z góry umówili, i zaprosiła mnie z powrotem do środka.

— Mam listy — powiedziała cicho. — Te, które Nick zabrał z sejfów swojego ojca.

Zaprowadziła mnie na górę do swojej pracowni i wyciągnęła z szuflady brązową kopertę, wypchaną listami lotniczymi, przeważnie ułożonymi chronologicznie. Było ich pewnie ze dwieście.

— Skąd pani wie, że Nick zabrał je z sejfów?

— Sam mi to powiedział przedwczoraj wieczorem. Doktor Smitheram na chwilę zostawił nas samych. Nick zdradził mi, gdzie je ukrył w swoim mieszkaniu. Wczoraj je stamtąd zabrałam.

— Czy tłumaczył, dlaczego je wziął?

— Nie.

— A jak pani sądzi?

Przycupnęła na dużym wielobarwnym podnóżku.

— Różne rzeczy przychodziły mi do głowy — odparła. — Przypuszczam, że ma to jakiś związek z relacjami ojciec—syn. Pomimo wszelkich kłopotów Nick zawsze darzył ojca wielkim szacunkiem.

— Czy to samo można powiedzieć o pani i pani ojcu?

— Nie mówimy o mnie — odrzekła sztywno. — Zresztą dziewczyny są inne... jesteśmy dużo bardziej zagadkowe. Chłopak albo chce być taki jak ojciec, albo nie. Myślę, że Nick chce być taki.

— To jednak nadal nie wyjaśnia, po co ukraść te listy.

— Nie mówiłam, że potrafię to wyjaśnić. Może próbował ukraść waleczność ojca, wie pan, takie tam bzdury. Te listy były dla niego bardzo ważne.

— Dlaczego?

— Pan Chalmers nadał im takie znaczenie. Czytywał je Nickowi na głos... przynajmniej fragmentami.

— Ostatnio?

— Nie. Kiedy Nick był mały.

— Ile miał wtedy lat? Osiem?

— To się zaczęło mniej więcej w tamtym czasie. Myślę, że pan Chalmers próbował go indoktrynować, zrobić z niego prawdziwego mężczyznę i tak dalej. — Ton pogardy w jej głosie odnosił się nie tyle do Nicka czyjego ojca, ile do samej idei indoktrynacji.

— W wieku ośmiu lat Nick miał poważny wypadek — oznajmiłem. — Wie pani coś na ten temat, Betty?

Pokiwała głową tak mocno, że włosy opadły jej na czoło, zasłaniając twarz.

— Tamtego wieczoru przyznał mi się, że zastrzelił człowieka. Ale wołałabym o tym nie mówić, dobrze?

— Tylko jedno pytanie. Jaki był stosunek Nicka do tej strzelaniny?

Objęła się ramionami, jakby jej było zimno. Otulona w ten sposób, z twarzą zakrytą włosami, skuliła się na podnóżku jak gnom.

— Nie chcę o tym mówić.

Podciągnęła kolana pod brodę i oparła na nich głowę, jakby naśladowała pogrążonego w rozpacz Nicka.

Przeszedłem z listami do stołu pod oknem od ulicy. Ze swego miejsca widziałem fasadę domu Chalmersów, lśniącego

bielą pod czerwonymi dachówkami. Budynek sprawiał wrażenie, że ma swoją historię, więc zacząłem czytać pierwszy list w nadziei, że uda mi się ją poznać.

Pearl Harbor

9 października 1943

Pani Haroldowa Chalmers

Pacific Street 2124

Pacific Point, Kalif.

Kochana Mamo,

z braku czasu będę się streszczał. Chciałem tylko jak najszybciej Cię zawiadomić, że właśnie spełniły się moje pragnienia.

Powiedziano mi, że ten list będzie ocenzurowany pod kątem danych wojskowych, dlatego wspomnę jedynie o powietrzu i morzu, a Ty sama zrozumiesz, do jakiej służby mnie przydzielono.

Czuję się, jakby właśnie pasowano mnie na rycerza, Mamo.

Przełącz te dobre nowiny panu Rawlinsonowi, bardzo proszę.

Podróż z łądu była nudna, ale w sumie przyjemna. Kilku moich kolegów pilotów spędzało czas na rufie, strzelając do latających ryb. W końcu powiedziałem im, że marnują czas i niszczą piękno dnia. Przez chwilę myślałem, że będę się musiał bić z czterema czy pięcioma naraz. Uznali jednak moralną wyższość mojego poglądu i zeszli z rufy.

Mam nadzieję, kochana Mamo, że jesteś zdrowa

i szczęśliwa. Ja jestem szczęśliwy jak nigdy.

Twój kochający syn,

Larry

List mnie rozczarował — spodziewałem się chyba, że rzuci nowe światło na sprawę. Nie ulegało wątpliwości, że napisał go zarozumiały młody idealista, który w nienaturalny sposób palił się, by wziąć udział w wojnie. Jedyne, co mnie uderzyło,

to fakt, że ten chłopiec wyrósł na takiego sztywniaka jak Chalmers.

Drugi list od góry napisany był jakieś osiemnaście miesięcy po pierwszym. Dłuższy i ciekawszy, wyszedł spod ręki bardziej dojrzałego człowieka, który na wojnie zaczął trzeźwiej myśleć.

*Ppor. L. Chalmers
Ss. Sorrel Bay (lotniskowiec 185)
15 marca 1945
Pani Haroldowa Chalmers
Pacific Street 2124
Pacific Point, Kalif.*

*Najdroższa Mamo,
znowu jesteśmy w rejonie walki, więc moje listy przez jakiś czas nie będą dochodzić. Trudno mi pisać listy, których nie będę mógł od razu wysłać. To jak prowadzenie dziennika, czego nie znoszę, albo rozmowa za pośrednictwem dyktafonu. Jednak pisanie do Ciebie, najdroższa, to zupełnie co innego.*

Pomijając rzeczy, których cenzura i tak by nie puściła, u mnie wszystko po staremu. Latam, śpię, czytam, jem, marzę o domu. Tak jak my wszyscy. Jak na naród, który stworzył nie tylko najpotężniejszą, ale i najlepiej przeszkoloną marynarkę wojenną na świecie, my, Amerykanie, jesteśmy bandą strasznych szurów lądowych. Marzymy tylko o tym, żeby powrócić na Matkę Ziemię.

Odnosi się to do zwykłych marynarzy którzy nic tylko czekają na przeniesienie na ląd i przejście do cywila, ale nie dotyczy wyższych oficerów robiących karierę. Nawet w marynarce brytyjskiej jest tak samo. Niedawno w pewnym porcie spotkałem kilku jej oficerów. Tego wieczoru dotarły do nas pogłoski o upadku Niemiec i ze wzruszeniem słuchałem pobożnych życzeń tych Brytyjczyków. Te

pogłoski, o czym z pewnością już wiesz, okazały się przedwczesne, ale zanim ten list do Ciebie dotrze, może już być po Niemczech. A wtedy klęska Japonii do kwestii najwyższej roku.

Poznałem dwóch pilotów, którzy latali nad Tokio. Opowiedzieli mi, jakie to było uczucie —podobno całkiem miłe, bo żaden samolot z ich grupy nie został trafiony (moja eskadra nie miała tyle szczęścia). Wracali właśnie do Stanów po wykonaniu zadania i bardzo cieszyli się z tego powodu. Byli jednak spięci, mieli zacięte miny i przesadnie okazywali swoje uczucia. Piloci mają w sobie coś z koni wyścigowych — niemal chorobliwie rozwiniętą potrzebę rywalizacji. Mam nadzieję, że inni mnie tak nie postrzegają.

Taki jest jednak dowódca naszej eskadry, podpułkownik Wilson (mogę to napisać, bo on nie cenzuruje już naszej poczty). Dowodzi już ponad cztery lata, a wciąż sprawia wrażenie tego samego dobrze wychowanego absolwenta Yale, jakim był na początku. Mimo to otacza go aura człowieka, który zatrzymał się w rozwoju. Oddał wojnie to, co miał w sobie najlepszego, i nigdy już nie zostanie tym, kim miał być (po wojnie zamierza przejść do dyplomacji).

Raz czy dwa zdrowo padało, ale poza tym pogoda była dobra — ostre słońce i lśniące niebieskie morze, co pomaga w lataniu. Nie pomaga nam natomiast silna fala. Stara łajba kiwa się i kołysze, co chwila wierci się jak tancerka hula, a wtedy wszystko spada na podłogę. Morska kołysanka, że tak się wyrażę. A teraz idę spać.

*Twój kochający
Larry*

Ten list robił wrażenie, zawarte w nim spostrzeżenia cechował posępny smutek. Zwłaszcza jedno zdanie utkwiło mi w pamięci — „Oddał wojnie to, co miał w sobie najlepszego,

i nigdy już nie zostanie tym, kim miał być" — bo pasowało jak ulał do Chalmersa, a nie tylko do dowódcy jego eskadry. Trzeci list datowany był 4 lipca 1945 roku:

Najdroższa Mamo,

Jesteśmy prawie na równiku i upał daje się we znaki, aleja nie narzekam. Jeżeli jutro nadal będziemy stali na kotwicy przy tym atolu, postaram się zejść z okrętu i popływać, czego nie robiłem od miesięcy, odkąd wypłynęliśmy z Pearl. Ale jedną z największych codziennych przyjemności jest dla mnie wieczorny prysznic, z którego korzystam przed pójściem spać. Woda nie jest zimna, bo morze o temperaturze ponad 30 stopni nie potrafi jej schłodzić, a poza tym należy ją oszczędzać, ponieważ ta, którą mamy na pokładzie, jest odsalaną wodą morską. Mimo to lubię ten prysznic.

Co mi się jeszcze marzy — świeże jajka na śniadanie, szklanka zimnego mleka, żeglowanie u wybrzeży Point, a także okazja, żeby się i porozmawiać z tobą, Mamo, w naszym ogrodzie między górami a morzem. Z wielką przykrością dowiedziałem się, że jesteś chora i że masz kłopoty ze wzrokiem. Podziękuj, proszę, w moim imieniu pani Truttwell (witam, pani Truttwell), za to, że czyta Ci na głos.

Nie martw się o mnie. Mamo, nie ma powodu. Po pełnym wrażeń okresie (kiedy straciliśmy podpułkownika Wilsona i wielu, wielu innych) toczyliśmy bezpieczną wojnę. Tak bezpieczną, że mam poczucie winy, ale nie aż takie, by wyskoczyć za burtę i ruszyć wplaw do Japonii. Dobre wiadomości stamtąd, co? — mam na myśli zniszczenie ich miast. Teraz już nie jest tajemnicą, że zrobimy z Japonią to samo, co zrobiliśmy z pewną wyspą (pomińmy jej nazwę), na którą tak często latałem.

*Kochający Cię,
Larry*

Schowałem listy do koperty. Zdawało się, że wyznaczają punkty na krzywej. Chłopiec, czy też mężczyzna, który je napisał, przeszedł od zagorzałego idealizmu w pierwszym liście do budzącej szacunek dojrzałości w drugim, by w trzecim popaść w swego rodzaju zmęczenie. Ciekaw byłem, co takiego Chalmers widział w swoich listach, że chciał je czytać na głos synowi.

Odwróciłem się do dziewczyny, która nie ruszyła się z podnóżka.

— Czytała pani te listy, Betty?

Podniosła głowę. Jej oczy miały ponury, nieobecny wyraz.

— Przepraszam, zamyśliłam się.

— Czytała pani te listy?

— Niektóre. Chciałam się przekonać, o co było tyle hałasu. Moim zdaniem są nudne. A tego o bombardowaniu Okinawy po prostu nie znoszę.

— Mogę wziąć te trzy, które przeczytałam?

— Czemu nie, proszę zatrzymać wszystkie. Gdyby ojciec je tu znalazł, musiałabym się tłumaczyć, skąd je wzięłam. Dla Nicka byłby to kolejny gwóźdź do trumny.

— On nie jest w trumnie. Takie gadanie nie przyniesie nic dobrego.

— Proszę się nie bawić w mojego ojca.

— Dlaczego nie? Nie wierzę, że ludzie rodzą się wszechwiedzący, a z biegiem lat wszystko zapominają.

Pozytywnie zareagowała na mój ostry ton.

— To teoria poznania Platona. Ja też w nią nie wierzę. — Zsunęła się z podnóżka, otrząsnęła z letargu i podeszła do mnie. — Może odda pan te listy panu Chalmersowi? Nie musiałby mu pan mówić, skąd je wziął.

— Jest w domu?

— Niestety, nie mam pojęcia. Nie przesiaduję całymi dniami przy oknie, obserwując dom Chalmersów. — I uśmiechając się słabo, dodała: — W każdym razie nie spędzam tu więcej niż sześć, osiem godzin dziennie.

- Nie sądzi pani, że czas zerwać z tym nawykiem?
Spojrzała na mnie, rozczarowana.
- Pan też jest przeciwko Nickowi?
- Oczywiście, że nie. Ale ja go właściwie nie znam. Znam natomiast panią. I nie mogę patrzeć, jak siedzi tu pani uwięziona, mając do wyboru dwa równie przygnębiające wyjścia.
- Ma pan na myśli Nicka i mojego ojca? Nie jestem między nimi uwięziona.
- A jednak, jest pani jak ta księżniczka w wieży. Ta wojenka z ojcem, obliczona na wyczerpanie przeciwnika, może wydaje się pani walką o wolność, ale nią nie jest. Pani się tylko jeszcze bardziej z nim wiąże. Nawet jeżeli uda się pani wyrwać, to nie na wolność. Ułożyła to pani tak, że przejmie panią inny wymagający mężczyzna. Mam tu na myśli Nicka.
- Nie ma pan prawa go atakować...
- Atakuję panią — przerwałem jej. — A raczej sytuację, w jaką się pani wplątała. Dlaczego się pani z tego wyrwie?
- I gdzie miałabym się podziać?
- Proszę mnie o to nie pytać. Ma pani dwadzieścia pięć lat.
- Ale się boję.
- Czego?
- Nie wiem. Po prostu się boję. — Po chwili milczenia podjęła zduszonym głosem: — Pan wie, co się stało z moją matką. Mówiłam panu, prawda? Wyglądała przez to okno... wtedy miała tu pokój do szycia... i zobaczyła światło w domu Chalmersów, chociaż podobno ich nie było. Poszła tam, a włamywacze wybiegli i ją przejechali. Zginęła.
- Dlaczego ją zabili?
- Nie wiem. Może to był zwyczajny wypadek.
- Po co włamali się do Chalmersów?
- Nie wiem.
- Kiedy to się stało, Betty?
- Latem czterdziestego piątego roku.

— Była pani za mała, żeby to pamiętać, mam rację?

— Tak, ale ojciec powiedział mi, co się stało. Od tej pory nie opuszcza mnie strach.

— Nie wierzę. Tej nocy, kiedy pani Trask i Harrow przyjechali do Chalmersów, nie zachowywała się pani jak ktoś, kto się boi.

— Mimo to bałam się okropnie. Zresztą nie powinnam była tam chodzić. Teraz oni oboje nie żyją.

Zaczynałem rozumieć ten strach, który trzymał ją w szponach. Wierzyła albo podejrzewała, że Nick zabił zarówno Harrowa, jak panią Trask, a siebie widziała w roli katalizatora. Może gdzieś w mrocznych zakamarkach jej umysłu, poza sferą pamięci i słów, czaiło się fałszywe poczucie winy i świadomość, że to ona, jako niemowlę, zabiła swą matkę na ulicy.

ROZDZIAŁ 27

Przejazd samochodu pod oknem oderwał mnie od przeszłości. Był to czarny rolls. Chalmers wysiadł zza kierownicy i niepewnym krokiem przeszedł przez dziedziniec do swojego domu. Otworzył kluczem drzwi i wszedł do środka.

— A teraz przez panią ja też to robię — zwróciłem się do Betty.

— Co?

— Obserwuję dom Chalmersów. Chociaż nie ma w nich nic szczególnie ciekawego.

— Może i nie. Ale to bardzo niezwykli ludzie, z gatunku tych, których inni obserwują.

— A dlaczego oni nie obserwują nas?

Wczuła się w mój nastrój.

— Bo myślą tylko o sobie. My ich w ogóle nie obchodzą-
my- — Uśmiechnęła się niewesoło. — No dobrze, rozumiem.
Ja też mam bardziej interesować się sobą.

— Albo czymkolwiek innym. Co panią właściwie interesuje?

— Historia. Dostałam nawet z innego miasta propozycję stypendium. Ale uznałam, że jestem potrzebna tutaj.

— Żeby robić karierę obserwatorce domu?

— Dopiął pan już swego. Niech pan tego nie psuje.

Zostawiłem ją, schowałem listy do bagażnika mojego samochodu i przeszedłem przez jezdnię do domu Chalmersów. Z opóźnieniem zareagowałem na śmierć matki Betty, która nagle wydała mi się nieodłączną częścią tej sprawy. Chalmers mógłby mi pomóc to zrozumieć, gdyby zechciał.

Osobiście otworzył mi drzwi. Zatrokana mina jeszcze bardziej wydłużyła jego kościstą brązową twarz. Jego opalenizna miała niezdrowy odcień, w czerwonych oczach malowało się zmęczenie.

— Nie sądziłem, że się jeszcze spotkamy, Archer — powiedział uprzejmym, obojętnym tonem. — Odniosłem wrażenie, że żona zerwała stosunki dyplomatyczne.

— Mimo to mam nadzieję, że możemy porozmawiać. Jak się miewa Nick?

— Całkiem nieźle — odparł, po czym ciągnął ostrożnie: — Oboje z żoną jesteśmy panu wdzięczni za pomoc, mamy po temu powody. Chcę, żeby pan to wiedział. Niestety, stanął pan pomiędzy Truttwellem i doktorem Smitheramem. Oni nie potrafią ze sobą współpracować, a w tych okolicznościach musimy się trzymać Smitherama.

— Doktor bierze na siebie nie byle jaką odpowiedzialność.

— Pewnie tak. Ale to już nie pańska sprawa. — Chalmers trochę się nabzdyczył. — Mam nadzieję, że nie przyszedł pan tu atakować doktora Smitherama. W takiej sytuacji trzeba mieć w kimś oparcie. Wie pan, nikt nie jest samotną wyspą. — Zaskoczył mnie tym cytatem. — Sami nie udźwigniemy ciężaru tych problemów.

Niepokoił mnie jego pełen gniewu smutek.

— Zgadzam się z panem. Mimo wszystko chciałbym wam pomóc.

Przyjrzał mi się podejrzliwie.

— W jaki sposób?

— Zaczynam czuć, o co chodzi w tej sprawie. Moim zdaniem jej początki sięgają czasów, kiedy Nicka nic było

jeszcze na świecie, i jego rola jest całkiem niewinna. Nie obiecuję, że całkowicie oczyszczę go z podejrzeń. Ale mam nadzieję udowodnić, że nie jest sprawcą, tylko kozłem ofiarnym.

— Chyba niezupełnie pana rozumiem — rzekł Chalmers. — Proszę, niech pan wejdzie.

Zaprowadził mnie do gabinetu, w którym cała sprawa się zaczęła. Poczułem, że duszę się w ciasnocie, jak gdyby wszystko, co stało się w tym pokoju, działa się nadal, pozbawiając nas przestrzeni i powietrza. Uderzyła mnie myśl, że Chalmers, czując na karku tchnienie historii swojej rodziny, pewnie też stale ma wrażenie, że jest mu ciasno i duszno.

— Napije się pan sherry?

— Nie, dzięki.

— Wobec tego ja też nie. — Odsunął obrotowy fotel sprzed biurka i usiadł naprzeciwko mnie, po drugiej stronie wielkiego składanego stołu. — Zdaje się, że chciał pan zapoznać mnie z grubsza z sytuacją.

— Spróbuję, przy pańskiej pomocy.

— A w czym ja mogę pomóc? Nie miałem wpływu na rozwój wydarzeń. — Bezradnie machnął ręką.

— Wobec tego bez pańskiego udziału. Rozmawiałem właśnie z Betty Truttwell o śmierci jej matki.

— Tragiczny wypadek.

— Myślę, że mogło to być coś więcej niż zwykły wypadek. Jeśli dobrze zrozumiałem, pani Truttwell była najbliższą przyjaciółką pańskiej matki?

— Istotnie. W ostatnich dniach życia matki pani Truttwell była dla niej wspanią. Jeżeli mógłbym jej cokolwiek zarzucić, to tylko to, że nie poinformowała mnie, jak poważny jest stan matki. Wówczas byłem jeszcze na morzu i nie zdawałem sobie sprawy, że mama stoi nad grobem. Wyobraża pan sobie, co czułem, kiedy mój okręt przybił w połowie lipca do zachodniego wybrzeża i dowiedziałem się, że obie nic

żyją. — Utkwił we mnie zatroskane spojrzenie niebieskich oczu. — A teraz pan mi mówi, że śmierć pani Truttwell może nie była wypadkiem.

— W każdym razie stawiam to pod znakiem zapytania. Chociaż kwestia wypadek czy morderstwo nie jest tu najbardziej istotna. Jeżeli ktoś kogoś zabija w trakcie popełniania przestępstwa, w świetle prawa tak czy owak jest to morderstwo. Zaczynam jednak podejrzewać, że pani Truttwell została zabita z premedytacją. Jako najbliższa przyjaciółka pańskiej matki zapewne znała wszystkie jej tajemnice.

— Matka nie miała tajemnic. Cieszyła się powszechnym szacunkiem.

Chalmers wstał ze złością, wprawiając skrzypiący fotel obrotowy w ruch. Odwrócił się do mnie plecami, tak że przypominał mi upartego chłopczyka. Przed nim wisiał prymitywny obraz ukrywający drzwi sejfu — żaglowiec, nadzy Indianie i maszerujący po niebie hiszpańscy żołnierze.

— Jeżeli Truttwellowie oczerniali moją matkę, pozwę ich do sądu o zniesławienie — oświadczył.

— Nic podobnego się nie wydarzyło, proszę pana. Nikt nie powiedział złego słowa o pańskiej matce. Próbuję ustalić, kim byli ludzie, którzy włamali się do państwa domu w czterdziestym piątym roku.

Odwrócił się do mnie.

— Z całą pewnością matka ich nie znała. Jej znajomi należeli do najbardziej szanowanych ludzi w Kalifornii.

— Nie wątpię. Ale włamywacze prawdopodobnie znali pańską matkę i zapewne wiedzieli, co takiego znajduje się w domu, że warto było się włamać.

— Mogę to panu wyjaśnić — rzekł Chalmers. — Matka trzymała w domu pieniądze. Odziedziczyła je po moim ojcu, razem z tym nawykiem. Stale ją namawiałem, żeby wpłaciła je do banku, ale bez skutku.

— Czy włamywacze je ukradli?

— Nie. Były nietknięte, kiedy wróciłem z morza do domu. Ale matka nie żyła. Tak samo jak pani Truttwell.

— Czy mówimy o dużych pieniądzech?

— O tak, bardzo dużych. O kilkuset tysiącach dolarów.

— Skąd pochodziły?

— Mówiłem już, że matka odziedziczyła je po ojcu. — Obrzucił mnie bladym, podejrzliwym spojrzeniem, jakbym znów miał zamiar ją obrazić. — Sugeruje pan, że te pieniądze nie należały do niej?

— Ależ skąd. Czy nie moglibyśmy o niej zapomnieć na chwilę?

— Ja nie mogę — oświadczył i dodał z czymś na kształt pośpnej dumy: — Myśl o matce nie opuszcza mnie ani na moment.

Odczekałem chwilę i spróbowałem znowu:

— Już mówię, o co mi chodzi. W tym domu, konkretnie w tym pokoju, w odstępie dwudziestu trzech lat dokonano dwóch włamań, a w każdym razie kradzieży. Moim zdaniem te zdarzenia są powiązane.

— W jaki sposób?

— Przez sprawców.

W oczach Chalmersa malowało się zdziwienie. Znowu usiadł naprzeciwko mnie.

— Chyba za panem nie nadażam.

— Po prostu usiłuję powiedzieć, że ci sami ludzie, z tych samych powodów, są związani i z jednym, i z drugim włamaniem. Wiemy, kto dokonał ostatniego. Pański syn, Nick, który działał pod naciskiem dwóch osób... Jean Trask i Sidneya Harrowa.

Chalmers nachylił się i podparł czoło ręką. Jego łysina lśniła bezbronne jak mnisia tonsura.

— Czy on ich zabił?

— Jak panu wiadomo, wątpię, ale nie potrafię udowodnić, że tego nie zrobił. Na razie. Wróćmy jednak do tych włamań. Nick zabrał złotą szkatułkę, w której znajdowały się pańskie

listy. — Pilnowałem się, by nie wspomnieć o jego matce. — Listy wziął pewnie przypadkiem. Chodziło o złotą szkatułkę, zależało na niej pani Trask. Wie pan dlaczego?

— Zapewne dlatego, że była złodziejką.

— A jednak ona tak nie uważała. Zupełnie szczerze mówiła o tej szkatułce. Podobno należała do jej babki, a kiedy ta umarła, dziadek pani Trask dał ją pańskiej matce.

Chalmers jeszcze bardziej zwiesił głowę. Podtrzymującymi ją palcami przeczesał włosy.

— Mówi pan o panu Rawlinsonie, prawda?

— Niestety tak.

— Dla mnie jest to niebywale przygnębiające — oświadczył. — Niewinny związek starszego mężczyzny z dojrzałą kobietą stawia pan w niewłaściwym świetle...

— Zapomnijmy na razie o tym związku.

— Nie potrafię — odparł. — Nie potrafię o tym zapomnieć. — Osłoniętą dłońmi i ramionami głowę przysunął jeszcze bliżej stołu.

— Proszę pana, ja nikogo nie osądzam, a już z pewnością nie pańską matkę. Chcę tylko wykazać związek pomiędzy nią a Samuelem Rawlinsonem. Mniej więcej w czasie, kiedy doszło tu do włamania, Rawlinson prowadził bank Pasadena Occidental, który zbankrutował w wyniku malwersacji. Oskarżono o nią jego zięcia, Eldona Swaina. Zapewne słusznie, ale ktoś podsunął mi myśl, że to Rawlinson mógł obrobić własny bank.

Chalmers wyprostował się sztywno.

— Kto panu podsunął coś takiego, na miłość boską?

— Kolejna osoba przewijająca się w tej sprawie... niejaki Randy Shepherd, który odsiedział wyrok za włamania.

— I pan wierzy w słowo kogoś takiego, pozwala mu pan kłaść imię mojej matki?

— Czy ktoś coś mówił o pańskiej matce?

— Czyżby nie zamierzał mi pan właśnie przedstawić odkrywczej teorii, iż matka wzięła skradzione pieniądze od tego rozpustnika? Czy nie to roi się w pańskiej chorej głowie?

Do oczu napłynęły mu łzy dzięki wściekłości. Wstał, mrugając, i otwartą dłonią spróbował uderzyć mnie w twarz. Z kiepskim skutkiem. Złapałem go za nadgarstek.

— Szkoda, że nie potrafimy się porozumieć, panie Chalmers. Przykro mi.

Wyszedłem, wsiadłem do samochodu, zawróciłem i zjechałem ze wzgórza na autostradę. Miasto na dole wciąż spowijała szara mgła.

ROZDZIAŁ 28

W głębi łądu, w Pasadenie, słońce przypiekało niemiłosiernie. Na jezdni przed domem pani Swain bawiły się dzieci. Stojący przy krawężniku cadillac Truttwella przyciągał je jak magnes.

Prawnik siedział z przodu, zagłębiając się w urzędowych papierach. Z niecierpliwością podniósł na mnie wzrok.

— Nie śpieszyło się panu.

— Coś mi wypadło. Poza tym nie stać mnie na cadillaca.

— A mnie nie stać na stratę czasu i czekanie na innych. Ta kobieta obiecała, że będzie tu w południe.

Mój zegarek wskazywał dwunastą trzydzieści.

— Pani Swain jedzie z San Diego?

— Tak przypuszczam. Dam jej czas do pierwszej.

— Może zepsuł się samochód, jest dosyć stary. Mam nadzieję, że nie stało jej się nic złego.

— Na pewno nie.

— Chciałbym podzielić pańską pewność. Wczoraj wieczorem widziano w Hemet głównego podejrzanego o zabójstwo jej córki. Podobno jechał w tę stronę kradzionym samochodem.

— O kim pan mówi?

— O Randym Shepherdzie. Byłym skazańcu, który pracował kiedyś u pani Swain i jej męża.

Truttwell nie okazał zainteresowania. Sięgnął po swoje papiery i szeleszcząc, potrząsnął nimi w moją stronę. O ile mogłem dojrzeć, były to kserokopie dokumentów rejestracyjnych Fundacji Smitherama.

Spytałem prawnika o te papiery. Nie odpowiedział, nawet nie zaszczycił mnie spojrzeniem. Zirytowany tak niegrzecznym zachowaniem, poszedłem do swojego wozu i wyjąłem z bagażnika kopertę z listami.

— A przy okazji, czy wspominałem panu, że odzyskałem listy? — rzuciłem obojętnym tonem.

— Listy Chalmersa? Dobrze pan wie, że nic pan nie mówił. Skąd pan je wziął?

— Z mieszkania Nicka.

— Wcale mnie to nie dziwi — odparł. — Przyjrzyjmy się im.

Wsunąłem się na przednie siedzenie obok niego i podałem mu kopertę. Otworzył ją i rzucił okiem na zawartość.

— Boże, znowu powraca przeszłość. Pan wie, że Estelle Chalmers żyła tymi listami. O ile pamiętam, te wczesne były do niczego. Ale w miarę praktyki epistolarny styl Larry'ego się wyrobił.

— Czytał je pan?

— Niektóre. Estelle nie dała mi wyboru. Była taka dumna ze swojego młodego bohatera. — W jego tonie dawało się wyczuć leciutką ironię. — Pod koniec, kiedy całkiem straciła wzrok, prosiła nas... to znaczy mnie i moją żonę... żebyśmy na bieżąco czytali jej na głos każdy nowy list. Próbowaliśmy ją namówić, żeby zaangażowała pielęgniarkę do towarzystwa, ale się nie zgodziła. Bardzo ceniła sobie prywatność, co nasilało się z wiekiem. Główny ciężar opieki nad nią spadł na moją żonę. — I dodał z cichym żalem: — Nie powinienem był dopuścić, żeby moją młodą żonę spotkał taki los.

Pogrzyżył się w milczeniu, które w końcu przerwałem:

— Co dolegało pani Chalmers?

— Zdaje się, że jaskra.

— Na jaskrę się nie umiera.

— Fakt. Moim zdaniem umarła z żalu... z żalu po stracie mojej żony. Przestała jadać, w ogóle nic nie robiła. Wbrew jej woli pozwoliłem sobie wezwać lekarza. Leżała na łóżku odwrócona twarzą do ściany i nie dała się zbadać, nawet nie pozwoliła na siebie popatrzeć. Nie pozwoliła mi też ściągnąć Larry'ego z morza do domu.

— Dlaczego?

— Wbrew oczywistym faktom twierdziła, że nic jej nie dolega. Myślę, że chciała umrzeć w samotności, bez świadków. Kiedyś Estelle była prawdziwą piękną i zachowała resztki urody prawie do końca. Poza tym na stare lata zrobiła się nieco skąpa. Zdziwiłby się pan, jak często występuje to u starszych kobiet. Pomysł ściągnięcia lekarza do domu czy wynajęcia pielęgniarki uważała za niebywałą rozrzutność. W gruncie rzeczy przekonała mnie tym narzekaniem na biedę. Chociaż przez cały czas była oczywiście bardzo zamożna.

Nigdy nie zapomnę dnia po jej pogrzebie. Larry w końcu wracał do domu, jednak w wyniku normalnego w tamtych czasach zamieszania dotarł tu z dwudniowym opóźnieniem. Ale wyznaczony przez sąd opiekun testamentu nie chciał czekać z kontrolą domu i tego, co się w nim znajduje. Jako bywalec sądowy znał Estelle od dziecka. Moim zdaniem wiedział, a przynajmniej podejrzewał, że trzymała pieniądze w domu, tak jak kiedyś sędzia Chalmers. No i oczywiście była ta próba włamania. Gdybym był wtedy w pełni przytomny, sprawdziłbym zawartość sejfów następnego dnia rano po włamaniu. Ale miałem własne kłopoty.

— Ma pan na myśli śmierć żony?

— Rzecz jasna, strata żony była największą katastrofą. Przejąłem na siebie całą odpowiedzialność za małą dziewczynkę. — Spojrzał na mnie z bolesną szczerością. — Chyba nie najlepiej wywiązałem się z tego zadania.

— Grunt, że ma pan to już za sobą. Betty jest dorosła. Sama musi dokonywać wyborów życiowych.

— Ale nie mogę dopuścić, żeby wyszła za Nicka Chalmersa.

— Zrobi to, jeśli wciąż będzie pan ją od wodził.

Truttwell po raz kolejny pograżył się w milczeniu. Sprawiał wrażenie, jakby po tylu latach nareszcie chciał nadrobić stracony czas. Gdy poznałem po jego oczach, że wrócił do terażniejszości, zapytałem:

— Nie domyśla się pan, kto zabił pańską żonę?

Pokręcił białą głową.

— Policji nie udało się znaleźć ani jednego podejrzanego.

— Kiedy dokładnie zginęła?

— Trzeciego lipca czterdziestego piątego roku.

— Jak do tego doszło?

— Niestety, niewiele wiem. Jedynym żyjącym świadkiem była Estelle Chalmers, ale straciła wzrok, więc nic nie widziała. Moja żona chyba zauważyła, że w domu Chalmersów dzieje się coś podejrzanego, i poszła to sprawdzić. Złodzieje wybiegli za nią na ulicę i ją przejechali. Wóz nie należał do nich, był kradziony. Porzucili go w krzakach pod San Diego. Na zderzaku policja znalazła dowody świadczące o tym, że właśnie nim zabito moją żonę. Mordercy zbiegli prawdopodobnie za granicę.

Czoło prawnika lśniło od potu. Otarł je jedwabną chusteczką.

— Niestety, nie potrafię panu powiedzieć nic więcej na temat wydarzeń tamtej nocy. Byłem w sprawach zawodowych w Los Angeles. Wróciłem do domu nad ranem i stwierdziłem, że żona leży w kostnicy, a moją córeczką zajmuje się policjantka.

Głos mu się załamał; choć raz Truttwell odsłonił swoje wnętrze. Ból, z którym przyszło mu żyć, trawił go tak, że wysał z niego całą energię życiową, przez co prawnik wydawał się kimś mniejszego formatu niż mężczyzna, jakim był teraz czy niegdys.

— Bardzo przepraszam, ale musiałem zadać te pytania.

- Nie bardzo rozumiem, jaki mają związek ze sprawą.
- Ja też nie, na razie. Kiedy panu przerwałem, opowiadał pan o tym, jak opiekun testamentu badał dom.
- Faktycznie. Jako przedstawiciel prawny rodziny Chalmersów wpuściłem go do domu. Otworzyłem też sejf, bo nieco wcześniej Estelle podała mi kombinację. Okazało się, że jest wypchany pieniędzmi.
- Dużo tego było?
- Nie pamiętam dokładnej sumy. Ale z pewnością setki tysięcy dolarów. Przeliczenie ich zajęło opiekunowi prawie cały dzień, mimo że część była w banknotach o dużym nominale, nawet po dziesięć tysięcy.
- Czy wie pan, skąd pochodziły te pieniądze?
- Część prawdopodobnie zostawił jej mąż. Ale Estelle owdowiała młodo i dla nikogo nie było tajemnicą, że w jej życiu pojawiali się inni mężczyźni. Niektórzy bardzo zamożni. Przypuszczam, że albo dawali jej pieniądze, albo radzili, jak je robić.
- I jak unikać płacenia podatków?
- Truttwell niespokojnie przesunął się na siedzeniu samochodu.
- Tę kwestię możemy sobie chyba darować. Wszystko to dawne, odległe dzieje.
- A mnie się wydaje, że bliskie i współczesne.
- Skoro już koniecznie musi pan wiedzieć, kwestia podatków zmarła śmiercią naturalną — odparł niecierpliwie. — Przekonałem władzę, żeby naliczyły podatek spadkowy od całej kwoty. Nie mieli możliwości wytropienia źródła pochodzenia pieniędzy.
- A mnie właśnie interesuje to źródło. Domyślam się, że jednym z mężczyzn w życiu pani Chalmers był Rawlinson, bankier z Pasadeny.
- Owszem, przez wiele lat. Ale na długo przed jej śmiercią.
- Niezupełnie — zaprotestowałem. — W jednym z tych listów, z jesieni czterdziestego trzeciego roku, Lany prosi

matkę, żeby pozdrowiła od niego Rawlinsona. Co oznacza, że wciąż się z nim widywała.

— Naprawdę? A jaki był stosunek Larry'ego do Rawlinsona?

— Z listu trudno wywnioskować.

Mogłem udzielić Truttwellowi bardziej wyczerpującej odpowiedzi, postanowiłem jednak nie ujawniać, że rozmawiałem z Chalmersem, przynajmniej przez jakiś czas. Wiedziałem, że prawnikowi by się to nie spodobało.

— Do czego pan zmierza, Archer? Chyba nie sugeruje pan, że pieniądze pani Chalmers pochodziły od Rawlinsona?

Zupełnie jakby wcisnął przycisk zamykający obwód elektryczny, z frontowego pokoju pani Swain dobiegł dzwonek telefonu. Zabrzęczał dziesięć razy i ucichł.

— To pan wpadł na ten pomysł — powiedziałem.

— Ja tylko mówiłem ogólnie o mężczyznach w życiu Estelle. Nie wyróżniałem Samuela Rawlinsona. Wie pan doskonale, że defraudacja go zrujnowała.

— Nie jego, tylko bank.

Truttwell zrobił zdziwioną minę.

— Chyba nie twierdzi pan, że to on sprzeniewierzył pieniądze?

— Słyszałem i taką wersję.

— Serio?

— Trudno powiedzieć. Usłyszałem ją od Randy'ego Shepherda, a rzecz wyszła od Eldona Swaina. Co akurat nie skłania do tego, żeby w to wierzyć.

— Z pewnością nie. Wiemy, że Swain uciekł z pieniędzmi.

— Wiemy tylko, że uciekł. Prawda jednak nie zawsze jest taka oczywista, przeciwnie... zwykle jest równie złożona jak ludzie, którzy ją tworzą. Proszę sobie wyobrazić taką możliwość: Swain podkraść z banku trochę pieniędzy, a Rawlinson przyłapał go na tym i sam wziął o wiele więcej. Potem ukrył Pieniądze w sejfie pani Chalmers, tyle że ona zmarła, zanim udało mu się je odzyskać.

Truttwell spojrział na mnie z przerażeniem i ciekawością zarazem.

— Ma pan pokretną wyobraźnię, Archer. — Po czym dodał: — Zna pan dokładną datę tej kradzieży?

Zajrzałem do czarnego notesu.

— Pierwszego lipca czterdziestego piątego roku.

— Czyli raptem ze dwa tygodnie przed śmiercią Estelle Chalmers. To wyklucza możliwość, którą pan sugeruje.

— Czyżby? Rawlinson nie wiedział, że ona umrze. Być może planowali skorzystać z tych pieniędzy, żeby wyjechać gdzieś i żyć razem.

— Starzec i niewidoma kobieta? Przecież to śmieszne!

— A jednak niewykluczone. Ludzie ciągle robią śmieszne rzeczy. Poza tym w czterdziestym piątym Rawlinson wcale nie był taki stary. Miał mniej więcej tyle lat co pan teraz.

Truttwell oblał się rumieńcem. Był przeczulony na punkcie swojego wieku.

— Lepiej niech pan się nie afiszuje z tym swoim zwariowanym pomysłem. Mógłby pana pozwać o zniesławienie. — Odwrócił się i jeszcze raz przyjrzał mi się ciekawie. — Pan chyba nie jest najlepszego zdania o bankierach, mam rację?

— Niczym się nie różnią od innych. Ale trudno nie zauważyć, że stanowią znaczny procent defraudantów.

— To po prostu kwestia okazji.

— No właśnie.

Telefon w domu pani Swain znów się rozdzwonił. Zanim umilkł, naliczyłem czternaście dzwonek. W tym momencie moja wrażliwość była wyjątkowo wyczulona, miałem wrażenie, że ten dom chce mi coś powiedzieć.

O pierwszej prawnik wysiadł z samochodu i zaczął krążyć tam i z powrotem po wyszczerbionym chodniku. Jakiś mały błazen szedł za nim, małpując jego ruchy, dopóki Truttwell go nie przepędził. Wziąłem kopertę z listami z przedniego siedzenia i schowałem ją do metalowej kasetki na dowody rzeczowe w bagażniku mojego wozu.

Kiedy się wyprostowałem, na ulicę wjechał właśnie stary czarny volkswagen pani Swain i skręcił na wąski kawałek betonu, stanowiący podjazd do jej domu. Niektóre dzieciaki pomachały jej rękami i rzuciły: „Cześć!”.

Pani Swain wysiadła i podeszła do nas po brązowej stycziowej trawie. W obcisłej czarnej sukience i na wysokich obcasach poruszała się niezgrabnie. Przedstawiłem ją Trutwellowi, a oni oficjalnie podali sobie ręce.

— Najmocniej przepraszam, że musieliście na mnie czekać — powiedziała. — Właśnie miałam wyjechać, kiedy do mojego zięcia przyszedł policjant. Wypytywał mnie ponad godzinę.

— O co mu chodziło? — spytałem.

— O różne rzeczy. Chciał poznać dokładnie historię Randy'ego Shepherd'a od czasu, gdy pracował u nas jako ogrodnik w San Marino. Najwyraźniej uważał, że teraz Randy weźmie się do mnie. Aleja się go nie boję i nie wierzę, żeby to on zabił Jean.

— Podejrzewa pani kogoś? — spytałem.

— Mój mąż byłby do tego zdolny, gdyby nadal żył.

— Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nie żyje, proszę pani.

— Skoro umarł, to co się stało z pieniędzmi? — Nachyliła się ku mnie, wyciągając ręce jak przymierający głodem żebrak.

— Tego nikt nie wie.

Potrząsnęła mnie za ramię.

— Musimy je znaleźć. Jeżeli odzyska je pan dla mnie, podzielimy się po połowie.

W głowie usłyszałem przenikliwy pisk. Pomyślałem, że tak źle reaguję na tę biedną staruszkę, po czym uświadomiłem sobie, że pisk dobiega z zewnątrz.

To policyjny kogut wymachiwał biczem dźwięku nad miastem. Odgłos narastał, lecz wciąż dobiegał z daleka i nie miał związku z nami.

Od bulwaru dobiegł inny, bliższy dźwięk — pisk i zgrzytanie opon. W uliczkę wjechał czarny kabriolet mercury, ze

złożonym dachem. Na zakręcie wpadł w poślizg i roztrącił gromadkę dzieci jak konfetti, omal nie rozjeżdżając kilkoro z nich.

Mężczyzna za kierownicą miał ogoloną twarz i jaskrawoczerwone włosy, wyglądające na sztuczną perukę. Ale i tak poznałem Randy'ego Shepherd. On zaś poznał mnie. Minał nas, na końcu uliczki skręcił na północ i zniknął z widoku. W tym momencie u wylotu ulicy po drugiej stronie mignął wóz policyjny. Nie skręcił ani nie zwolnił, lecz dalej pędził bulwarem.

Pojechałem za Shepherdem, chociaż pościg nie miał sensu. On był na swoim terenie, a jego kradziony kabriolet rozwijał dużo większą prędkość niż mój prawie splanowany samochód. Mignął mi przez chwilę, tylko raz, gdy mknął przez most w oddali — jasnoczerwona peruka Shepherd płonęła za kierownicą jak sztuczny ogień.

ROZDZIAŁ 29

Znalazłem się w ślepej uliczce, zakończonej barykadą, za którą otwierał się głęboki wąwóz. Zgasilem silnik i siedziałem, próbując ustalić swoje położenie.

Mniej więcej na mojej wysokości myszołów rdzawosterny krążył nad koronami drzew w wąwozie. Wzdłuż łożyska niewidocznej rzeki rosły karłowate dęby i jawory. Po jakimś czasie uświadomiłem sobie, że ten wąwóz przecina także Locust Street, przy której mieszka Rawlinson. Ale ja byłem po drugiej stronie, wychodzącej na zachód.

Musiałem nadłożyć kawał drogi, żeby dojechać na Locust Street. Tam od razu rzucił mi się w oczy czarny kabriolet mercury ze złożonym dachem, zaparkowany przy krawężniku pół przecznicy od domu Rawlinsona. Kluczki tkwiły w stacyjce. Wyjąłem je i schowałem do kieszeni.

Zostawiłem samochód przed domem Rawlinsona i z niepokojem wszedłem na werandę, potykając się na złamanym schodku. Otwierając drzwi, pani Shepherd przytknęła palec do ust. W jej oczach malował się głęboki niepokój.

— Niech pan mówi cicho — szepnęła. — Pan Rawlinson właśnie się zdrzemnął.

— Czy możemy przez chwilę porozmawiać?

— Nie teraz. Jestem zajęta.

— Przyjechałem aż z Pacific Point.

Zdawało się, że to ją zafascynowało. Nie spuszczać oczu z mojej twarzy, cicho zamknęła za sobą drzwi i wyszła na werandę.

— Co słyszeć w Pacific Point?

Zabrzmiało to dosyć zdawkowo, ale prawdopodobnie miało zastąpić bardziej szczegółowe pytania, których bała się zadać. Sprawiała wrażenie, jakby pomimo wieku dopadła ją rozpacзлиwa, właściwa młodości niepewność.

— Stale to samo — odparłem. — Wszyscy mają kłopoty. Myślę, że wszystko zaczęło się od tego. — Pokazałem jej dyplomowe zdjęcie Nicka, które zabrałem Sidneyowi Harrowowi. Rzuciła na nie okiem i pokręciła głową.

— Nie wiem, kto to taki.

— Na pewno?

— Na pewno. — I dodała uroczyście: — W życiu nie widziałam tego młodego człowieka.

Prawie jej uwierzyłem. Ale zapomniała zapytać, kto to jest.

— Nazywa się Nick Chalmers. To zdjęcie miało być do dyplomu. Tyle że on go nie zrobi.

Nie zapytała „dlaczego?”, lecz widać to było w jej oczach.

— Nick leży w szpitalu, dochodzi do siebie po próbie samobójstwa. Jak mówiłem, kłopoty zaczęły się wtedy, gdy w mieście pojawił się niejaki Sidney Harrow i zaczął tropić Nicka. Miał ze sobą to zdjęcie.

— Skąd?

— Dostał od Randy'ego Shepherd.

Jej twarz powlekła się bladością, tak że stała się niemal szara.

— Po co pan mi to mówi?

— Bo najwyraźniej panią to interesuje. — I ciągnąłem tym samym cichym głosem: — Czy Randy jest teraz w domu?

Mimowolnie zerknęła w górę, co prawdopodobnie oznaczało, że Shepherd jest na piętrze. Ale nie odpowiedziała.

— Proszę pani, jestem prawie pewien, że on siedzi w domu.

Na pani miejscu nie próbowałbym go ukrywać. Szuka go policja, zjawia się tu lada chwila.

— Za co go ścigają tym razem?

— Za morderstwo. Za zabicie Jean Trask.

Jęknęła.

— Nic mi nie powiedział.

— Czy jest uzbrojony?

— Ma nóż.

— A pistolet?

— Nie zauważyłam. — Wyciągnęła rękę i dotknęła mojej piersi. — Czy jest pan pewien, że Randy dał to zdjęcie temu człowiekowi... temu, który pojechał do Point?

— Teraz już jestem pewny, proszę pani.

— Więc niech go piekło pochłonie — oświadczyła i zeszła po schodkach.

— Dokąd się pani wybiera?

— Do sąsiadów, wezwać policję.

— Ja bym tego nie robił.

— Pan może nie. Ale ja już dość się przez niego w życiu wycierpiałam. Nie zamierzam trafić jeszcze do więzienia.

— Niech mi pani pozwoli z nim porozmawiać.

— Nie. To ja nadstawiam karku. Wzywam policję. — Znowu odwróciła się ode mnie.

— Po co ten pośpiech? Najpierw musimy zabrać stąd pana Rawlinsona. Gdzie jest Randy?

— Na strychu. Pan Rawlinson jest w salonie od ulicy.

Weszła do domu i pomogła starcowi wyjść na dwór. Utykał, ziewał i mrugał w ostrym słońcu. Wpakowałem go na przednie siedzenie mojego samochodu i zawiozłem pod barykadę na końcu ulicy. W dzisiejszych czasach policja jak już strzela, to na całego.

Starzec odwrócił się do mnie, zniecierpliwiony.

— Niezupełnie rozumiem, co my tu właściwie robimy.

— Długo by trzeba opowiadać. Krótko mówiąc, dopinamy sprawę, która zaczęła się w lipcu czterdziestego piątego roku.

— Wtedy, kiedy Eldon Swain puścił mnie z torbami?
 — Jeżeli zrobił to Eldon.
 Rawlinson obrócił głowę i spojrzął na mnie; skóra na jego szyi ułożyła się w żylaste fałdy.
 — Czy ktokolwiek powątpiewa w jego winę?
 — Słyszałem już taką opinię.
 — Bzdura. On był kasjerem. Któż inny mógł sprzeniewierzyć tyle pieniędzy?
 — Na przykład pan.
 Zmrużył oczy, błyszczące w gęstej siatce zmarszczek.
 — Pan żartuje.
 — Nie. Chociaż przyznaję, że to tylko hipoteza.
 — Za to wyjątkowo obraźliwa — odciął się, ale bez specjalnego przekonania. — Czyja wyglądam na kogoś, kto zrujnowałby własny bank?
 — Nie, chyba że miał pan ważne powody.
 — A jakież ja mógłbym mieć powód?
 — Kobietę.
 — Jaką kobietę?
 — Estelle Chalmers. Umarła bogata.
 Udał krótkotrwałe oburzenie.
 — Obrzuca pan błotem pamięć wspaniałej kobiety.
 — Nie wydaje mi się.
 — A mnie tak. Jeżeli nadal zamierza pan to robić, nie mamy o czym rozmawiać. — Zrobił ruch, jakby chciał wysiąść z samochodu.
 — Niech pan tu lepiej zostanie. W pańskim domu nie jest bezpiecznie. Na strychu ukrywa się Randy Shepherd, lada chwila będzie tu policja.
 — Czy to sprawka pani Shepherd? To ona go wpuściła?
 — Prawdopodobnie nie miała wyboru. — Znowu wyjąłem zdjęcie Nicka i pokazałem je Rawlinsonowi. — Wie pan, kto to jest?
 Ujął zdjęcie spuchniętymi, powykręcany przez artretyzm palcami.

— Nie wiem, niestety, jak się nazywa. Domyślam się wprawdzie, kim jest, ale chyba nie o to panu chodzi.

— Chętnie posłucham pańskich domysłów.

— To ktoś bliski i drogi pani Shepherd. Na początku ubiegłego tygodnia widziałem to zdjęcie w jej pokoju. Potem zniknęło, a ona miała do mnie pretensję, że je zabrałem.

— Pretensję powinna mieć do Randy'ego Shepherd. To on je wziął. — Wyjąłem fotografię z jego rąk i schowałem ją do wewnętrznej kieszeni marynarki.

— Ma za swoje, nie powinna była go wpuszczać do mojego domu! — W wilgotnych oczach odbijał się starczy gniew. — Powiada pan, że zaraz tu będzie policja? Co Randy zmalował tym razem?

— Poszukują go za morderstwo. Za zabójstwo pańskiej wnuczki, Jean.

Nie odpowiedział, jedynie osunął się na siedzeniu. Było mi go żal. Kiedyś miał wszystko, z biegiem lat stopniowo to tracił, aż w końcu nie zostało mu prawie nic. A teraz do kompletu przeżył swoją wnuczkę.

Wyjrzałem za krawędź wawozu, z nadzieją, że w jego zielonej głębinie uda mi się zgubić ten pożyczony ból. Myszołów, którego obserwowałem z drugiej strony, stąd też był widoczny. Kiedy zawracał, jego rdzawe pióra błysnęły w słońcu.

— Wiedział pan o śmierci Jean?

— Tak. Wczoraj zadzwoniła do mnie Louise, moja córka. Ale nie mówiła, że zabił ją Shepherd.

— Moim zdaniem to nie on.

— Wobec tego o co tu chodzi?

— Policja go podejrzewa.

Nagle, jakby usłyszał, że o nim mówimy, Randy Shepherd pojawił się z boku domu Rawlinsona i spojrzał w naszą stronę. Miał na sobie panamę z szerokim rondem i pasiastą wstążką, a także przeżartą przez mole brązową kurtkę do gry w polo.

— Zaraz, chwileczkę! — krzyknął Rawlinson. — Przecież to mój kapelusz! I kurtka też!

Zaczął się gramolić z samochodu. Kazałem mu zostać na miejscu, takim tonem, że mnie posłuchał.

Shepherd ruszył powoli ulicą, usiłując wyglądać jak dżentelmen, który się wybrał na spacer. Nagle popędził do czarnego kabrioletu, jedną ręką przytrzymując za duży kapelusz. Przez całą minutę siedział w samochodzie, gorączkowo szukając kluczyków, po czym wysiadł i poszedł w kierunku alei.

Wyjące w oddali syreny zbliżały się, od ich zawodzenia światło dnia gęstniało. Shepherd stanął jak wryty, zamarł i nastawił uszu. Odwrócił się i z powrotem ruszył w naszą stronę; przed domem Rawlinsona zwolnił na chwilę, jakby się zastanawiał, czy nie wrócić do środka.

Na werandę wyszła pani Shepherd. Dwa wozy policyjne wjechały tymczasem w ulicę i podjeżdżały do jej męża. Shepherd obejrzał się przez ramię i popatrzył na długie wiktoriańskie fasady domów. Nagle puścił się biegiem w moją stronę. Panama spadła mu z głowy, poły kurtki trzepotały na wietrze.

Wysiadłem z samochodu, żeby odciąć mu drogę. Zrobiłem to bez namysłu, odruchowo. Radiowozy zahamowały gwałtownie. Wypadli z nich czterej policjanci i otworzyli ogień z rewolwerów.

Shepherd padł na twarz i przejechał kawałek po jezdni. Plamy na jego karku i z tyłu lekkiej kurtki ciemniały; wyglądały dużo bardziej realnie niż czerwona peruka, która zsuwała mu się z głowy.

Kula przebiła mi bark. Uderzyłem bokiem w otwarte drzwiczki mojego samochodu, przewróciłem się i udawałem, że jestem równie martwy jak Shepherd.

ROZDZIAŁ 30

Koniec końców wylądowałem nafaszerowany pentotalem na sali szpitalnej w Pasadenie. Chirurg usunął kulę, ale na jakiś czas ramię i bark miałem unieruchomione.

Na szczęście był to lewy bark. Słyszałem to wielokrotnie od policjantów i ludzi z prokuratury okręgowej, którzy przyszli odwiedzić mnie późnym popołudniem. Policjanci przeproszali mnie za zajście, jednocześnie sugerując, że to nie kula trafiła we mnie, tylko ja się na nią nadziałem. Proponowali mi wszelką możliwą pomoc i na moją prośbę zgodzili się podstawić mój samochód na szpitalny parking.

Ich wizyta zezłościła mnie jednak i zaniepokoiła. Czułem, że sprawa wymknęła mi się z rąk i przykuła mnie do szpitalnego łóżka. Pod ręką miałem telefon, więc zadzwoniłem do Truttwella. Gospodyni poinformowała mnie, że ani jego, ani Betty nie ma w domu. Wobec tego połączyłem się z jego kancelarią i zostawiłem swoje nazwisko i numer telefonu.

Później, z nadejściem nocy, wstałem z łóżka i otworzyłem drzwi szafy. Kręciło mi się w głowie, ale martwiłem się o swój czarny notes. Marynarka wisiała w szafie razem z resztą mojego ubrania. Notes, wprawdzie zakrwawiony i z dziurą po kuli, tkwił w kieszeni, do której go włożyłem, razem ze zdjęciem Nicka.

Kiedy wracałem do łóżka, podłoga uniosła się i walnęła mnie w prawy policzek. Na moment straciłem przytomność. Potem usiadłem i oparłem się o nogę łóżka.

Do pokoju zajrzała pielęgniarka z nocnej zmiany. Ładna, oddana pracy, nosiła czepek szpitala z Los Angeles. Nazywała się Cowan.

— Cóż pan wyrabia?

— Siedzę sobie na podłodze.

— Nie wolno. — Pomogła mi wstać i położyć się do łóżka. — Mam nadzieję, że nie próbował pan stąd uciec.

— Nie, chociaż to dobra myśl. Jak pani sądzi, kiedy mnie wypiszą?

— O tym decyduje lekarz. Może rano będzie mógł panu coś powiedzieć. Czy czuje się pan na siłach przyjąć gościa?

— Zależy, kto to taki.

— Starsza kobieta, nazywa się Shepherd. Czy ona ma coś wspólnego z tym Shepherdem...? — Przez delikatność nie dokończyła pytania.

— I owszem. — Wywołana pentotalem euforia zmieniła się w przygnębienie, ale poprosiłem pielęgniarkę, żeby wprowadziła mojego gościa.

— Nie boi się pan, że ona chce pana na coś naciągnąć?

— Nie. To nie w jej stylu.

Panna Cowan wyszła, a po chwili pojawiła się pani Shepherd. Wyglądało na to, że szara cera zostanie jej na zawsze. Ciemne oczy miała olbrzymie, jakby rozdęte pod wpływem wydarzeń, których była świadkiem.

— Przykro mi, że został pan ranny.

— Wylizę się. Gorzej z Randym.

— Po Shepherdzie nikt nie będzie płakał — oświadczyła. — Właśnie powiedziałam to policji, a teraz mówię panu. Był złym mężem, złym ojcem i źle skończył.

— Dużo tego złego.

— Wiem, co mówię — powiedziała uroczyście. — Bez względu na to, czy zabił pannę Jean, czy nie, ja wiem, co

zrobił własnej córce. Zmarnował jej życie i doprowadził ją do śmierci.

— Rita nie żyje?

Zatkało ją, gdy usłyszała, że znam imię jej córki.

— Skąd pan wie, jak moja córka miała na imię?

— Usłyszałem od kogoś. Chyba od pani Swain.

— Pani Swain nie znosiła Rity. Miała pretensje do mojej córki o wszystko, co się stało. Bez sensu. Kiedy pan Swain zainteresował się Ritą, w świetle prawa była jeszcze nieletnia. Ale własny ojciec stręczył ją Swainowi i wziął za nią pieniądze.

Wyrzucała z siebie słowa jak wulkan, którego erupcję wywołała śmierć męża.

— Czy Rita wyjechała ze Swainem do Meksyku?

— Tak.

— I tam umarła?

— Tak. Umarła tam.

— A skąd pani o tym wie?

— Od samego pana Swaina. Kiedy wrócił z Meksyku, Shepherd przyprowadził go do mnie. Powiedział, że Rita umarła i została pochowana w Guadalajarze.

— Czy miała dzieci?

Uciekła wzrokiem, po czym wbiła we mnie spojrzenie ciemnych oczu.

— Nie, ja nie mam wnuków ani wnuczek.

— Kim jest ten chłopak na zdjęciu?

— Na jakim zdjęciu? — spytała z teatralnym zdziwieniem.

— Jeżeli chce pani odświeżyć sobie pamięć, jest w kieszeni marynarki, w tej szafie.

Zerknęła na drzwi szafy.

— Mam na myśli zdjęcie, które Randy Shepherd ukradł z pani pokoju — wyjaśniłem.

Tym razem jej zdziwienie było autentyczne.

— Skąd pan wie? Jakim prawem wnika pan tak głęboko w moje sprawy rodzinne?

— Dobrze pani wie dlaczego. Próbuję zamknąć sprawę, która zaczęła się blisko ćwierć wieku temu. Pierwszego lipca czterdziestego piątego roku.

Zamrugnęła. Ale poza tym nieznacznym ruchem powiek jej twarz ani drgnęła.

— Tego dnia Swain okradł bank pana Rawlinsona.

— Czy aby na pewno?

— A słyszał pan inną wersję?

— Odkryłem nieco dowodów przemawiających za tym, że było inaczej. Zastanawiam się, czy Eldon Swain w ogóle miał te pieniądze.

— A któż inny mógłby je zabrać?

— Na przykład pani córka, Rita.

Zareagowała ze złością, ale nie aż taką, jak powinna.

— W czterdziestym piątym roku Rita miała szesnaście lat. Dzieci nie planują napadów na banki. Dobrze pan wie, że musiał to zrobić ktoś z pracowników.

— Na przykład pan Rawlinson'?

— Przecież pan wie, że to głupota.

— Chciałem sprawdzić, czy się pani na to nabierze.

— Musi się pan bardziej postarać. Nie wiem, dlaczego tak usilnie próbuje pan wybielić pana Swaina. Wiem, że to on ukradł pieniądze, a nie pan Rawlinson. Przecież ten biedak stracił wszystko! Od tej pory żyje na skraju ubóstwa.

— Z czego?

— Ma skromną emeryturę — odparła spokojnie. — A ja mam nieco oszczędności. Przez lata pracowałam jako salowa. Dzięki temu jakoś go utrzymuję.

Jej słowa brzmiały prawdziwie. W każdym razie ja jej wierzyłem.

Pani Shepherd widocznie wyczuła zmianę mojego nastawienia, bo spojrzała na mnie życzliwiej. Delikatnie dotknęła palcami mojego zabandażowanego barku.

— Biedaku, musi pan wypocząć. Nie powinien pan zaprzętać sobie głowy tymi wszystkimi pytaniami. Nie jest pan zmęczony?

Przyznałem, że i owszem.

— Więc niech pan się prześpi. — Jej głos działał jak środek nasenny. Przyłożyła dłoń do mojego czoła. — Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, posiedzę trochę przy panu. Lubię szpitalny zapach. Właśnie tu kiedyś pracowałam.

Usiadła w fotelu między szafą a oknem. Poduszki z imitacji skóry zaskrzypiały pod jej ciężarem.

Zamknąłem oczy i zacząłem oddychać wolniej. Ale ani mi się śniło spać. Leżałem, słuchając, co robi pani Shepherd. Siedziała bez ruchu. Zza okna dobiegały rozmaite dźwięki — szum samochodów, głos przedrzeźniacza, strojącego gardło przed wieczornym śpiewem. Zwlekał jednak z koncertem tak długo, aż moje nerwy napięły się w poczuciu, że wkrótce coś się wydarzy.

Poduszki z imitacji skóry skrzypnęły cichutko. Po podłodze z tworzywa sztucznego ledwie dostłyszalnie zaszurały stopy pani Shepherd, a potem rozległ się grzechot klamki oraz cichy dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi.

Otworzyłem oczy. Pani Shepherd nigdzie nie było widać. Pewnie zamknęła się w szafie. Nagle drzwi szafy otworzyły się powoli. Kobieta wyszła bokiem i podniosła zdjęcie Nicka do światła. Na jej twarzy malowały się miłość i tęsknota.

Zerknęła na mnie i zobaczyła, że mam otwarte oczy. Schowała jednak zdjęcie pod żakiet i bez słowa cicho wyszła z pokoju.

Nie odezwałem się, nic nie zrobiłem. Ostatecznie ta fotografia należała do niej.

Zgasilem światło i leżąc, słuchałem przedrzeźniacza. Teraz już śpiewał na całe gardło i śpiewał nadal, gdy zapadałem w sen. Śniło mi się, że jestem Nickiem, a pani Shepherd moją babką, która mieszkała kiedyś z ptakami w ogrodzie, w okręgu Contra Costa.

ROZDZIAŁ 31

Rano, gdy jadłem jajko w koszulce na rozpaćkanej grzance, zajrzał do mnie chirurg stażysta.

— Jak pan się czuje?

— Świetnie — skłamałem. — Ale nie odzyskam sił na takich porcyjkach. Kiedy będę mógł stąd wyjść?

— Niech pan się tak nie śpieszy. Muszę prosić, żeby się pan oszczędzał, przynajmniej przez tydzień.

— Nie mogę tu leżeć tak długo.

— Nie powiedziałem, że musi pan leżeć. Ale trzeba o siebie zadbać. Regularny tryb życia, niezbyt forsowne ćwiczenia fizyczne, potem odpoczynek, no i żadnych bijatyk.

— Jasne — przytaknąłem.

Przez cały ranek grzecznie wypoczywałem. Truttwell nie oddzwonił. Oczekiwanie na telefon od niego zaczęło mi przeszkadzać w odpoczynku, aż w końcu całkiem go zastąpiło.

Krótko przed południem znowu zadzwoniłem do kancelarii. Recepcjonistka poinformowała mnie, że Truttwella nie ma.

— Naprawdę go nie ma?

— Naprawdę. Nie wiem, gdzie może być.

Znów więc odpoczywałem i czekałem. Policjant z patrolu motocyklowego z Pasadeny przywiózł mi kluczyki do samo-

chodu i wyjaśnił, gdzie znajdę wóz na szpitalnym parkingu. Uznałem to za palec boży.

Po wczesnym lunchu wstałem z łóżka i zacząłem się ubierać. Ledwie włożyłem bieliznę, spodnie i buty, oblałem się potem i dostałem dreszczy. Narzuciłem na pierś i ramiona zakrwawioną koszulę i zakryłem ją marynarką.

W korytarzu pielęgniarki i salowe nadal wydawały lunch. Dotarłem do szarych metalowych drzwi wychodzących na schody przeciwpożarowe i zszedłem trzy piętra w dół, na parter.

Bocznym wyjściem wydostałem się na parking. Znalazłem swój samochód, wsiadłem i przez chwilę nic nie robiłem. Niezbyt forsowne ćwiczenia fizyczne, potem odpoczynek.

Ruch na zatłoczonej autostradzie odbywał się w żółtym tempie. Usiłowałem skupić się na jeździe, ale prowadziłem fatalnie. To, co się działo dookoła, co chwila umykało mojej uwagi. Raz musiałem nawet hamować z piskiem opon, żeby nie wpakować się w tył samochodu przede mną.

Pierwotnie miałem zamiar pojechać do Pacific Point, z trudem jednak dotarłem do zachodniego Los Angeles. Przecnię od domu, już na mojej ulicy, w lusterku wstecznym mignął mi brodaty mężczyzna ze zrolowaną pościelą. Kiedy się jednak obejrzałem, nikogo nie ujrzałem.

Zaparkowałem przy krawężniku i zewnętrznymi schodami wszedłem do swojego mieszkania. Zaledwie otworzyłem drzwi, rozległ się dzwonek telefonu, jakbym uruchomił dzwinkową bombę. Wziąłem aparat i usiadłem z nim w fotelu.

— Pan Archer? Tu Helen z poczty głosowej. Miał pan dwa pilne telefony, od pana Truttwella i panny Truttwell. Dzwoniłam do pańskiego biura.

Spojrzałem na elektryczny zegar. Była dopiero druga. Helen podała mi numer kancelarii Truttwella oraz jeszcze jeden, którego nie kojarzyłem, a który zostawiła jego córka.

— Coś jeszcze?

— Tak, ale to chyba była pomyłka, proszę pana. Szpital w Pasadenie twierdzi, że jest im pan winien sto siedemdziesiąt

dolarów. Powiedzieli, że w tej kwocie mieści się koszt sali operacyjnej.

— To nie pomyłka. Gdyby zadzwonili jeszcze raz, proszę im powiedzieć, że wysyłam czek pocztą.

— Tak, proszę pana.

Wyjąłem książeczkę czekową, sprawdziłem saldo i postanowiłem zadzwonić najpierw do Truttwella. Przedtem jednak poszedłem do kuchni i wrzuciłem na gazowego grilla mrożony stek. Skosztowałem mleka z lodówki, stwierdziłem, że nie skwaśniało, i wypilem pół litra. Na popitkę miałem ochotę walnąć sobie whisky, ale to właśnie byłoby niewskazane.

W kancelarii Truttwella telefon odebrał młodszy wspólnik, niejaki Eddie Sutherland. Powiedział, że szefa chwilowo nie ma, ale że wyznaczył mi spotkanie na czwartą trzydzieści. To bardzo ważne, żebym się stawił, chociaż Sutherland nie miał pojęcia dlaczego.

Wybierając numer, który zostawiła Betty, przypomniałem sobie, że jest to numer do mieszkania Nicka.

Telefon odebrała Betty.

— Halo?

— Tu Archer.

Wciągnęła powietrze.

— Przez cały dzień próbuję pana złapać.

— Czy Nick jest z panią?

— Nie. A szkoda. Tak się o niego martwię. Wczoraj po południu pojechałam do San Diego, żeby się z nim zobaczyć, ale mnie nie wpuścili.

— Kto pani nie wpuścił?

— Strażnik, który pilnował drzwi, a doktor Smitheram go poparł. Oni chyba uważali, że ojciec wysłał mnie na przespiegę. Udało mi się tylko rzucić okiem na Nicka, ale on też mnie zobaczył. Prosił, żebym go stamtąd wyciągnęła. Mówił, że trzymają go wbrew jego woli.

— Oni?

— Myślę, że miał na myśli doktora Smitherama. W każdym razie to on w nocy kazał go gdzieś przenieść.

— Dokąd?

— Nie jestem pewna, proszę pana. Moim zdaniem uwięzili go w klinice Smitherama. Tam właśnie zawiozła go karetka.

— Pani poważnie myśli, że Nick jest ich więźniem?

— Sama nie wiem, co myśleć. Ale się boję. Pomoże mi pan?

Odparłem, że najpierw to ona będzie musiała mi pomóc, skoro nie mogę prowadzić. Obiecała, że przyjedzie po mnie za godzinę.

Poszedłem do grilla i przewróciłem stek na drugą stronę. Z jednej strony skwierczał, z drugiej był zamrożony, jak znani mi schizofrenicy. Zastanawiałem się, jak szalony jest Nick Chalmers.

Na razie jednak miałem problem z ubraniem. Moja niezbyt bogata garderoba zawierała między innymi elastyczną nylonową koszulę, którą udało mi się włożyć, nie wkładając lewej ręki do rękawa. Dopełniłem stroju marynarką z miękkiej wełny.

Tymczasem mój schizofreniczny stek był już brązowy z obu stron, a w środku czerwony. Gdy wbiłem w niego widelec, na talerz wypłynęła krew. Oczekałem, aż przestygnie, i zjadłem go palcami.

Wypiłem resztę mleka, po czym usiadłem w fotelu w pokoju od ulicy i odpoczywałem. Chyba po raz pierwszy w życiu uświadomiłem sobie, jak człowiek się czuje na starość. Moje ciało domagało się specjalnych przywilejów, nie oferując nic w zamian.

Klakson samochodu Betty wyrwał mnie z drzemki. Kiedy niezdarnie gramoliłem się do jej wozu, obrzuciła mnie surowym spojrzeniem.

— Czy pan jest chory?

Niezupełnie. Dostałem kulkę w ramię.

— Dlaczego nic mi pan nie powiedział?

— Bo pewnie by pani nie przyjechała. A ja chcę uczestniczyć w zakończeniu tej historii.

— Nawet gdyby to miało pana zabić?

— Nie zabije.

O ile ja wyglądałam gorzej niż zwykle, o tyle ona wyglądała lepiej. W końcu uznała, że nie warto być gnomem mieszkającym w szarym podziemiu.

— Kto pana postrzelił, na miłość boską?

— Gliniarz z Pasadeny. Celował do kogo innego, a ja się napatoczyłem. Ojciec pani nie mówił?

— Nie widziałam się z nim od wczoraj. — Powiedziała to sztywno, jak gdyby wygłaszała oficjalne oświadczenie.

— Wyprowadza się pani z domu?

— Tak. Ojciec powiedział, że muszę wybierać: albo Nick, albo on.

— Jestem pewien, że nie mówił tego poważnie.

— Całkiem poważnie.

Ryknął silnik jej samochodu. W ostatniej chwili przypomniałem sobie, że listy wojenne Chalmersa zostały w bagażniku mojego wozu. Wysiadłem po nie i jeszcze raz przejrzałem te z wierzchu, gdy Betty jechała w kierunku autostrady.

Nagłówek drugiego listu sprawił, że zamarłem:

Ppor. L. Chalmers

Ss. Sorrel Bay (lotniskowiec 185)

15 marca 1945

Odwrociłem się do Betty.

— Kiedyś mówiła mi pani o urodzinach Nicka. Zdaje się, że przypadają w grudniu?

— Czternastego grudnia — sprecyzowała.

— A rok?

— Czterdziesty piąty. W ubiegłym miesiącu skończył dwadzieścia trzy lata. Czy to ważne?

— Całkiem możliwe. Czy Nick przełożył niektóre listy na wierzch, nie dbając o chronologię?

— Niewykluczone. Chyba je czytał. Dlaczego pan pyta?

— Pan Chalmers wysłał z okrętu list, kiedy toczyli walki, datowany piętnastego marca czterdziestego piątego roku.

— Nie jestem najlepsza z matematyki, zwłaszcza kiedy prowadzę. Czy od piętnastego marca do czternastego grudnia jest dziewięć miesięcy?

— Co do dnia.

— Dziwne, prawda? Nick zawsze podejrzewał, że jego ojciec... że pan Chalmers nie jest jego prawdziwym ojcem. Uważał, że został adoptowany.

— I chyba miał rację.

Schowałem trzy górne listy do portfela. Dziewczyna skręciła na wjazd na autostradę. Dodała gazu i pędziła gniewnie pod firmamentem brązowego smogu.

ROZDZIAŁ 32

Gdy jechaliśmy wzdłuż wybrzeża na południe, dzień był pogodny i wietrzny. Z płaskowyżu nad Pacific Point od czasu do czasu widziałem na wodzie białe grzywacze i nisko pochylone żagle.

Betty zawiozła mnie prosto do kliniki Smitherama. Urzędująca w recepcji zadbana, lecz nieco sztywna kobieta oświadczyła, że doktor Smitheram jest u pacjenta i raczej nie uda nam się z nim zobaczyć. Będzie miał pacjentów przez cały dzień, nawet wieczorem.

— To może za tydzień, we wtorek o północy?

Młoda kobieta zganiła mnie wzrokiem.

— Na pewno nie chodzi panu o ostry dyżur w szpitalu?

— Na pewno. Czy Nicholas Chalmers jest waszym pacjentem?

— Nie wolno mi udzielać takich informacji.

— Mogę się zobaczyć z panią Smitheram?

Młoda kobieta milczała przez chwilę, udając, że przegląda papiery. W końcu powiedziała:

— Sprawdź. Czy mógłby pan powtórzyć nazwisko?

Powtórzyłem. Otworzyła wewnętrzne drzwi. Zanim je za sobą zamknęła, usłyszałem dźwięk, który zjeżył mi włosy na

karku — ktoś przenikliwie wył z bólu, bez słów, w osamotnieniu.

Betty i ja porozumieliśmy się wzrokiem.

— Może to Nick — powiedziała. — Co oni z nim wyprawiają?

— Nic. Nie powinna pani tu być.

— A gdzie, jeśli nie tutaj?

— W domu, czytać książkę.

— Dostojewskiego? — rzuciła ostro.

— Może coś złejszego.

— Na przykład *Małe kobiety!* Szkoda, że pan mnie nie rozumie. Znowu zachowuje się pan jak ojciec.

— A pani jak córka.

Moira i recepcjonistka otworzyły wewnętrzne drzwi i wyszły, czemu nie towarzyszyły dodatkowe atrakcje dźwiękowe. Moira popatrzyła na mnie ze zdziwieniem, a Betty obrzuciła bardziej wieloznacznym spojrzeniem, w którym zazdrość mieszała się z pogardą. Jesteś młodsza, zdawał się mówić jej wzrok, za to ja przeżyłam dłużej.

Podeszła do mnie.

— Panie Archer, niechże mi pan powie, co się stało.

— Przypadkowy postrzał, jeśli chodzi pani o to... — Dotknąłem lewego barku. — Czy jest tu Nick Chalmers?

— Tak, jest.

— To on tak wył?

— Wył? Nie sądzę. — Była wzburzona. — Mamy kilku pacjentów w zamkniętym skrzydle, ale Nick już nie sprawia kłopotów.

— Wobec tego nie będzie pani miała nic przeciwko temu, że go odwiedzimy. Panna Truttwell jest jego narzeczoną...

— Wiem o tym.

— ...i bardzo się o niego martwi.

— Nie ma najmniejszego powodu. — Sama jednak wyglądała na mocno zatroskaną. — Przykro mi, ale nie mogę was do niego wpuścić. Takie decyzje podejmuje doktor

Smitheram. Zdecydowanie uważa, że Nick potrzebuje teraz odosobnienia.

Wygięła kąciki ust, zdradzając tym samym, ile kosztuje ją napięcie związane z koniecznością robienia dobrej miny do złej gry.

— Czy moglibyśmy to przedyskutować na osobności, proszę pani?

— Tak. Zapraszam do gabinetu.

Zaproszenie nie obejmowało Betty. Poszedłem za Moirą do gabinetu, który przypominał skrzyżowanie poczekalni z archiwum. Nie było tam okien, zastępowały je wiszące na ścianach abstrakcyjne obrazy. Moira zamknęła drzwi na klucz i oparła się o nie plecami.

— Jestem twoim więźniem? — spytałem.

— Tutaj to ja jestem więźniem — odparła, nie siląc się nawet na lekki ton. — Chciałabym stąd uciec. — Lekko uniosła ręce i ramiona, jakby na znak, że ciężar tego budynku jest nie do zniesienia. — Ale nie mogę.

— Mąż nie pozwoli ci odejść?

— To trochę bardziej skomplikowane. Jestem więźniem błędów młodości... oho, zebrało mi się dziś na sentencje... a jednym z nich jest Ralph. Ty jesteś moim najnowszym błędem.

— Co zrobiłem nie tak?

— Nic. Tylko myślałam, że mnie lubisz. — Porzuciła oficjalną minę i ton. — Wtedy w nocy moje zachowanie wynikało z tego założenia.

— Moje też. Bo to założenie jest prawdziwe.

— Więc dlaczego się na mnie wyżywasz?

— Nie miałem takiego zamiaru. Ale wygląda na to, że sytuacja postawiła nas po dwóch stronach barykady.

Pokręciła głową.

— Nie wierzę w to. Ja tylko chcę, żeby wszyscy zainteresowani mogli prowadzić przyzwoite, znośne życie. — I dodała: — W tym także ja.

— A czego chce twój mąż?

— Tego samego, w swoim pojęciu. Oczywiście, nie we wszystkim się zgadzamy. A ja popełniłam ten błąd, że dałam się ponieść tym jego szczytnym ideom. — I znów ruchem ramion ogarnęła cały budynek. — Jakbyśmy mogli uratować nasze małżeństwo, tworząc klinikę. — Po czym dorzuciła kwaśno: — Powinniśmy ją raczej wynająć.

Ta kobieta była skomplikowana, sypiąca dwuznacznosciami i zbyt gadatliwa. Przyparłam ją ciałem, niezdarnie przytrzymałam jedną ręką i zaniknąłem jej usta swoimi.

Rana w moim barku pulsowała niczym pomocnicze serce.

Jak gdyby mogła na własnej skórze odczuć ten ból, Moira odezwała się:

— Przykro mi, że cię boli.

— A mnie jest przykro, że boli ciebie, Moiro.

— Nie marnuj na mnie współczucia. — Jej ton przypominał mi, że swego czasu była pielęgniarzką czy kimś w tym rodzaju. — Przeżyję. Ale obawiam się, że będzie to średni ubaw.

— Znowu się pogubiłem. O czym my właściwie mówimy?"

— O katastrofie. Czuję ją przez skórę. Wiesz, mam domieszki irlandzkiej krwi.

— Ta katastrofa spotka Nicka Chalmersa?

— Nas wszystkich. Ale jego też, oczywiście.

— Dlaczego nie pozwolisz mi go stąd zabrać?

— Nie mogę.

— Czy jego życiu zagraża niebezpieczeństwo?

— Nie, dopóki jest u nas.

— Pozwolisz mi się z nim zobaczyć?

— Nie mogę. Mąż się nie zgodzi.

— Boisz się go?

— Nie. Ale to on jest lekarzem, a ja tylko pomocą techniczną. Nie mogę podważać jego decyzji.

— Jak długo ma zamiar trzymać tu Nicka?

— Dopóki zagrożenie nie minie.

— A kto stwarza to zagrożenie?

— Nie mogę ci powiedzieć. Proszę, skończ z tymi pytaniami, Lew. Pytania wszystko niszczą.

Przez chwilę trzymaliśmy się w objęciach, oparci o zamknięte na klucz drzwi. Ciepło jej ciała i ust pomogło mi odżyć, nawet pomimo sprzecznych poglądów i faktu, że częścią umysłu pilnowałem upływu czasu.

— Szkoda, że nie możemy wyjść stąd w tej chwili, ty i ja, i nigdy już nie wracać — odezwała się cicho.

— Masz męża.

— Nasze małżeństwo nie przetrwa.

— Z mojego powodu?

— Oczywiście, że nie. Ale obiecaj mi jedno.

— Najpierw muszę wiedzieć, o co chodzi.

— Nie mów nikomu o Sonnym. Wiesz, o tym moim chłopaczku z poczty w La Jolla. Popełniłam błąd, opowiadając ci o nim.

— Czyżby Sonny znów się pojawił?

Kiwnęła głową. Jej oczy miały posepny wyraz.

— Nie powiesz o tym nikomu, prawda?

— Nie mam powodu nic mówić.

Wyczuła, że wykręcam się od jasnej odpowiedzi.

— Lew? Wiem, że masz silny charakter i jesteś prostolinijski. Obiecaj mi, że nie skrzywdzisz mnie ani Ralpa. Daj nam szansę, żebyśmy sami mogli rozwiązać nasze problemy.

Odsunąłem się od niej.

— Nie mogę obiecać niczego w ciemno. A ty nie jesteś ze mną szczerą, i doskonale o tym wiesz!

Zrobiła zboląłą małpią minę, która starła jej urodę.

— Nie mogę być szczerą. Tego problemu nie rozwiąże się gadaniem. W grę wchodzi zbyt wielu ludzi i zbyt wiele lat życia.

— Co to za ludzie?

— Ralph i ja, i Chalmersowie, i Truttwellowie...

— I Sonny?

— Tak. On też. — Skupiła wzrok na czymś, ale nie miałem

pojęcia na czym. — Właśnie dlatego nie wolno ci powtarzać nikomu tego, co ci powiedziałam.

— Ale dlaczego mnie powiedziałaś?

— Pomyślałam, że może coś mi doradzisz i że zostaniemy jeszcze bliższymi przyjaciółmi.

— Daj nam trochę więcej czasu.

— Właśnie o to cię proszę.

ROZDZIAŁ 33

Betty niecierpliwie czekała na parkingu. Zmrużyła oczy i utkwiała wzrok w moim podbródku.

— Ma pan ślady po szmince. Momencik. — Wyjęła z torebki chusteczkę higieniczną i mocno wytarła mi twarz. — No, od razu lepiej.

W samochodzie zapytała obojętnym tonem:

— Ma pan romans z panią Smitheram?

— Jesteśmy przyjaciółmi.

— Nic dziwnego, że nikomu nie mogę ufać i nie mogę nic zrobić dla Nicka — powiedziała tym samym obojętnym tonem i spojrzała na mnie. — Skoro jest pan tak zaprzyjaźniony z panią Smitheram, to dlaczego nie pozwoliła mi zobaczyć się z Nickiem?

— Powiedziała, że lekarzem jest jej mąż, a ona tylko pomocą techniczną.

— A dlaczego jej mąż nie chce go wypuścić?

— Trzymają Nicka, żeby go chronić. Nie jest jasne, przed kim czy przed czym, ale zgadzam się, że on potrzebuje ochrony. Tyle że nie powinien zajmować się tym wyłącznie lekarz. Nickowi potrzebny jest adwokat.

— Jeżeli próbuje pan wmieszać w to mojego ojca... — Rąbnęła kostkami dłoni w kierownicę, tak silnie, że musiało ją zabołeć.

— On już w tym siedzi po uszy. Nie ma sensu sprzeczać się na ten temat. A pani nie pomoże Nickowi, zwracając się przeciwko ojcu.

— To on się zwrócił przeciwko nam... Nickowi i mnie.

— Być może. Ale i tak potrzebna nam jest jego pomoc.

— Nie mnie — oświadczyła głośno i zdecydowanie.

— Ja w każdym razie potrzebuję pani pomocy. Podrzuci mnie pani do jego kancelarii?

— Zgoda. Ale nie wejdę do środka.

Zawiozła mnie na parking na tyłach budynku jej ojca. Jedno z zarezerwowanych miejsc zajmował lśniący czarny rolls.

— To samochód Chalmersów — zauważyła Betty. — A ja myślałam, że poróżnili się z ojcem.

— Może właśnie się godzą. Która godzina?

Spojrzała na zegarek.

— Czwarta trzydzieści pięć. Zaczekam tu na pana.

Ciekaw byłem tego rollsa. Podszedłem i obejrzałem go dokładnie, podziwiając bogatą skórzaną tapicerkę i wykończenia z drewna orzecha włoskiego. Samochód był nieskazitelnie czysty, jeśli nie liczyć żółtej plamy na krzasiastym pledzie, rzuconym na tylne siedzenia. Wyglądało to na zaschnięte wymiociny.

Zdrapałem trochę osadu plastikową kartą kredytową. Kiedy się wyprostowałem, przez parking szedł ku mnie chudy mężczyzna w ciemnym ubraniu i szoferskiej czapce — służący Chalmersów, Emilio.

— Proszę odejść od samochodu — powiedział.

— Nie ma sprawy.

Zatrzasnąłem tylne drzwi rollsa i odsunąłem się. Czarne oczy Emilia spoczęły na karcie w moim ręku. Chciał mi ją wyrwać, lecz odsunąłem ją poza zasięg jego ręki.

— Niech mi pan to odda.

— Jeszcze czego. Kto wymiotował w tym samochodzie, Emilio?

Zaniepokoił się. Powtórzyłem pytanie. Jego gniew zniemka wyparował. Emilio odwrócił się, usiadł za kierownicą rollsa i podniósł elektryczną szybę z mojej strony.

— Czego chciał? — spytała Betty, kiedy odchodziliśmy.

— Nie jestem pewny. Jaki on jest?

— Emilio? Zimny ponurak.

— Uczciwy?

— Chyba tak, skoro pracuje u Chalmersów od ponad dwudziestu lat.

— A jego tryb życia?

— Mam wrażenie, że to bardzo spokojny kawaler. Ale nie jestem ekspertką w sprawach Emilia. Co to jest, to żółte na pańskiej karcie?

— Dobre pytanie. Masz może kopertę?

— Nie. Ale załatwię.

Weszła do budynku tylnymi drzwiami i po chwili wróciła z firmową kopertą ojca w ręku. Przy jej pomocy wrzuciłem moje znalezisko do koperty, zakleiłem ją i postawiłem na niej swoje inicjały.

— Z którego laboratorium korzysta pani ojciec?

— Barnarda. Mieści się w pół drogi stąd do sądu.

Podąłem jej kopertę.

— Chcę, żeby przebadali to na obecność wodzianu chloralu i nembutalu. Zdaje się, że to bardzo proste testy, więc mogą je wykonać od ręki, jeżeli im pani powie, że ojcu bardzo zależy na czasie. Tylko niech bardzo uważają na tę próbkę, dobrze?

— Tak, proszę pana.

— Przywiezie mi pani wyniki? Prawdopodobnie będę jeszcze w kancelarii pani ojca. Niech się pani za kogoś przebierze albo co.

Nie uśmiechnęła się. Ale posłusznie pojechała wypełnić zlecenie. W żyłach poczułem nowy zastrzyk adrenaliny, która dodała mi siłę i agresywności. Jeżeli nos mnie nie mylił, ta próbka wymiocin mogła doprowadzić do rozwiązania sprawy.

Wszedłem do budynku Truttwella i ruszyłem korytarzem

do poczekalni od frontu. W otwartych drzwiach zatrzymał mnie głos prawnika:

— Archer? Już straciłem nadzieję, że pan przyjedzie.

Wciągnął mnie do swojej biblioteki; wszystkie ściany, od podłogi do sufitu, zajmowały półki z księgami prawniczymi. Młody człowiek w garniturze absolwenta jednego z najlepszych w kraju uniwersytetów gmerał przy projektorze. Po drugiej stronie pokoju zawieszono już ekran.

Truttwell obrzucił mnie wzrokiem, w którym nie było ani krzty współczucia.

— Gdzie pan się podziewał?

Odpowiedziałem mu i zmieniłem temat.

— Domyślam się, że odkupił pan filmy rodzinne od pani Swain?

— Obyło się bez płacenia — odparł z zadowoleniem. — Przekonałem panią Swain, że ma obowiązek służyć prawdzie. Pozwoliłem jej też zatrzymać florencką szkatułkę, która niegdyś należała do jej matki. W rewanżu dała mi część filmów. Niestety, rolka, którą zaraz wam pokażę, ma prawie dwadzieścia sześć lat i jest w kiepskim stanie. Właśnie się zerwała, kiedy ją przeglądałem. — Odwrócił się do młodego człowieka przy projektorze. — Jak ci idzie, Eddie?

— Już ją kleję. Za chwilę będzie gotowa.

— Mógłby pan coś dla mnie zrobić, Archer? — zwrócił się do mnie prawnik. — W poczekalni siedzi Irene Chalmers.

— Córka marnotrawna wróciła?

— Jeszcze nie, ale wróci — odparł, błyskając zębami. — Teraz jest tu raczej wbrew własnej woli. Niech pan przypiluje, żeby nie uciekła.

— Czym pan ją chce zaskoczyć?

— Zobaczy pan.

— Tym, że kiedyś nazywała się Rita Shepherd?

Zadowolenie Truttwella prysło. Między nami narastało coś na kształt rywalizacji, być może związanej z faktem, że Betty mi zaufała.

— Od kiedy pan o tym wie? — spytał oskarżycielskim tonem.

— Od jakichś pięciu sekund. Ale podejrzewałem to od ubiegłego wieczoru. — Tłumaczenie mu, że myśl tę podsunął mi sen o mojej babce, uznałem za kiepski pomysł.

Kiedy szedłem korytarzem, sen wrócił i stąpił moją agresywność. Pani Shepherd wymieszała się we wspomnieniach z moją babką, od lat spoczywającą w grobie w Martinez. Pasja, z jaką pani Shepherd chroniła tajemnicę swojej córki, nadawała temu jakąś rangę.

Gdy wszedłem do poczekalni, Irene Chalmers uniosła głowę i spojrzała na mnie. Odniosłem wrażenie, że nie od razu mnie poznała. Recepcjonistka zwróciła się do mnie szeptem, jakby mówiła w obecności kogoś chorego albo opóźnionego w rozwoju:

— Już myślałam, że pan nie zdąży. Pan Truttwell jest w bibliotece. Kazał mi wpuścić tam pana od razu.

— Właśnie z nim rozmawiałem.

— Rozumiem.

Usiadłem obok Irene Chalmers. Obróciła głowę, spojrzała na mnie niczym kobieta budząca się z głębokiego snu i powoli zaczęło do niej docierać, kim jestem. Ów sen musiał być przerażający, bo była skruszona i potulna.

— Przepraszam, myślami byłam daleko stąd. Pan się nazywa Archer. Ale sądziłam, że pan już dla nas nie pracuje.

— Nadal prowadzę tę sprawę, proszę pani. A właśnie, odzyskałem listy pani męża.

— Ma pan je przy sobie? — spytała bez większego zainteresowania.

— Tylko kilka. Zwrócę je za pośrednictwem pana Truttwella.

— Ale on już nie jest naszym prawnikiem.

— Mimo to z całą pewnością może mu pani zaufać, że odda wam te listy.

— No nie wiem. — Rozejrzała się po małym pokoju

z nieco prymitywną podejrzliwością. — Kiedyś byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Ale to już przeszłość.

— Poszło o Nicka i Betty?

— To chyba przepełniło czarę goryczy — odparła. — Ale prawdziwe problemy mieliśmy jakiś czas temu, w związku z pieniędzmi. W sumie zawsze chodzi o pieniądze, prawda? Czasami chciałabym znów być biedna.

— Powiada pani, że pokłóciliście się o pieniądze?

— Tak, kiedy Lany i ja założyliśmy Fundację Smitherama. John Truttwell odmówił przygotowania dokumentów. Twierdził, że Smitheram nas naciąga, bo chce mieć za darmo własną klinikę. Ale Lany chciał to zrobić, a ja także uważałam, że to niezły pomysł. Nie wiem, co byśmy poczeli bez doktora Smitherama.

— Wiele dla was zrobił, prawda?

— Przecież pan wie. Uratował Nicka od... wie pan od czego. Myślę, że John Truttwell jest zazdrosny o doktora Smitherama. Tak czy owak, nie jest już naszym przyjacielem. Przyszłam tu dziś tylko dlatego, że mi groził.

Chciałem poprosić ją o konkrety, ale recepcjonistka jawnie przysłuchiwała się naszej rozmowie. Poprosiłem ją więc:

— Mogłaby pani zapytać pana Truttwella, czy jest już gotów?

Odeszła niechętnie. Odwróciłem się do pani Chalmers.

— Czym pani groził?

W jej odpowiedzi nie było nic defensywnego. Zachowywała się tak, jakby ogłuszający cios pozbawił ją resztek dyskrekcji.

— Znowu Nickiem. Truttwell pojechał dzisiaj do San Diego i dokopał się nowych brudów. Chyba nie powinnam panu mówić jakich.

— Czy mają coś wspólnego z narodzinami Nicka?

— A więc już panu powiedział?

— Nie, ale przeczytałem kilka listów pani męża. Wychodzi na to, że w chwili poczęcia Nicka służył na morzu. Czy to prawda, proszę pani?

Spojrzała na mnie zmieszana, a potem z jawną pogardą.

— Nie ma pan prawa zadawać mi takich pytań. Chce pan mnie obnażyć, tak?

Nawet pomimo gniewu pozwoliła sobie na dwuznaczność o erotycznym podtekście, jakby zapraszała mnie, bym wziął w tym udział. Posłałem jej uśmiech, choć wyczuwałem w nim coś dziwnego.

Recepcjonistka wróciła i oznajmiła, że pan Truttwell już na nas czeka. Zastaliśmy go w bibliotece samego, przy projektorze.

Irene Chalmers zareagowała na ten sprzęt niczym na jakąś skomplikowaną, wymierzoną w siebie broń. Ze strachem spoglądała na prawnika, a potem na mnie; stałem między nią a drzwiami. Kiedy je zamknąłem, jej twarz i ciało zastygły w bezruchu.

— Nic nie mówiłeś o filmach — poskarżyła się Truttwellowi. — Podobno chciałeś ponownie przedyskutować ze mną całą sprawę.

Odpowiedział gładko, całkowicie panując nad sytuacją:

— Ten film należy do sprawy. Nakręcono go podczas przyjęcia nad basenem w San Marino, latem czterdziestego trzeciego roku. Prawie wszystko filmował Eldon Swain, który wydał przyjęcie. Kończącą scenę, w której on sam pojawia się na ekranie, nakręciła pani Swain.

— Rozmawiałeś z nią?

— Poniękad. Szczerze mówiąc, o wiele bardziej interesuje mnie twoja reakcja. — Poklepał oparcie fotela stojącego przy projektorze. — Usiądź sobie wygodnie, Irene.

Kobieta uparcie stała w miejscu. Truttwell podszedł do niej z uśmiechem i ujął ją pod rękę. Ruszyła się powoli, ociężale, jak posąg, który niechętnie roztapia się i przybiera cielesną postać.

Prawnik posadził ją w fotelu i nachylony nad nią od tyłu, z ociąganiem oderwał ręce od jej ramion.

— Mógłby pan zgasić światło, Archer?

Pstryknąłem wyłącznikiem i usiadłem obok Irene Chalmers. Projektor zaterkotał i z cichym wystrzałem światła na ekranie

pojawiły się obrazy — wielki prostokątny basen z trampoliną i zjeżdżalnią, w którym odbijało się błękitne, staroświeckie niebo.

Na trampolinę weszła młoda jasnowłosa dziewczynka o figurze dojrzałej kobiety i niedojrzałej twarzy dziecka. Pomachała ręką do kamery, zbyt silnie odbiła się od deski i wykonała komiczny skok, wierzgając rozłożonymi nogami jak żaba. Wypłynęła z ustami pełnymi wody i wypluła ją w stronę kamery. Młoda Jean Trask.

Jako następna na trampolinie pojawiła się Irene Chalmers, z domu Rita Shepherd. Poważnie przeszła na skraj deski, jakby bała się osądu kamery. W czarnym gumowym czepku, skrywającym jej włosy, wyglądała dziwnie staroświecko.

Przez dłuższy czas stała pod okiem kamery, lecz ani razu się nie obejrzała. Potem odbiła się i skoczyła na główkę, wpadając do wody prawie bez rozbryzgu. Dopiero gdy zniknęła z ekranu, uświadomiłem sobie, jaka była piękna.

Kamera pokazała ją, gdy wypływała z wody; dziewczyna uśmiechnęła się i przekręciła na plecy przed obiektywem. Jean podpłynęła od tyłu i przytopiła ją, krzycząc albo się śmiejąc, po czym chlapnęła wodą w kierunku kamery.

Na trampolinę wdrapała się trzecia młoda osoba — mniej więcej osiemnastoletni chłopak, którego z początku nie poznałem. Przeszedł na skraj deski powoli, co chwila oglądając się za siebie, jakby gonili go piraci. Jeden faktycznie go gonił—Jean popędziła za nim i zepchnęła go do wody, śmiejąc się albo krzycząc. Chłopak wypłynął niezdarnie, z zamkniętymi oczami. Kobieta w kapeluszu z szerokim rondem wyciągnęła do niego długi bosak, z miękko zakończonym hakiem, i doholowała go na płytką wodę. Chłopak stanął w wodzie po pas, zwrócony wątlymi plecami do kamery. Jego wybawczyni zdjęła miękki kapelusz i ukłoniła się niewidocznej publiczności.

Tą kobietą była pani Swain, ale mąż nie zatrzymał jej w kadrze. Kamera przeniosła się na publiczność — przystojną parę starszych ludzi, siedzących razem na ocienionej huśtawce.

Mimo iż twarz mężczyzny była w cieniu, poznałem Samuela Rawlinsona i domyśliłem się, że kobietą obok niego jest Estelle Chalmers. Zanim zdążyłem się przyjrzeć jej szczupłej twarzy, na której malowała się namiętność, kamera znów się przesunęła.

Rita i Jean ślizgały się na zjeżdżalni, pojedynczo i razem. Potem ścigały się wzdłuż basenu. Jean wygrała i ochlapała chłopaka, który choć bał się wody, wciąż stał zanurzony po pas, jakby zapuścił korzenie. Potem ochlapała Ritę.

W tle niewyraźnie mignął mi Randy Shepherd. Rudowłosy i rudobrody, w kombinezonie ogrodnika, obserwował nad żywopłotem swoją córkę, która wyszła na słońce. Zerknąłem z ukosa na twarz Irene Chalmers, nierówno oświetloną migotliwymi, nienaturalnymi barwami odbitymi od ekranu. Wyglądała, jakby bombardowana przeszłością umierała.

Gdy wróciłem spojrzeniem na ekran, na trampolinie stał Eldon Swain. Średniego wzrostu, miał dużą głowę i przystojną twarz. Odbił się od deski i skoczył na główkę. Kamera złapała go, kiedy wypływał, i śledziła, gdy wracał na trampolinę. Wykonał kilka skoków łamanych, w przód i w tył.

Potem były skoki podwójne — najpierw skakał z siedzącą mu na ramionach Jean, a następnie z Ritą. Kamera, jakby powodowana pasją dokumentalisty, śledziła ich, gdy Rita stała na desce w szerokim rozkroku, a Eldon Swain wsuwał głowę między jej nogi i dźwigał ją w górę. Zataczając się lekko, zaniósł dziewczynę na koniec trampoliny i przez dłuższą chwilę stał z głową pomiędzy jej udami; wyglądało to jak głowa olbrzymiego uśmiechniętego noworodka, który ponownie przychodzi na świat.

Potem spadli razem z deski i, moim zdaniem, nie wynurzali się z wody bardzo długo. Obiektyw kamery szukał ich, lecz uchwycił jedynie bąbelki na powierzchni, pocętkowanej światłem i zabarwionej rozpraszającymi się w wodzie cieniami.

ROZDZIAŁ 34

Gdy film dobiegł końca, nikt z nas nie odezwał się przez dłuższą chwilę. Zapaliłem światło. Wreszcie Irene Chalmers wzdrygnęła się i ocknęła z zamyślenia. Czułem jej strach, tak przemożny, że aż otepiałem.

Próbując się z niego otrząsnąć, rzuciła:

— Ładna kiedyś byłem, co?

— Co tam ładna — rzekł Truttwell. — Przepiękna.

— I dużo mi z tego przyszło. — Jej głos i język zmieniły się, jakby wróciła do swej dawnej osobowości. — Skąd masz ten film... od pani Swain?

— Tak. Inne też mi dała.

— Wiedziałam. Zawsze mnie nienawidziła.

— Dlatego, że romansowała pani z jej mężem? — spytałem.

— Nienawidziła mnie dużo wcześniej. Zupełnie jakby wiedziała, czym to się skończy. A może sama do tego doprowadziła, nie wiem. Siedziała, patrzyła na Eldona i czekała, kiedy skorzysta z okazji i się urwie. Jeżeli tak się traktuje mężczyznę, urwie się prędzej czy później.

— A co spowodowało, że pani skorzystała z okazji? — spytałem.

— Na mój temat nie będziemy mówić. — Spojrzała na

mnie, na Truttwella, a potem w dal. — Odmawiam odpowiedzi na pytania.

Prawnik zbliżył się do niej, delikatny i czuły jak kochanek.

— Nie bądź niemądra, Irene. Jesteś wśród przyjaciół.

— Jasne.

— To prawda — zapewnił ją. — I ja, i pan Archer zadaliśmy sobie wiele trudu, żeby zdobyć ten dowód, wyrwać go z rąk potencjalnych wrogów. Skoro jest w moich rękach, nikt go przeciwko tobie nie użyje. Gwarantuję, że nigdy do tego nie dojdzie.

Wyprostowała się w fotelu i spojrzała mu prosto w oczy.

— Co to ma być? Szantaż?

Truttwell uśmiechnął się.

— Chyba pomyliłaś mnie z doktorem Smitheramem. Ja niczego od ciebie nie chcę, Irene. Uważam natomiast, że powinniśmy poważnie i szczerze porozmawiać.

Spojrzała w moim kierunku.

— A on?

— Pan Archer wie o tej sprawie więcej niż ja. Całkowicie polegamy na jego dyskrecji.

Słyszając pochwały prawnika, poczułem się nieswojo — o nim nie mogłem powiedzieć tego samego.

— A ja w jego dyskrecję nie wierzę — odparła kobieta. — Niby czemu miałabym mu wierzyć? Właściwie w ogóle go nie znam.

— Ale znasz mnie, Irene. Jako twój adwokat...

— Więc znów jesteś naszym prawnikiem?

— Na dobrą sprawę nigdy nie przestałem nim być. Teraz już chyba jest dla ciebie jasne, że potrzebujesz mojej pomocy, a także pomocy pana Archera. Wszystko, czego się dowiedzieliśmy o przeszłości, zostanie wyłącznie między nami.

— Zakładając, że się zgodzę na wasze warunki — powiedziała. — A jeśli nie?

— Etyka zawodowa nakazuje mi zachować twoje tajemnice dla siebie.

— Ale może nastąpić jakiś przeciek, czy dobrze rozumiem?
— Nie przeze mnie ani przez Archera. Chyba że doktor Smitheram coś chlapnie. Ale ma się rozumieć, nie mogę bronić twoich interesów, jeżeli się na to nie zgodzisz.

Przemyślała jego propozycję.

— Ja nie chciałam z tobą zrywać. Zwłaszcza teraz. Ale nie mogę się wypowiadać w imieniu mojego męża.

— Gdzie on jest?

— Został w domu. Lany bardzo ciężko przeżył te ostatnie kilka dni. Nie sprawia takiego wrażenia, ale jest szalenie nerwowy.

Jej słowa otworzyły zamkniętą kłapką w moim umyśle.

— Czy na filmie to był pani mąż? Ten chłopak wepchnięty do wody?

— Tak, to Lany. Właśnie tego dnia się poznaliśmy. Miał wtedy ostatni wolny weekend przed wstąpieniem do marynarki. Widziałam, że się mną interesuje, ale tego dnia właściwie go nie poznałam. A szkoda.

— Kiedy poznała go pani bliżej?

— Dwa lata później. Przez ten czas wyrósł.

— A co przez ten czas działo się z panią?

Odwróciła się ode mnie gwałtownie, napinając białą szyję.

— Ani mi się śni odpowiadać na takie pytania — oświadczyła, zwracając się do Truttwella. — Nie po to wynajęłam prawnika i detektywa, żeby wygrzebywali brudy z mojego życia. Czy to by miało sens?

— Dużo większy niż ukrywanie tego w tajemnicy — odpowiedział jej cicho, starannie dobierając słowa. — Czas wywalić te brudy, jak je nazwałaś, na stół, tylko w naszym gronie. Chyba nie muszę ci przypominać, że zamordowano kilka osób.

— Ja nikogo nie zabiłam.

— Ale pani syn tak — przypomniałem jej. — Omawialiśmy już tę śmierć na koczowisku bezdomnych.

Znów odwróciła się do mnie.

— Mój syn został porwany. Zabił w obronie własnej. Sam pan mówił, że policja by to zrozumiała.

— Teraz, kiedy wiem więcej na ten temat, muszę cofnąć te słowa. Zataiła pani część historii... wszystkie istotne elementy. Na przykład, kiedy powiedziałem, że w porwanie zamieszany był Randy Shepherd, nie wspomniała pani, że to pani ojciec.

— Żona nie musi zeznawać na niekorzyść męża — odparła. — Czy to samo nie odnosi się do córki i ojca?

— Nie, ale teraz to bez znaczenia. Pani ojciec został zastrzelony w Pasadenie, wczoraj po południu.

Poderwała głowę.

— Kto go zastrzelił?

— Policjanci. Wezwała ich pani matka.

— Moja matka? — Zamilkła na chwilę. — Wcale mnie to nie dziwi. Odkąd sięgam pamięcią, skakali sobie do oczu jak zwierzęta. Musiałam się wyrwać z takiego życia, nawet za cenę... — Napotkała mój wzrok i zdanie zamarło na jej ustach.

Dokończyłem więc za nią:

— Nawet za cenę ucieczki do Meksyku ze złodziejem.

Pokręciła głowę. Czarne włosy rozwiały się, wskutek czego wyglądała młodziej, ale i bardziej tandetnie.

— Nic takiego nie zrobiłam.

— Nie uciekła pani z Eldonem Swainem?

Milczała.

— Wobec tego co się stało, proszę pani?

— Nie mogę panu tego powiedzieć... nawet po tylu latach. To dotyczy także innych ludzi.

— Eldona Swaina?

— On był najważniejszy.

— Doskonale pani wie, że nie trzeba go już osłaniać. Jest równie bezpieczny jak pani ojciec, i to z tego samego powodu.

Spojrzała na mnie zagubiona, jakby przegrała grę z czasem i została uwięziona w otchłani między jednym swoim życiem a drugim.

— Czy Eldon naprawdę nie żyje?

— Przecież sama pani wie. To jego zwłoki znaleziono na stacji rozrządowej. Już wtedy musiała pani to wiedzieć, a przynajmniej podejrzewać.

Jej oczy pociemniały.

— Przysięgam, że nie wiedziałam.

— Musiała pani. Ktoś zostawił zwłoki z rękami w ogniu, żeby zniszczyć odciski palców. Nie zrobił tego przecież ośmiolatek.

— Co nie znaczy, że ja to zrobiłam.

— Ale pani akurat miała motyw — rzekłem. — Gdyby w zabitym rozpoznano Swaina, całe pani życie by się zawaliło. Straciłaby pani dom, męża, pozycję społeczną. Znów stałaby się pani Ritą Shepherd, klepałaby pani starą biedę.

Milczała; jej twarz zdradzała, że myśli intensywnie.

— Powiedział pan, że ojciec zadawał się z Eldonem. Wobec tego to on pewnie spalił zwłoki... mówił pan, że ktoś je spalił, prawda?

— Tylko palce.

Skinęła głową.

— Musiał to zrobić mój ojciec. Ciągłe powtarzał, że chciałby zniszczyć swoje odciski palców. Miał fioła na tym punkcie.

Powiedziała to bez zastanowienia, niemal obojętnie. Nagle zamilkła. Być może usłyszała w swoim głosie Ritę Shepherd, córkę kryminalisty, uwięzioną w nowej tożsamości, z której nie ma ucieczki.

Zdawało się, że świadomość kłopotliwego położenia, w jakim się znalazła, przeszła jej ciało i spenetrowała umysł, przebijając się przez pokłady zobojętnienia, lata niepamięci. Uderzona w czuły punkt, pani Chalmers skuliła się w fotelu i ukryła twarz w dłoniach. Włosy opadły jej z karku na twarz, przeciekając między palcami jak czarna woda.

Truttwell patrzył na nią z góry, z napięciem, ale bez śladu jakiegokolwiek miłości. Może czuł do niej litość, zabarwioną chęcią posiadania. Przechodziła już z rąk do rąk i nosiła piętno występku, ale wciąż była niezwykle piękna.

Nie zważając na mnie ani na siebie, Truttwell wyciągnął ręce i bardzo delikatnie zaczął gładzić ją po głowie, a potem po długich, zwężających się plecach. Jego pieszczoty nie miały podtekstu seksualnego w normalnym tego słowa znaczeniu. Pomyślałem, że może kieruje nim abstrakcyjna namiętność prawnika, któremu wystarczało, że ma taką klientkę. Albo skrywana żądza wdowca, trzymana w ryzach przez ciągle żywą przeszłość.

Po jakimś czasie pani Chalmers doszła do siebie i poprosiła o wodę. Truttwell wyszedł z pokoju.

— Dlaczego matka wezwała policję do Randy'ego? — spytała mnie gorączkowym tonem. — Musiała mieć jakiś powód.

— Miała. Ukradł jej fotografię Nicka.

— To zdjęcie dyplomowe, które jej wysłałam?

— Tak.

— Nie powinnam była tego robić. Ale pomyślałam, że choć raz w życiu zachowam się po ludzku.

— I nic z tego nie wyszło. Pani ojciec pokazał zdjęcie Jean Trask i namówił ją, żeby wynajęła Sidneya Harrowa. Od tego wszystko się zaczęło.

— O co staremu chodziło?

— O pieniądze pani męża, tak jak wszystkim.

— Ale nie panu, co? — rzuciła sardonycznym tonem.

— Nie mnie — przyznałem. — Pieniądze zbyt wiele kosztują.

Truttwell wrócił z papierowym kubkiem wody i patrzył, jak Irene Chalmers pije.

— Masz siły na małą przejażdżkę?

Wzdrygnęła się panicznie.

— Dokąd?

— Do kliniki Smitherama. Czas, żebyśmy sobie ucięli pogawędkę z Nickiem.

Zdecydowanie nie miała na to najmniejszej ochoty.

— Doktor Smitheram cię nie wpuści.

— A ja myślę, że wpuści. Jesteś matką Nicka. Ja jestem jego adwokatem. Jeżeli doktor Smitheram odmówi współpracy, wystąpię do sądu o nakaz doprowadzenia Nicka na podstawie *habeas corpus*.

Truttwell nie mówił tego serio, ale niepokój jej nie opuścił.

— Nie. Proszę cię, nie rób tego. Sama porozmawiam z doktorem Smitheramem.

Przed wyjściem zapytałam recepcjonistkę, czy Berty wróciła z wynikami badań laboratoryjnych. Okazało się, że nie. Wobec tego zostawiłem jej wiadomość, że będę w klinice.

ROZDZIAŁ 35

Irene Chalmers odprawiła Emilia. Jechała między Truttwellem a mną na przednim siedzeniu jego cadillaca. Wysiadając z samochodu na parkingu kliniki, wyglądała jak naćpana. Truttwell podał jej ramię i zaprowadził ją do recepcji.

Moira Smitheram siedziała za biurkiem, tak samo jak w dniu, w którym ją poznałem. Zdawało się, że było to dawno temu. Jej twarz postarzała się, nabrała głębi, a może to ja potrafiłem wejrzeć w nią głębiej. Spojrzała na prawnika, a potem na mnie.

— Nie dałeś mi dużo czasu.

— Bo go nie mamy.

— Musimy koniecznie porozmawiać z Nickiem Chalmersem — odezwał się Truttwell. — Jego matka się zgadza.

— Musi pan to ustalić z doktorem Smitheramem.

Moira wstała i poszła po męża. Wyszedł przez wewnętrzne drzwi, w swym białym kitlu, i gniewnie ruszył do nas wielkimi krokami.

— Nie poddaje się pan łatwo, co? — rzucił do Truttwella.

— Ja nigdy się nie poddaję, stary. Przyszliśmy zobaczyć się z Nickiem i tym razem nie zdoła nas pan powstrzymać.

Smitheram odwrócił się do prawnika plecami.

— A co pani o tym sądzi? — zapytał panią Chalmers.

— Niech pan nas wpuści, doktorze — odparła, nie patrząc na niego.

— Czyżby znów zaangażowała pani pana Truttwella jako swojego adwokata?

— Owszem.

— I pani mąż się zgodził?

— Zgodzi się.

Smitheram przyjrzał jej się badawczo.

— Jaki nacisk na panią wywierają?

— Traci pan tylko czas, doktorze — wtrącił się Truttwell. — Przyjechaliśmy, żeby porozmawiać z pańskim pacjentem, nie z panem.

Smitheram przełknął gniew.

— Proszę bardzo.

Razem z żoną zaprowadził nas przez wewnętrzne drzwi korytarza zakończonego następnymi drzwiami, które trzeba było otworzyć kluczem, a potem znów zamknąć. Znaleźliśmy się w skrzydle z ośmioma czy dziesięcioma pokojami; w pierwszym, przeznaczonym dla samobójców, jakaś kobieta siedziała na wyściełanej podłodze i patrzyła na nas przez grubą szybę.

Pokój Nicka był czymś pośrednim między sypialnią a salonikiem; drzwi były otwarte. Chłopak siedział w fotelu, z otwartym podręcznikiem w ręku. W cienkim wełnianym szlafroku wyglądał jak pierwszy lepszy młody człowiek, którego oderwano od nauki. Na widok matki wstał, a jego wielkie czarne oczy rozbłyły na tle bladej twarzy. Obok, na biurku, leżały ciemne okulary.

— Cześć, mamó, witam pana. — To ostatnie rzucił do Truttwella. Omiótł wzrokiem nasze twarze, na nikim się nie zatrzymując. — Gdzie jest tata? Gdzie Betty?

— To nie jest wizyta towarzyska, chociaż miło cię widzieć — rzekł Truttwell. — Mamy do ciebie kilka pytań.

— Proszę się streszczać — powiedział Smitheram. — Siadaj, Nick.

Moira wzięła od chłopaka książkę i zaznaczyła stronę zakładką, po czym stanęła w progu, obok męża. Irene Chalmers usiadła w drugim fotelu, a Truttwell i ja na pojedynczym łóżku, naprzeciwko Nicka.

— Nie będę owijał w bawełnę — oświadczył Truttwell. — Mniej więcej piętnaście lat temu, kiedy byłeś mały, zastrzeliłeś mężczyznę na stacji rozrządowej.

Nick podniósł wzrok na Smitherama i odezwał się apatycznym, rozczarowanym tonem:

— Powiedział mu pan.

— Nic mu nie powiedziałem — zaprzeczył Smitheram.

Truttwell zwrócił się do lekarza:

— Wziął pan na siebie wielką odpowiedzialność, zatajając to zabójstwo.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Działalem w najlepiej pojętym interesie ośmiolatka, któremu groził autyzm. Prawo nie jest jedyną metodą rozwiązywania ludzkich problemów. A jeśli nawet, to zabójstwo i tak było usprawiedliwione albo przypadkowe.

— Nie przyjechałem tu, żeby dyskutować z panem o prawie czy moralności, doktorze — rzekł Truttwell ze znużeniem.

— Więc niech pan nie podważa moich motywów.

— Które, rzecz jasna, są czyste jak łąza.

Lekarz natarł wielkim cielskiem na prawnika, lecz Moira ujęła go za łokieć i powstrzymała.

Truttwell z powrotem odwrócił się do Nicka.

— Opowiedz mi, co się wydarzyło na tej stacji rozrządowej. Czy strzeliłeś przypadkiem?

— Nie wiem.

— Wobec tego powiedz po prostu, co tam się stało. Przede wszystkim, skąd się tam wziąłeś?

Nick przerywał opowieść, jakby jego pamięć działała skokami i zrywami, jak dalekopis.

— Wracalem ze szkoły do domu, kiedy jakiś pan za-

proponował, że mnie podwiezie. Wiem, że nie należało wsiadać do samochodu, ale on był tak strasznie poważny. Poza tym zrobiło mi się go żal. Był taki stary i chory.

Zasypał mnie pytaniami... kim jest moja matka, mój ojciec, gdzie i kiedy się urodziłem. A potem powiedział, że to on jest moim ojcem. Nie bardzo mu wierzyłem, ale zaciekał mnie na tyle, że pojechałem z nim na koczowisko bezdomnych.

Zaprowadził mnie za starą parowozownię. Ktoś zostawił rozpalone ognisko, więc dorzuciliśmy trochę drewna i usiedliśmy przy ogniu. Wyjął pół litra whisky, pociągnął z gwinta i dał mi spróbować. Paliła mi gardło. Ale on pił ją jak wodę, aż wysuszył całą butelkę do dna.

Wtedy dostał małego rozumu. Najpierw śpiewał jakieś stare piosenki, a potem zrobił się sentymentalny. Powiedział, że jestem jego ukochanym synkiem i że kiedy odzyska swoje prawa i należną mu pozycję, to się mną zajmie. Zaczął mnie obściskować, całować, i wtedy do niego strzeliłem. Miał rewolwer, zatknięty za paskiem spodni. Wyciągnąłem go, strzeliłem, a on umarł.

Na bladej twarzy Nicka malował się spokój, ale słyszałem jego szybki oddech.

— Co zrobiłeś z rewolwerem? — zapytałem.

— Nic. Zostałem go tam i wróciłem do domu. Później powiedziałem rodzicom, co zrobiłem. Z początku mi nie wierzyli. Uwierzyli dopiero wtedy, kiedy przeczytali o zabójstwie w gazecie. Przywieźli mnie do doktora Smitherama. I od tej pory stale z nim jestem — dorzucił z goryczą. — Żałuję, że od razu nie zgłosiłem się na policję. — Nie odrywał wzroku od profilu matki.

— Nie ty o tym postanowiłeś — powiedziałem. — Przejdźmy teraz do śmierci Sidneya Harrowa.

— Dobry Boże, uważacie, że jego też zabiłem?

— Sam tak myślałeś, pamiętasz?

Zamyślił się.

— Miałem wtedy mętlik w głowie, prawda? Sęk w tym, że ja naprawdę miałem ochotę zabić Harrowa. Tej nocy pojechałem do jego motelu, żeby się z nim rozprawić. Jean powiedziała mi, gdzie się zatrzymał. Nie zastałem go, ale znalazłem w samochodzie na plaży.

— Żywego czy martwego?

— Już nie żył. Rewolwer, z którego został zastrzelony, leżał obok samochodu. Podniosłem go, żeby mu się przyjrzeć, i nagle coś zaświtało mi w głowie. Ziemia dosłownie rozstała się przede mną. Najpierw pomyślałem, że to trzęsienie ziemi. Potem uświadomiłem sobie, że to ja tak się trzęsę. Przez dłuższy czas nie mogłem zebrać myśli, miałem ochotę się zabić. — I dorzucił: — Ten rewolwer jakby sam chciał, żeby coś z nim zrobił.

— Już wcześniej coś z nim zrobiłeś — powiedziałem. — To był ten sam rewolwer, który porzuciłeś na stacji rozrządowej.

— Jak to możliwe?

— Nie wiem. Ale to była ta sama broń. Policja ma wyniki testów balistycznych, które to potwierdzają. Jesteś pewien, że zostawiłeś rewolwer przy zwłokach?

Nick znów się pogubił. Bezradnym wzrokiem omiół nasze twarze. Sięgnął po ciemne okulary i włożył je.

— Przy zwłokach Harrowa?

— Przy zwłokach Eldona Swaina. Tego człowieka na stacji rozrządowej, który twierdził, że jest twoim ojcem. Zostawiłeś broń koło niego, Nick?

— Tak. Wiem, że nie wziąłem jej do domu.

— Czyli że zabrał ją ktoś inny, ktoś, kto piętnaście lat później zabił z niej Harrowa. Któż by to mógł być?

— Nie wiem. — Młody człowiek powoli pokręcił głową.

Smitheram wyszedł na środek pokoju.

— Wystarczy, on już ma dość. A pan i tak niczego się nie dowiedział. — Jego oczy zdradzały niepokój, ale nie potrafiłem ocenić, czy chodzi mu o Nicka.

— Dowiaduję się całkiem sporo, doktorze. Nick również.
— Tak. — Młody człowiek podniósł wzrok. — Czy ten mężczyzna przy torach rzeczywiście był moim ojcem, jak twierdził?

— O to musisz zapytać matkę.

— Więc jak, mam?

Irene Chalmers rozejrzała się po pokoju, jakby wpadła w kolejną pułapkę. Pod naciskiem naszego milczenia poczuła się zmuszona do odpowiedzi.

— Nie muszę i nie zamierzam na to odpowiadać.

— Czyli że był moim ojcem.

Nie odpowiedziała mu, nawet na niego nie spojrzała. Siedziała ze zwieszoną głową. Truttwell wstał i położył rękę na jej ramieniu. Przechyliła głowę na bok, opierając policzek o kostki jego dłoni. Jej nieskazitelna cera kontrastowała z jego starczymi plamami.

— Wiedziałem, że Lawrence Chalmers nie mógł być moim ojcem — ciągnął Nick.

— Skąd wiedziałeś? — spytałem.

— Te listy, które pisał z za morza... nie pamiętam dokładnie dat, ale coś nie zgadzało się w czasie.

— Czy dlatego zabrałeś je z sejf?

— No... nie. Wpadłem na to przypadkiem. Sidney Harrow i Jean Trask przyszli do mnie z niesamowitą historią, że mój ojciec... to znaczy Lawrence Chalmers... popełnił przestępstwo. Wziąłem listy, żeby im udowodnić, że są w błędzie. Kiedy dokonano kradzieży, on służył na morzu.

— Jakiej kradzieży?

— Jean twierdziła, że okradł jej rodzinę... konkretnie jej ojca. Chodziło o olbrzymią sumę, pół miliona czy coś koło tego. Ale jego listy stanowiły dowód, że Jean i Harrow się mylą. W dniu tej rzekomej kradzieży... zdaje się, że to było pierwszego lipca czterdziestego piątego roku... mój oj... pan Chalmers służył na lotniskowcu. — Po czym dorzucił ze smutną ironią: — Przy okazji udowodniłem również, że nie

mógł być moim ojcem. Urodziłem się czternastego grudnia czterdziestego piątego roku, a dziewięć miesięcy wcześniej, kiedy musiałem zostać... — Spojrzał na matkę, nie mogąc znaleźć właściwego słowa.

— Poczęty? — podsunąłem.

— Kiedy musiałem zostać poczęty, on brał udział w walkach na morzu. Słyszysz, co mówię, mammo?

— Słyszę.

— I nie masz mi nic do powiedzenia?

— Nie musisz na mnie napadać. Jestem twoją matką. Czy to ważne, kim był twój ojciec?

— Dla mnie jest ważne.

— Zapomnij o tym. Po prostu o tym zapomnij, dobrze?

— Mam tu kilka przy sobie. — Wyciągnąłem portfel i pokazałem Nickowi trzy listy. — To chyba te szczególnie cię zainteresowały.

— Tak. Skąd pan je ma?

— Z twojego mieszkania.

— Mogę je dostać na chwilkę?

Podąłem mu listy. Przejrzał je szybko.

— To ten, który napisał piętnastego marca czterdziestego piątego roku: „Znowu jesteśmy w rejonie walki, więc moje listy przez jakiś czas nie będą dochodzić”. To chyba ostatecznie rozstrzyga, że moim ojcem w żadnym razie nie był, i nie mógł być, podporucznik Lany Chalmers. — Znowu spojrzął na matkę z mrocznym namysłem. — Mammo, czy moim ojcem był ten człowiek przy torach? Ten, którego zabiłem?

— Lepiej, żebyś nie wiedział — odparła.

— A zatem tak — oświadczył z ponurą satysfakcją. — Przynajmniej tyle wiem na pewno. Mówiłaś, że jak on się nazywał? Mój ojciec?

Nie odpowiedziała.

— Eldon Swain — rzekłem. — Był ojcem Jean Trask.

— Mówiła mi, że jesteśmy rodzeństwem. Myśli pan, że to prawda?

— Nie znam odpowiedzi na twoje pytania. Chyba ty sam je znasz. — Przerwałem, a po chwili podjąłem: — Muszę cię spytać o jedną niezwykle istotną rzecz, Nick. Dlaczego właściwie pojechałeś do Jean Trask do San Diego?

Pokręcił głową.

— Nie pamiętam. Mam kompletną pustkę w głowie. Nie pamiętam nawet, w jaki sposób dostałem się do San Diego.

Doktor Smitheram znów wysunął się na środek.

— W tym momencie muszę wam przerwać. Nie dopuszczę, żebyście zmarnowali to, co udało nam się zrobić dla Nicka przez ostatnie dwa dni.

— Skończmy z tym raz na zawsze — rzekł Truttwell. — Przecież to się za nim wlecze przez większość jego krótkiego życia.

— Ja też chcę z tym skończyć — oświadczył Nick. — Jeżeli potrafię.

— Ja również. — To Moira przerwała wreszcie milczenie.

Lekarz odwrócił się do niej i rzucił zimno:

— Nie przypominam sobie, żebym cię pytał o zdanie.

— Ale je poznałeś. Skończmy z tym wreszcie.

W jej zmęczonym głosie pobrzmiwała nuta poczucia winy. Stała przed mężem i przez chwilę mierzyli się wzrokiem, jakby byli sami w pokoju.

— Kiedy zacząłeś sobie przypominać w San Diego? — spytałem chłopaka.

— W nocy, kiedy się obudziłem w szpitalu. Ale cały dzień wyleciał mi z pamięci.

— A twoje ostatnie wspomnienie sprzed szpitala?

— Kiedy wstałem rano poprzedniego dnia. Przez całą noc nie spałem, myśli kłębiły mi się w głowie i byłem w ciężkiej depresji. Ciągle przypominała mi się ta okropna scena na stacji rządowej. Czułem zapach ogniska i whisky.

Pomyślałem, że łyknę pastylkę na sen, żeby przestać myśleć, więc wstałem i poszedłem do łazienki. Ale kiedy zobaczyłem

te fiołki z czerwonymi i żółtymi kapsułkami, zmieniłem zdanie. Postanowiłem zażyć je wszystkie i przestać myśleć raz na zawsze.

— I wtedy napisałeś ten pożegnalny list?

Zastanowił się nad odpowiedzią.

— Tak, napisałem go tuż przed zażyciem proszków.

— Ile łyknąłeś?

— Nie liczyłem. Pewnie ze dwie garście, na pewno dość, żeby mnie zabiły. Ale nie mogłem tak tylko siedzieć w łazience i czekać. Bałem się, że mnie znajdą i nie dadzą mi umrzeć. Wyszedłem z łazienki przez okno i zeskoczyłem na ziemię. Widocznie się przewróciłem i uderzyłem w głowę. — Położył listy na kolanie i delikatnie pomacał bok głowy. — A potem ocknąłem się w szpitalu w San Diego. Mówiłem to już doktorowi Smitheramowi.

Spojrzałem na Smitherama. Nie słuchał tego, co mówi chłopak. Natarczywie tłumaczył coś szeptem swojej żonie.

— Panie doktorze?

Odwrócił się gwałtownie, lecz nie była to reakcja na moje słowa. Sięgnął po listy leżące na kolanie Nicka.

— Rzućmy na nie okiem, co?

Przekartkował je i zaczął czytać na głos swojej żonie:

— „Piloci mają w sobie coś z koni wyścigowych — niemal chorobliwie rozwiniętą potrzebę rywalizacji. Mam nadzieję, że inni mnie tak nie postrzegają.

Taki jest jednak dowódca naszej eskadry, podpułkownik Wilson (mogę to napisać, bo on nie cenzuruje już naszej poczty). Dowodzi już ponad cztery lata, a wciąż sprawia wrażenie tego samego dobrze wychowanego absolwenta Yale, jakim był na początku. Mimo to otacza go aura człowieka, który zatrzymał się w rozwoju. Oddał wojnie to, co miał w sobie najlepszego...”.

— Pięknie pan recytuje, doktorze, ale nie czas i miejsce na to — przerwał mu oschle Truttwell.

Smitheram nie zareagował, jakby nie słyszał słów prawnika. Zwrócił się do żony:

— Jak się nazywał dowódca mojej eskadry na *Sorrel Bay*?
— Wilson — odparła cicho.
— Czy pamiętasz, że opisywałem ci go w ten sposób w liście z marca czterdziestego piątego?

— Jak przez mgłę. Wierzę ci na słowo.
Smitheramowi to nie wystarczyło. Znowu przerzucił kartki, tak raptownie, że omal ich nie podarł.

— Posłuchaj tego, Moiro: „Jesteśmy prawie na równiku i upał daje się we znaki, ale ja nie narzekam. Jeżeli jutro nadal będziemy stali na kotwicy przy tym atolu, postaram się zejść z okrętu i popływać, czego nie robiłem od miesiący, odkąd wypłynęliśmy z Pearl. Ale jedną z największych codziennych przyjemności jest dla mnie wieczorny prysznic, z którego korzystam przed pójściem spać...”. I tak dalej. Potem następuje wzmianka, że Wilson został zestrzelony nad Okinawą. Dokładnie pamiętam, jak pisałem ci o tym latem czterdziestego piątego roku. Potrafisz to wytłumaczyć, Moiro?

— Nie — odrzekła ze spuszczonej oczami. — Nie. Nawet nie będę próbowała.

Truttwell wstał i spojrzął na list ponad ramieniem lekarza.

— Domyślam się, że to nie jest pański charakter pisma. Nie, oczywiście, że nie. — Po chwili dorzucił: — To pismo Lawrence'a Chalmersa, prawda? — Znowu zamilkł na chwilę. — Czy to oznacza, że wszystkie jego listy do matki z czasów wojny są fałszywe?

— Z całą pewnością. — Smitheram potrząsnął pięścią, w której ścisnął dokument. Nie spuszczał wzroku ze zwieszanej głowy żony. — Nadal jednak nie rozumiem, w jaki sposób powstały te listy.

— Czy Chalmers służył w marynarce wojennej jako pilot? — zapytał Truttwell.

— Nie. Próbował dostać się na kurs pilotażu, ale był beznadziejny, zero kwalifikacji. Szczerze mówiąc, zwolniono go ze służby kilka miesięcy po tym, jak się zaciągnął.

— Dlaczego? — spytałem.

— Z powodu problemów psychicznych. Załamał się w obozie treningowym dla rekrutów. To samo przytrafiło się sporej grupie schizofrenicznych chłopaków, którzy usiłovali pozować na żołnierzy. Zwłaszcza tym, których matki odgrywały w rodzinie dominującą rolę, tak jak to było w przypadku Larry'ego.

— Skąd pan tyle wie na ten temat, doktorze?

— Przydzielono mi tę sprawę w szpitalu marynarki wojennej w San Diego. Leczyliśmy go przez kilka tygodni, zanim wypuściliśmy w świat. Od tej pory stale jest moim pacjentem... pomijając dwuletnią przerwę, kiedy służyłem na morzu.

— Czy to z jego powodu osiedlił się pan w Point?

— Między innymi. Był mi wdzięczny i zaproponował, że pomoże mi otworzyć prywatną praktykę. Po śmierci matki odziedziczył duży majątek.

— Jednego tylko nie rozumiem — wtrącił się Truttwell. — Jak to możliwe, że wszyscy daliśmy się nabrać na te fałszywe listy? Musiał podrobić koperty i stemple marynarki wojennej. I w jaki sposób odbierał odpowiedzi, skoro nie służył w marynarce?

— Pracował na poczcie — wyjaśnił Smitheram. — Sam załatwiłem mu tę posadę, zanim wypłynąłem w morze. Przypuszczam, że założył osobną skrytkę pocztową na swoją korespondencję. — Znów spojrzął na żonę, jak gdyby jego głową sterowała jakaś zewnętrzna siła. — Natomiast nijak nie rozumiem, Moiro, jak mu się udało, i to wielokrotnie, skopiować listy, które pisałem do ciebie.

— Widocznie je zabierał — odparła.

— Wiedziałaś o tym?

Posępnie skinęła głową.

— Pożyczał je ode mnie, ponoć do poczytania. Ale potrafie zrozumieć, dlaczego je przepisywał. Uważał cię za bohatera, byłeś jego idolem. Chciał być taki jak ty.

— A co czuł w stosunku do ciebie?
— Podobałam mu się. Nie robił z tego tajemnicy, nawet zanim wypłynął w morze.
— Po moim wyjeździe widywaliście się regularnie?
— Nic na to nie mogłam poradzić. Mieszkaliśmy drzwi w drzwi.
— Drzwi w drzwi w hotelu Magnolia? Chcesz powiedzieć, że zajmowaliście sąsiednie pokoje?
— Sam prosiłeś, żebym go miała na oku — odparła.
— Ale nie kazałem ci z nim żyć. Żyłas z nim? — rzucił zawadiacko, jak ktoś, kto doskonale wie, że sam sobie zadaje ból, ale nic na to nie może poradzić.
— Żyłam z nim — przyznała jego żona. — Nie wstydzę się tego. Potrzebował kogoś. Możliwe, że przyczyniłam się do uratowania jego psychiki w nie mniejszym stopniu niż ty.
— A, czyli że to była terapia? To dlatego chciałaś tu osiąść po wojnie. To dlatego on...
— Gadasz od rzeczy, Ralph — przerwała mu. — Jak zwykle, kiedy chodzi o mnie. Rzuciłam go, zanim jeszcze wróciłeś do domu.
Irene Chalmers podniosła głowę.
— Ona mówi prawdę. Pobraliśmy się w lipcu...
Truttwell pochylił się i zaniknął jej usta palcem.
— Irene, nie wrywaj się sama z informacjami.
Zamilkła, a ja usłyszałem napięty, cichy głos Moiry.
— Wiedziałaś, że mieliśmy romans — mówiła do męża. — Nie da się leczyć pacjenta przez dwadzieścia pięć lat i nie wiedzieć o nim czegoś takiego. Ale wolałaś udawać, że o niczym nie masz pojęcia.
— Nawet jeśli... do niczego się nie przyznaję, ale nawet jeśli wiedziałem, to działałem w interesie pacjenta, a nie własnym.
— Ty naprawdę w to wierzysz, Ralph, co?
— Bo taka jest prawda.

— Oszukujesz sam siebie. Ale nikogo innego nie oszukasz. Wiedziałeś równie dobrze jak ja, że Lany Chalmers jest oszustem. Razem podtrzymywaliśmy jego fantazje i braliśmy od niego pieniądze.

— Obawiam się, Moiro, że teraz to ty fantazjujesz.

— Dobrze wiesz, że nie.

Popatrzył na nas po kolei, sprawdzając, czy go osądzamy. Żona przecisnęła się obok niego i opuściła pokój. Wyszedłem za nią na korytarz.

ROZDZIAŁ 36

Dogoniłem Moirę przy zamkniętych na klucz drzwiach obok pokoju samobójców. Po raz drugi w ciągu naszej znajomości miała kłopoty z otwarciem drzwi. Powiedziałem coś na ten temat.

Zmierzyła mnie ostrym wzrokiem.

— Nie będziemy wracali do tamtej nocy. To już przeszłość... tak odległa, że prawie już zapomniałam, jak masz na imię.

— Myślałem, że jesteście przyjaciółmi.

— Ja też tak myślałam. Ale ty to zepsułeś.

Machnęła ręką w kierunku pokoju Nicka. Kobieta w sali dla samobójców zaczęła jęczeć i płakać.

Moira otworzyła drzwi. Po wyjściu z tego skrzydła zaprowadziła mnie do swojego gabinetu. Od razu wyciągnęła z szuflady torebkę i położyła ją na biurku, szykując się do wyjścia.

— Odchodzę od Ralpa. Tylko proszę cię, nie proponuj mi, żebym się przeniosła do ciebie. Aż tak mnie nie lubisz.

— Czy zawsze wiesz lepiej, co kto myśli?

— No dobrze... ja sama się nie lubię. — Przerwała i rozejrzała się po gabinecie. Jej złość na samą siebie odbijała się

w jaskrawych obrazach na ścianach jak w lustrze. — Nie lubię zarabiać na cudzym nieszczęściu. Wiesz, o czym mówię?"

— Powinienem coś wiedzieć na ten temat. Ja właśnie z tego żyję.

— Ale nie robisz tego dla pieniędzy, prawda?

— Staram się, żeby tak nie było — odrzekłem. — Kiedy dochody przekraczają pewien poziom, człowiek traci kontakt z rzeczywistością. Ni stąd, ni zowąd inni ludzie wydają się durnymi palantami, których można spisać na straty.

— To właśnie przydarzyło się Ralphowi. Ale nie dopuszczę, żeby tak samo było ze mną. — Mówiła jak kobieta, która ucieka, ale nie ze strachu, tylko z nadzieją. — Wracam do pracy społecznej. To jest to, co kocham naprawdę. Nigdy nie byłam tak szczęśliwa, jak wtedy, gdy mieszkałam w La Jolla, w jednym pokoiku.

— Drzwi w drzwi z Sonnym.

— Tak.

— Sonny to oczywiście Lawrence Chalmers.

Kiwnęła głową.

— A ta dziewczyna, z którą się potem związał, to Irene Chalmers?

— Tak. Wtedy nazywała się Rita Shepherd.

— Skąd wiesz?

— Sonny opowiadał mi o niej. Poznał ją kilka lat wcześniej, na przyjęciu nad basenem w San Marino. Pewnego dnia weszła na pocztę, gdzie pracował. Najpierw okropnie się zdenerwował tym spotkaniem, teraz już rozumiem dlaczego. Bał się, że jego tajemnica wyjdzie na jaw i matka się dowie, że nie jest pilotem w marynarce, tylko pracuje na poczcie.

— Wiedziałas o tym oszustwie?

— Wiedziałam, oczywiście, że żyje w świecie fantazji. Wieczorami wkładał oficerski mundur i paradował po ulicach. Ale o jego matce nie wiedziałam... o pewnych rzeczach nic mówił nikomu, nawet mnie.

— Co ci powiedział o Ricie Shepherd?

— Wystarczająco dużo. Żyła ze starszym mężczyzną, który ukrywał ją w Imperial Beach.

— Z Eldonem Swainem.

— Tak się nazywał? — Zamyśliła się, po czym rzekła: — Wszystko zaczyna układać się w całość, prawda? Nie zdałam sobie sprawy, do jakiego stopnia jestem uwikłana w życie i śmierć innych ludzi. Chyba wszyscy uświadamiamy sobie takie rzeczy po fakcie. No w każdym razie Rita przerzuciła się na Sonny'ego, a ja poszłam w odstawkę. Wtedy jednak już mnie to nie obchodziło. Dość miałam pilnowania Sonny'ego i chętnie oddałam go innej dziewczynie.

— Nie rozumiem tylko, jak mogłaś interesować się nim przez ponad dwa lata. Ani dlaczego taka kobieta jak jego żona polecała na niego.

— Kobiety nie zawsze pociąga wzór cnót — oświadczyła. — Sonny miał kompletnie psychotyczny odjazd. Swego czasu próbował niemal wszystkiego.

— Muszę popracować nad swoimi odjazdami. Ale trzeba przyznać, że Chalmers nieźle się z tym kryje.

— Teraz jest starszy i ciągle bierze środki uspokajające.

— Takie jak nembuzerpina?

— Widzę, że jesteś obkuty.

— Czy jest bardzo chory?

— Gdyby nie wspomaganie terapią i lekami, prawdopodobnie trzeba by go hospitalizować. Ale dzięki nim udaje mu się żyć jako tako normalnie. — Mówiła jak handlarz, który sam nie wierzy w jakość zachwalanego towaru.

— Czy jest niebezpieczny, Moiro?

— Mógłby być niebezpieczny, w pewnych okolicznościach.

— Na przykład gdyby jego oszustwo wyszło na jaw?

— Być może.

— Co ci się tak nagle zebrało na gdybanie? Sama podkreślałaś, że jest pacjentem twojego męża od ponad dwudziestu pięciu lat. Na pewno wiecie o nim niemało.

— Wiemy bardzo dużo. Ale relacje pacjenta z lekarzem objęte są tajemnicą.

— Nie polegaj na tym zbytnio. Nie dotyczy to dokonanych przez pacjenta zbrodni ani przestępstw, które mógłby popełnić. Chcę wiedzieć, czy ty i twój mąż uważaliście, że Nickowi może coś grozić z jego strony.

Uciekła od odpowiedzi.

— O jakim zagrożeniu myślisz'?

— Śmiertelnym — odparłam. — Oboje z mężem zdawaliście sobie sprawę, że jest dla Nicka niebezpieczny, może nie?

Moira nie odpowiedziała. Zaczęła krążyć po gabinecie, zdejmować obrazy ze ścian i układać je w stos na biurku. Jakby na znak, że rozbiera klinikę oraz miejsce, które w niej zajmowała.

Przerwało jej pukanie do drzwi. W progu stanęła młoda recepcjonistka.

— Panna Truttwell chce się zobaczyć z panem Archerem. Czy mam ją przysłać tutaj?

— Ja do niej wyjdę — powiedziałam.

Recepcjonistka z konsternacją spojrzała na gołe ściany.

— Gdzie się podziały pani obrazy?

— Wyprowadzam się. Możesz mi pomóc.

— Bardzo chętnie, proszę pani — odparła dziewczyna pogodnie.

Betty stała na środku poczekalni. Miała potargane włosy i była wyraźnie podekscytowana.

— W laboratorium stwierdzili, że próbka zawiera bardzo dużo nembutalu. Wodzian chloralu też wykryli, ale bez dalszych badań nie mogą określić ilości.

— Wcale mnie to nie dziwi.

— O czym to świadczy, proszę pana?

— O tym, że jakiś czas po przedawkowaniu leków Nick jechał na tylnym siedzeniu rodzinnego rollsa. Zwymiotował i być może dzięki temu ocalał życie.

— Jak on się czuje?

- Całkiem nieźle. Przed chwilą z nim rozmawiałem.
- Czy mogę się z nim zobaczyć?
- To nie zależy ode mnie. Teraz jest u niego matka i twój ojciec.
- Zaczekam.

Czekaliśmy razem, pogrążeni w myślach. Potrzebowałem spokoju. W głębi mojego umysłu sprawa zaczęła się układać w całość, jak walący się w gruzy budynek, oglądany na puszczonym od tyłu filmie.

Otworzyły się wewnętrzne drzwi i ukazała się Irene Chalmers. Szła wsparta ciężko na ramieniu Truttwella, niczym ocalały z katastrofy rozbitek. Pomyślałem, że przerzuciła się z męża na prawnika, tak jak kiedyś przerzuciła się z Eldona Swaina na Chalmersa.

Truttwell zauważył córkę. Nerwowo uciekał wzrokiem, ale nie próbował uwolnić się od Irene Chalmers. Betty obrzuciła ich spojrzeniem, które zdawało się mówić: „A więc to tak!”.

— Cześć, tato. Witani panią. Słyszałam, że z Nickiem jest dużo lepiej.

— To prawda — przytaknął jej ojciec.

— Mogę z nim pomówić przez chwilę?

Prawnik zawahał się, zastanowił. Zerknął na mnie i przeniósł wzrok na córkę.

— Ustalimy to z doktorem Smitheramem — odpowiedział łagodnie, ostrożnie dobierając słowa.

Przeszedł z Betty za wewnętrzne drzwi i starannie zamknął je za sobą.

Zostałem w poczekalni sam na sam z Irene Chalmers. Zdawała sobie z tego sprawę. Spojrzała na mnie chłodno i oficjalnie, z nadzieją, że nie będziemy prowadzić poważnych rozmów.

— Mam do pani kilka pytań.

— Co nie znaczy, że muszę panu odpowiedzieć.

— A więc, ustalmy raz na zawsze, czy Eldon Swain był ojcem Nicka?

Patrzyła na mnie z tępyim uporem.

— Prawdopodobnie. W każdym razie tak sądził. Ale nie powiem Nickowi, że zabił swojego biologicznego ojca, tego niech pan ode mnie nie oczekuje...

— On już to wie — rzekłem. — A pani nie może wciąż chować się za plecami syna.

— Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

— Ukrywała pani prawdę na temat Eldona Swaina i jego śmierci nie w interesie Nicka, tylko własnym. Pozwoliła pani, żeby żył w poczuciu winy i nadstawiał karku za panią.

— Nie nadstawiał karku. Wszystko trzymaliśmy w tajemnicy.

— Pozwalając, żeby Nick przez piętnaście lat cierpiał moralne katusze. Wrobienie własnego syna, czy zresztą kogośkolwiek, to rzadkie świństwo.

Spuściła głowę, jakby się zawstydziła. Ale powiedziała tylko:

— Do niczego się nie przyznaję.

— Nie musi pani. Mam dostatecznie dużo dowodów materialnych i dość świadków, żeby wytoczyć pani proces. Rozmawiałem z pani ojcem i matką, a także z Rawlinsonem i panią Swain. Rozmawiałem też z Florence Williams.

— A to co za jedna, do cholery?

— Właścicielka Domków Conchity w Imperial Beach.

Pani Chalmers uniosła głowę i przeciągnęła palcami po twarzy, jakby miała w oczach kurz albo pajęczyny.

— Coś panu powiem. Żałuję, że wdepnęłam w to bagno. Ale nic pan już nie wskóra, upłynęło zbyt wiele lat. Byłam wtedy nieletnia. I wszystko, co zmalowałam w tamtym czasie, dawno się przedawniło.

— A co takiego pani zmalowała?

— Nie zamierzam zeznawać przeciwko sobie. Już raz mówiłam, że odmawiam odpowiedzi. — Po czym dodała stanowczo: — Za chwilę wróci John Truttwell, a to jest jego podwórko. Nie z takimi jak pan dawał sobie radę.

Wiedziałem, że stąпам po kruchym lodzie, ale to mogła być moja ostatnia szansa, żeby dopaść panią Chalmers. Zarówno jej odpowiedzi na moje zarzuty, jak i uniki przed pewnymi pytaniami, potwierdzały zdanie, jakie wyrobiłem sobie na jej temat.

— Gdyby John Truttwell wiedział o pani to, co ja wiem, nic zbliżyłby się do pani nawet w masce gazowej — rzekłem.

Tym razem nie znalazła odpowiedzi. Podeszła do krzesła przy wewnętrznych drzwiach i usiadła na nim gwałtownie. Zbliżyłem się i stanąłem nad nią.

— Co się stało z pieniędzmi?

Odwróciła się ode mnie.

— O jakich pieniądzach pan mówi?

— O tych, które Eldon Swain zdefraudował z banku.

— Uciekając do Meksyku, przewiózł je przez granicę. Ja zostałem w Dago. Powiedział, że kogoś po mnie przyśle, ale nie przysłał. Wobec tego wysłałem za Larry'ego Chalmersa. Ot i cała historia.

— Co Eldon zrobił z tymi pieniędzmi w Meksyku?

— Słyszałem, że je stracił. W Baja wpadł na paru bandytów, a oni go okradli, i tyle.

— Jak się nazywali ci bandyci, Rito?

— A skąd ja mam wiedzieć? Słyszałem tylko plotki.

— No to opowiem pani lepszą plotkę. Ci bandyci mieli na imię Larry i Rita, ale nie ukradli tych pieniędzy w Meksyku. Eldon Swain nigdy nie przekroczył granicy. Postanowiła go pani obrobić i wystawiła go pani Larry'emu. A potem para bandytów żyła długo i szczęśliwie. Az do tej pory.

— Nigdy pan tego nie udowodni! To niemożliwe!

Krzyczała, jakby chciała zagłuszyć moje słowa i wspomnienia z przeszłości. Truttwell wyjrzał zza drzwi.

— Co tu się dzieje? — Obrzucił mnie surowym spojrzeniem. — Co pan próbuje udowodnić?

— Rozmawialiśmy o tym, co się stało z pół miliona Swaina. Pani Chalmers twierdzi, że obrabowali go bandyci

w Meksyku. Ale jestem prawie pewny, że to ona i Chalmers okradli Swaina. Nastąpiło to dzień albo dwa po defraudacji, kiedy Swain przywiózł pieniądze do San Diego, gdzie ona na niego czekała.

Pani Chalmers podniosła wzrok, jakby moja swobodna rekonstrukcja odpowiadała prawdziwym faktom. Truttwell zauważył błysk oczu, którym się zdradziła. Jej twarz otworzyła się i zamknęła niczym zaciskająca się pięść.

— Ukradli samochód — ciągnąłem — i przywieźli pieniądze do Pacific Point, do domu jego matki. Było to trzeciego lipca czterdziestego piątego roku. Larry i Rita zainscenizowali włamanie na wspak. Nie było to trudne, bo matka Larry'ego straciła wzrok, a on nie dość, że miał klucze do domu, to jeszcze znał szyfr do sejf. Schowali pieniądze w sejfie i zostawili.

Pani Chalmers wstała, podeszła do Truttwella i złapała go za ramię.

— Nie wierz mu. Tamtej nocy nie zbliżyłam się do tego miasta na pięćdziesiąt mil.

— A Larry? — spytał prawnik.

— Tak! Wszystko to jego robota. Odkąd jego matka oślepiła, nigdy nie korzystała z sejf, więc uznał, że to idealne miejsce do ukrycia... to znaczy...

Truttwell chwycił ją za ramiona i trzymał na odległość wyciągniętych rąk.

— Byłaś tu z Larrym tamtej nocy. Mam rację?

— Zmusił mnie, żebym z nim przyjechała. Trzymał mnie na muszce rewolweru.

— Co znaczy, że to ty prowadziłaś — rzekł prawnik. — To ty zabiłaś moją żonę.

Kobieta zwiesiła głowę.

— To wina Larry'ego. Zrozum, ona go poznała. Wyszarpnął mi kierownicę, przydeptał mi stopę i dodał gazu. Nic nie mogłam poradzić. Przejechał ją. I nie pozwolił mi się zatrzymać, dopóki nie wróciliśmy do Dago.

Truttwell potrząsnął nią.

— Nie chcę tego słuchać. Gdzie jest teraz twój mąż?

— W domu. Mówiłam ci, że źle się czuje. Siedzi, kompletnie otepiały.

— On wciąż jest niebezpieczny — zwróciłem się do Truttwella. — Nic sądzi pan, że warto wezwać Lacklanda?

— Nie, dopóki nie uda mi się porozmawiać z Chalmersem. Pojedzie pan ze mną, co? Pani także, pani Chalmers.

Ponownie usiadła między nami z przodu samochodu Truttwella. Patrzyła przed siebie na autostradę, jak ktoś, komu wciąż przytrafiają się katastrofy i boi się kolejnego wypadku.

— Gdzie pani była rano tego dnia, kiedy Nick nałykał się tych proszków nasennych i uspokajających? — zapytałem.

— W łóżku, jeszcze spałam. Poprzedniego wieczoru sama zażyłam dwie kapsułki wódziami chloralu.

— Czy pani mąż także spał?

— Nie wiem. Mamy osobne sypialnie.

— Kiedy pojechał szukać Nicka?

— Zaraz po pańskim odjeździe.

— Wziął rollsa?

— Owszem.

— I dokąd pojechał?

— Przypuszczam, że kręcił się po całym mieście. Kiedy jest wzburzony, lata dookoła jak maniak. A potem przez tydzień siedzi w domu jak kukła.

— On pojechał do San Diego, proszę pani. Są dowody, że wiózł nieprzytomnego Nicka, zakrytego pledem na tylnym siedzeniu.

— Przecież to jest bez sensu.

— Niestety, nie dla pani męża. Kiedy Nick uciekł z łazienki przez okno, pani mąż dopadł go w ogrodzie. Ogłuszył go łopatą albo jakimś innym narzędziem i ukrył w rollsie, czekając, aż będzie mógł pojechać do San Diego.

— Dlaczego miałby zrobić coś takiego własnemu synowi?
— Nick nie jest jego synem. Jest synem Eldona Swaina, o czym pani mąż wiedział. Zapomniała pani własne dzieje.

Zerknęła na mnie z ukosa.

— Tak, chciałabym zapomnieć.

— Nick albo wiedział, albo podejrzewał, kto jest jego ojcem — ciągnąłem. — Tak czy owak, próbował dojść do prawdy na temat śmierci Eldona Swaina. I był coraz bliżej.

— Nick sam zastrzelił Eldona.

— Teraz już wszyscy to wiemy. Ale Nick nie zaciągnął zwłok do ogniska, żeby usunąć odciski palców. Do tego potrzebna była siła i motywacja kogoś dorosłego. Nick nie zatrzymał rewolweru Swaina, żeby piętnaście lat później zastrzelić z niego Sidneya Harrowa. I nie zabił Jean Trask, chociaż pani mąż starał się ze wszystkich sił, żeby go w to wrobić. Właśnie dlatego zawiózł Nicka do San Diego.

— Czy Larry zabił ich wszystkich? — spytała kobieta ze zgrozą.

— Niestety tak.

— Ale dlaczego?

— Za dużo o nim wiedzieli. To chory człowiek, który bronił swojej fantazji.

— Fantazji?

— Świata iluzji, w którym żył.

— Tak, rozumiem, co pan ma na myśli.

Zjechaliśmy z autostrady przy Pacific Street i skręciliśmy w długą drogę na wzgórze. Za nami, u podnóża miasta, zachodzące czerwone słońce odbijało się ostro w wodzie. W tych niesamowitych resztkach dziennego światła rezydencja Chalmersów wydawała się nierzeczywista, jak ze snu — zamek w Hiszpanii wyjęty z przeszłości, która nigdy nie istniała. Drzwi frontowe nie były zamknięte na klucz, więc weszliśmy do środka. Pani Chalmers zawołała męża: — Larry! — ale nie doczekała się odpowiedzi.

W korytarzu prowadzącym w głąb domu pojawił się niechętnie Emilio. Pani Chalmers podbiegła do niego.

— Gdzie on jest?

— Nie wiem, proszę pani. Kazał mi siedzieć w kuchni.

— Mówiłeś mu, że przeszukałem rollsa? — spytałem.

Emilio odwrócił ode mnie czarne oczy. Nie odpowiedział.

Kobieta wbiegła po kilku schodkach do gabinetu. Załomotała pięścią w rzeźbione dębowe drzwi, zlizwała krew z kostek dłoni i zabębniła ponownie.

— On tam jest! — krzyknęła. — Musicie go wyciągnąć. Bo skończy ze sobą!

Odsunąłem ją na bok i przekręciłem klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz. W pokoju po drugiej stronie panowała straszliwa cisza.

Emilio poszedł do kuchni po śrubokręt i młotek i z ich pomocą wyważył drzwi gabinetu z zawiasów.

Chalmers siedział w fotelu obrotowym sędziego, z dziwnie przekrzywioną na bok głową. Miał na sobie niebieski mundur marynarki wojennej, z trzema złotymi paskami komandora porucznika na rękawach. Krew z poderżniętego gardła spłynęła na rząd baretek, zabarwiając je na jeden kolor. Pod zwisającą ręką leżała otwarta staromodna prosta brzytwa.

Zona cofnęła się, jakby zwłoki emitowały śmiercionośne promienie laserowe.

— Wiedziałam, że to zrobi. Chciał to zrobić od dnia, kiedy stanęli w naszych progach.

— Kto stanął w waszych progach? — spytałem.

— Jean Trask i ten mięśniak, który z nią jeździł, Sidney Harrow. Zatrzasnęłam im drzwi przed nosem, ale wiedziałam, że jeszcze tu wróca. Larry też o tym wiedział. Wyciągnął z sejfu rewolwer Eldona, który leżał tam przez te wszystkie lata. Chciał zawrzeć ze mną pakt samobójczy. Miał zamiar najpierw zastrzelić mnie, a potem siebie. Ale razem z doktorem Smitheramem namówiliśmy go zamiast tego na wyjazd do Palm Springs.

— Trzeba było pozwolić, żeby się zastrzelił — rzekł Truttwell.

— I mnie też? Nigdy w życiu. Nic miałam ochoty umierać. I nadal nie chcę.

Wciąż była zdolna do namiętnej miłości, choć tylko do siebie. Truttwell i ja milczeliśmy.

— Słuchaj, jesteś jeszcze moim adwokatem? — zwróciła się do niego. — Mówiłeś, że tak.

Pokręcił głową. Jego oczy zdawały się patrzeć przez nią na wskroś, w smutną przeszłość albo zimną przyszłość.

— Nie możesz mnie teraz zostawić — powiedziała. — Czy nie dość się wycierpiałam? Naprawdę mi przykro z powodu twojej żony. Do dziś budzę się w środku nocy i widzę ją, biedaczkę, leżącą na jezdni jak sterta łachmanów.

Truttwell uderzył ją w twarz grzbietem dłoni. Z ust Irene Chalmers pociekła krew, rysując na brodzie kreskę jak rysa na marmurze.

Rozdzieliłem ich, żeby nie mógł jej znowu uderzyć. Truttwell nie powinien pozwalać sobie na takie rzeczy.

Mój gest dodał jej odwagi.

— Nie musisz mnie krzywdzić, John. I bez tego czuję się paskudnie. Przez te wszystkie lata tutaj miałam wrażenie, że mieszkam w nawiedzonym domu. Poważnie. Tej pierwszej nocy, kiedy przyszliśmy do tego gabinetu i chowaliśmy paczki pieniędzy do sejfu, ślepa matka Larry'ego zeszła po ciemku na parter. Spytała: „Czy to ty, Sonny?”. Nie mam pojęcia, jak go poznała. Aż mnie ciarki przeszły.

— I co się stało potem? — spytałem.

— Odprowadził matkę do jej pokoju i rozmawiał z nią. Nie chciał rai zdradzić, co jej powiedział, ale od tej pory mieliśmy już z nią święty spokój.

Truttwell zwrócił się do mnie:

— Estelle nigdy mi o tym nie powiedziała. Zabrała to ze sobą do grobu.

— Teraz wiemy, na co umarła — zauważyłem. — Odkryła, na kogo wyrósł jej syn.

Głowa zmarłego opadła na bok, zupełnie jakby usłyszał mnie i poczuł się zażenowany moimi słowami. Wdowa podeszła do niego jak lunatyczka i stanęła obok. Dotknęła jego włosów.

Zostałem z nią, gdy Truttwell poszedł do telefonu, by wezwać policję.